

ROBERT BUCZEK

Las

2014

Projekt okładki: Robert Buczek

Redakcja i korekta: Dorotka

Zdjęcie na okładce: Ania

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

Żadna część tej publikacji nie może być kopiowana, przechowywana w systemie wyszukiwania danych ani przekazywana w żadnej innej formie lub jakimikolwiek środkami elektronicznymi czy mechanicznymi, poprzez fotokopie, rejestrację na taśmie lub w jakimikolwiek inny sposób bez uprzedniego, pisemnego zezwolenia właściciela praw autorskich.

No part of this publication may be reproduced, stored in a retrieval system or transmitted in any form or by any means, electronic, mechanical, photocopying, recording or otherwise without the prior permission in writing of copyright holders.

© Copyright by Robert Buczek

ISBN 978-83-949139-1-5

Przez całe życie gdzieś gnałem. Coś mnie gnało, byle dalej. Jakieś zamięłowanie do ruchu, do ciągłych zmian. Baśka powiedziała do mnie kiedyś: „Krzysztofie” - Baśka zawsze mówiła tak poważnie, nigdy nie mówiła Krzysiu, a tym bardziej nie używała jakichś jeszcze bardziej ekstrawaganckich zdrobnień, nie mówiła też piesku, ani misiu; podobało mi się to do czasu, w końcu jednak stało się męczące, bo wprowadzało w nasze relacje nieustanny ton oficjalności, powagi, a ja powagi nie znośiłem, przynajmniej w relacjach z kobietami - Baśka powiedziała mi więc: „Krzysztofie, nie możesz całe życie uciekać. Musisz kiedyś dorosnąć. Musisz stawić życiu czoła”. Nie chciało mi się dorastać. Tym bardziej nie chciało mi się stawiać życiu czoła. Po co? Żeby sobie nabić guza? Zresztą ja nie uciekałem. Po prostu przemieszczałem się z miejsca na miejsce. Z Baśką byłem kawał czasu. Pół roku. Jak wystrzeliła z tym uciekaniem, dorastaniem i stawianiem, spakowałem manele, wskoczyłem do auta i spłynąłem. Jak była w pracy. Bo nie lubię pożegnań. Zostawiłem tylko list:

Kochana,

idę dorastać. Jak dorosnę, to stawię. Jak przeżyję stawienie, to... To i dobrze.

Całuję

Twój na zawsze

Uciekający Krzysztof

Jak sobie wyobrażałem minę Baśki czytającą ów list po powrocie z pracy, po powrocie do domu, w którym mnie już nie było, czułem wewnętrzny chichot. Co za głupota...

Pociąg jechał leniwie, właściwie toczył się w jakiś niepojęty sposób, wywołując we mnie ciągle napięcie związane z niepewnością: czy można jechać jeszcze wolniej, ale tak by się nie zatrzymać, bo przecież jak coś stoi, to się nie rusza; czy może jednak stanie całkiem, zamrze, skamienieje na wieki; czy może przyspieszy, może nagle i niespodziewanie odnajdzie w sobie potrzebę, by zmienić się w demona szybkości i zacznie grzać po kulawych torach z prędkością szaleńczą, z rącością niezwykłą, dziką swobodą, aż po kres, ku samozniszczeniu, ku wolności ostatecznej. Nic takiego się stało, toczył się wciąż z tą samą żółwią cierpliwością, której mnie zawsze brakowało, toczył się na pograniczu jawy i snu. Było gorąco, bezwietrznie, duszno, zanosilo się na burzę. Zanosilo się już od kilku dni. Chmury kłębiły się, coraz cięższe i cięższe, spowijając niebo czarnymi kłębami, w których jednakże zawsze pozostawała szczelina na palące promienie słońca. Nie spadła ani kropla deszczu, wiatr zamarł. Powieki leciały mi w dół i musiałem je powstrzymywać nadludzkim wysiłkiem woli, by nie zatrzaskały się ostatecznie. Było to nie do zniesienia na dłuższą metę, ale nie miałem wyboru. Nie mogłem się poddać. Nie mogłem ulec. Nie mogłem pozwolić, by oczy się zamknęły. Nie mogłem zasnąć. Musiałem czuwać. I musiałem patrzeć. By widzieć. By nie przegapić tej jednej, najważniejszej chwili. Bo byłoby to nieodwracalne. Dość już straciłem. Nie mogłem sobie pozwolić na więcej. Tak mi podpowiadała intuicja. Trwałem więc w walce, na posterunku, niczym żołnierz, od którego zależy los świata. Szczerze mówiąc mój los był mi o wiele droższy, niż świata los z góry przesądzony. Mój los, który był dla mnie niewiadomą, w przeciwieństwie do losu świata, który nieodwołalnie ginął od samych swych narodzin. Ze mną mogło być jeszcze różnie, ze światem – nie. Nie mogłem się poddać, musiałem wytrwać. Okoliczności jednak były niekorzystne. Żółw pociąg, powietrze, jak w saunie, zapach kurzu i kolejowej toalety, która śmierdziała jak zwykle, choć pociąg był nowy. Ale dlaczego niby w nowym pociągu toaleta miałaby pachnieć inaczej niż w starym? Przecież nowy pociąg nawet jechał, jak stary, więc czego można się było spodziewać po toalecie? Pytania i odpowiedzi sprzysięgły się przeciwko mnie i kiedy przegrana była już przegrana, kiedy spocona, gąbczasta i obślizła śluzka snu miała otworzyć się i mnie wchłonąć, a następnie zatrzaskać z głuchym mlaśnięciem, bym już do końca żył z poczuciem klęski, z przekonaniem, że utraciłem najlepszą z szans, zobaczyłem ją! A więc jednak ona była na początku! Nie las! Ona! O takich kobietach mówi się, że są zjawiskowe. Płynęła peronem, takim złamanym pięścią starości peronem, o którym zapomniał świat, zapomnieli ludzie, może poza garstką lokalnych autochtonów, dla których peron i pociąg-żółw były jedyną nadzieją na jakiś realny, fizyczny kontakt z innym, lepszym światem, cywilizacją, postępem,

nadzieją na zmianę, bo dla nich, w przeciwieństwie do mnie, świat tam był lepszy od świata tu. Dla mnie jednak peron stał się nagle nadzieją nie na to, by wyjechać, ale by pozostać. Zerwałem się z plastikowego siedzenia wagonu, które przez całą podróż wpijało się w moje siedzenie z zajadłością tępą, dręczącą, śmierdzącą sztucznością, i skoczyłem do wyjścia. Drzwi były zamknięte. Szarpałem się z nimi chwilę, spoglądając z niepokojem za oddalającą się zjawiskową dziewczyną. Nie chciały się poddać i musiałem biec poprzez wagon do następnych drzwi. Były otwarte, ale na drodze stanęły mi drzwi wewnętrzne. I te zacinały się, krzywe i niedopasowane, zapieczone. Kiedy w końcu udało mi się przez nie przecisnąć, sygnalizator pierdnął, dobył się syk pneumatyki i drzwi zaczęły zasuwac się leniwie. Tak leniwie, jak i leniwie zaczął ruszac pociąg. Stalowy żółw z elektrycznym napędem. Wpiłem się w drzwi dłońmi i napałem na nie z paniczną siłą, bo czułem, że muszę wysiąść, że jak zostanę w onirycznym pociągu narkotyzującym swych nieszczęsnych pasażerów powolnością i miażdżącymi jaźń oparami z kibla, to się uduszę, że jak nie wysiądę, to dziewczyna zjawiskowa odpłynie i już nigdy takiej nie poznam. Nigdy! Zapałem się więc, natężyłem. Krew pulsowała mi w skroniach, mięśnie rozrywał ból. Wyrwałem się. Skoczyłem. Trochę niezdarnie. Stopa mi się podwinęła i rymnąłem. Na szczęście pociąg jechał wolno, toczył się, ciągnął po torach swe stalowe cielsko. Co wyglądało w sumie dość rozpaczliwie. Nic mi się nie stało. Zrobiło mi się tylko żal pociągu. Upadek i tkliwe pożegnanie z pociągiem odciągnęły moje myśli na moment od zjawiskowej dziewczyny. Był to moment wystarczający. Kiedy powstałem i rozejrzałem się, znów gotów, by za nią biec, jej już nie było. Rozpłynęła się. Został tylko pogruchotany peron, zapach podkładów kolejowych i niewiarygodnie wolno oddalający się dyferencjał pociągu. Owładnęła mną na moment panika, że już jej więcej nie ujrzę, że to, z czym walczyłem w pociągu – wygrało, że to, o co walczyłem w pociągu – przepadło. Tylko na moment jednak, bo zaraz pojawiła się nadzieja, że dziewczyna, jakkolwiek by nie była zjawiskowa, jest jednak stąd dziewczyną, jest dziewczyną miejscową, a nie zamiejscową. A jeżeli tak byłoby w istocie, to jeszcze mogłem ją odnaleźć, a choćby nawet spotkać przypadkiem. Peron zwiastował bowiem, że się wyrwałem z pociągu na niemożliwym wręcz zadupiu. Taka kobieta, zwiewna, pełna uroku nieskalanego perfidią i wyrafinowanie niewinnego wdzięku musiała być wśród tych kilku lokalnych chałup, wśród pól, łąk i lasów łatwa do wypatrzenia! Spojrzałem w niebo. Ciemne, ciężkie deszczowe chmury rozstąpiły się, ustępując miejsca sympatycznie i optymistycznie wyglądającym obłoczkom. Słońce prażyło wprawdzie nadal niemiłosiernie, ale zerwał się lekki wiaterek, niosący ożywcze tchnienie. Ruszyłem wzdłuż peronu, w stronę, gdzie, jak mi się zdawało, zniknęła dziewczyna. „Czy warto”, pomyślałem po przejściu kilkudziesięciu

metrów, „czy warto za nią... A może to jedynie kolejna ułuda? Przecież to na pewno była zwykła, prosta wiejska dziewczucha. Pewnie nic ciekawego. Kolejne rozczarowanie... Trzeba mi tego? A nawet ... A gdyby... Przecież ona... wcale nie musi... No, bo nie musi przecież. I do tego takie zadupie! W co ja się znowu pakuję? Eeee, trzeba było nie wysiadać”.

Spojrzałem smętnie za pociągiem, ale pociąg odjechał. Nie było już widać nawet kolebiącego się majestatycznie żelaznego zadu. Następny mógł przyjechać cholera wie kiedy. Rozejrzałem się, ale nie było ani stacji, ani ludzi. Był tylko peron przetrącony przez czas. „A więc to tak”, pomyślałem. „A więc jak już tu jestem... i nie jest mnie źle z tem...” Postanowiłem rozejrzeć się tu i tam. I tak nie miałem nic lepszego do roboty. Nie w tym miejscu. I nie w tej chwili. Ruszyłem przed siebie w stronę wsi, jak mi się zdawało. Nie do wsi jednak zaszedłem, ale do lasu. Był to zwykły las. Na pierwszy rzut oka. Wyglądał zachęcająco. Dawał cień. I chłód. Wszedłem weń, bez ścieżki, która urwała się nagle na jego granicy. Przenikało go rześkie powietrze, pachnące poszyciem, grzybami, ziołami. I czymś jeszcze. Czymś... Nie, nie chodzi o psie kupy. Nie chodzi też o kupy sarnie, dzicze, wilcze, ani nawet o bobki zajęcze (auuuuuuuuu!). Las pachniał czymś... niematerialnym. Spacerowałem po kobiercu z mchów, zeschniętych liści, igliwia, który uginał się pod mną niczym najlepszy perski dywan. Las był gęsty, świeży, ale szło się po nim wygodnie. Zdawał się rozstępować przede mną. Parę razy nawet specjalnie skierowałem się w stronę, która wyglądała na porośniętą zbitym gąszczem chaszcy, ale zawsze okazywało się, że i w nim znajduje się wygodne przejście. Poczulem pragnienie i po chwili omal nie wpadłem do strumienia, który toczył krystalicznie czyste wody. Napilem się i położyłem pod wielkim pniem starego dębu, opierając głowę o rosochaty korzeń. Był twardy, ale jednocześnie spoczywało się na nim przyjemnie, jakby pod dotykiem ciała mięknał i wygładzał się. Przysnąłem. To, co nie udało się pociągowi, dokonał las. Uspiał mnie. Ululał, jak oseska.

Z drzemki wyrwał mnie gwałtowny dźwięk, szcęk broni, tętent kopyt, zgrzyt blachy. Rozejrzałem się nerwowo wokół przekonany, że zaraz rozjedzie mnie ciężkozbrojna husaria. Wokół jednak znów panował ten sam spokój, słychać było ten sam delikatny szum drzew. Nie wiem, jak długo leżałem, ale musiały minąć godziny, bo kiedy wyszedłem z lasu, słońce właśnie kryło się za horyzontem. Nie zauważyłem w lesie, że się zmierzcha. Ale o tym pomyślałem dużo, dużo później. Kiedy minąłem ostatni szereg drzew uderzyła we mnie fala nagrzanego powietrza, rozwibrowanego oszalałymi od nadmiaru energii cząstkami. Było cicho. Zefirek, który przywitał mnie na peronie, poleciał już w inne strony. Ruszyłem przed siebie. I nagle uzmysłowiłem sobie, że las szumiał mimo ciszy, mimo zupełnej i permanentnej flauty. Żeglowałem kiedyś i potrafiłem wyczuć nawet najłżejszy podmuch. Obracałem twarz

w różne strony zawsze z tym samym skutkiem. Nie czułem nic. Powietrze pulsowało tylko termicznym udarem. Skąd więc ten szum w lesie, szum kojący, łagodny? Zawróciłem i zagłębiłem się w las. Który szumiał. Zamknąłem oczy i słuchałem lasu. Nie trwało to długo. Uśmiechnąłem się i ruszyłem w stronę peronu. Wiedziałem już wtedy, że nie wyjadę. Powodem nie była dziewczyna. O niej mogłem zapomnieć. Powodem był las. To las sprawił, że rozkład jazdy pociągów, przejeżdżających przez peron przestał mnie interesować. Szedłem w stronę peronu nie po to, by wsiąść do pociągu i odjechać, ale dlatego, iż było to, oprócz lasu, jedyne znane mi miejsce w okolicy. Peron był tuż tuż. Ale choćby nawet w tym momencie wjechał nań pociąg, nie wsiadłbym do niego. Już mnie to nie interesowało. Interesował mnie tylko las. I dziewczyna. Jednak przypomniałem sobie o niej, kiedy stanąłem na peronie. Pomyślałem, że nie byłoby od rzeczy z tą dziewczyną, w lesie... Rozejrzałem się wokół. Było pusto. Ani śladu dziewczyny. Ani śladu rdzennych Indian. Ani jednej swojskiej gęby, spalonej słońcem i wysmaganej wiatrem podczas pracy na roli. Ruszyłem w przeciwną stronę niż poprzednio. A przynajmniej tak mi się zdawało. Był peron, musiała być więc w okolicy jakaś miejscowość. Domniemanie to, logicznie niepodważalne, bo przecież nikt nigdzie nie budował peronów w dzikiej głuszy, potwierdzała ulotna obecność zjawiskowej dziewczyny. Las mnie zafascynował, dla niego, i dla dziewczyny nieco też, postanowiłem zostać, nie odjeżdżać, choćbym mógł, ale nie miałem zamiaru spędzić pierwszej nocy zanurzony w lesie. Zanurzony, że się tak wyrażę, soute. Bez śpiwora, materaca, namiotu, kochera, butli gazowej, zapasów, owerola. Las, to jednak był las, jakkolwiek by nie był przytulny i pieśczośliwie szumiący. A ja byłem chłopak z miasta. Ruszyłem więc na poszukiwanie domostw, chałup, choćby i stodoły z sianem, choć przyznać muszę, że nigdy w stodole na sianie nie spałem i bałem się nieco, czy gdyby przyszło co do czego, żdźbła słomy nie łaskotałyby mnie zbyt nachalnie, czy nie bałbym się pajaków, czy nie rozpraszałyby mnie zapach inwentarza. Ruszyłem też z nadzieją, że gdzieś tam czeka zjawiskowa dziewczyna. O! Gdybyż los zrządził w swej łaskawości, że ona zostałaby mą gospodynią tej pierwszej nocy. Ileż mógłby taki traf rozwiązać, jak bardzo mógłby przyspieszyć bieg zdarzeń. Stało się jednak tak, że w mroku doszedłem znów do ściany lasu. Siadłem na jego granicy zrezygnowany i podparłem głowę rękami. Siedziałem tak czas jakiś, w końcu położyłem się, zanurzając górną część ciała w lesie. Las zaszumiał. Wyjąłem głowę z lasu. Cisza. Zanurzyłem ją w lesie. Szum. Bawiłem się tak jakiś czas, aż mnie głowa rozboleła od takiego kiwania nią w przód i w tył. Wstałem i zrobiłem krok w las. Na zewnątrz zrobiło się już ciemno, że oko wykol. W lesie za to widać było każdy szczegół. Jak? Dlaczego? Z jakiej to przyczyny? Po co? Tego było już za wiele. „Muszę być bardzo zmęczony”, pomyślałem. „To

pewnie przez ten zółwi pociąg, przez burzę, co nie nadeszła, przez powietrze nagrzane, ciężkie. Uf. Wystarczy mi tego wszystkie, tego lasu, na dzisiaj”. Skoczyłem raz i drugi, owładnięty niepokojem niemalże zatraćającym o histerię, by wydobyć się z lasu, jak najszybciej. Choć las nie miał w sobie nic demonicznego, jeno nieprzebrane pokłady sympatii. Ale to było właśnie jeszcze gorsze. Jeszcze bardziej przerażające! W końcu od dziecka jesteśmy edukowani, że las to zwierzęta dzikie, niebezpieczne, wilki dybiące na Kapturka, gąszcze nieprzebyte, ścieżki mylne, bagna cuchnące siarką. A tu – masz! Las, jak przyjaciel! Jak hotel z ilością gwiazdek raczej większą niż mniejszą. Las, jak matka! „Cóż to za las!”, krzyknąłem wewnątrz, bezdźwięcznie, może jedynie z takim sapnięciem odprężającym i poczułem ulgę, bo po kolejnym skoku wylądowałem na znanej mi drodze. Drodze prowadzącej na peron. „Czy wszystkie drogi prowadzą tu na peron?”, pomyślałem nieprzytomnie. „Czy wszystkie drogi prowadzą do lasu?!” Nieprzyjemny dreszcz przebiegł mi po krzyżu, bo gdyby tak było w istocie, to gdzie miałbym się podziać, dokąd uciec? Jakże miałbym się stąd wyrwać, jak ratować, skoro czekał mnie wszędzie tylko albo widmowy peron, albo niesamowity las? Poczułem, że włosy jeżą mi się wszędzie tam, gdzie tylko włosy miałem. Już miałem rzucić się na ziemię, skulić w pozycji embrionalnej i skomląc czekać świtu, kiedy w oddali ujrzałem światełko. „Biec czy nie bieć”, pomyślałem, „oto jest pytanie. Czy czekać światełka, czy wyjść mu naprzeciw? A jeżeli światełko jest jak las?! Może nie naprzeciw wychodzić, może nie czekać należało, ale spieszyć jak najdalej? Ale dokąd?! Skoro tu las, a tam peron...”. Nie miałem wyjścia. Ucieczka nie miała sensu. Światełko zbliżało się, powoli, nieco zygzakiem. Jeżeli wiać się nie dało, to na co miałbym czekać? Postanowiłem wyjść światełku na spotkanie. Ruszyłem w jego stronę, a wtedy ono, nagle, niespodziewanie, przypadło do samej ziemi, jakby chciało się na mnie przyciąć, jakby mnie chciało zaskoczyć. Albo jakby się mnie wystraszyło. Zamarłem. „Boże jedyny, co mnie tu jeszcze spotka? Nigdy więcej nie wysiądę na takim zadupiu, z jednym pogruchotanym peronem, choćbym i ujrzał najbardziej zjawiskową dziewczynę”, przysiągłem w duchu. Pot zaczął mi się wykraplać na czole, a był to pot zimny, śmiertelny. Ale okazało się, że najzupełniej niepotrzebnie pot ów się przez pory mej skóry na świat zaczął przedzierać, bo ledwo światełko przypadło do ziemi usłyszałem swojskie: „ożeż ty kurwa twoja mać w mordę kopane”. Głos był lekko niewyraźny, bełkotliwy. Choć dobiegał z daleka czuć go było znajomą wonią alkoholu, najpewniej aromatem gorzałki, bimberku lubego, pędzonego gdzieś w piwnicy lub stodole, z ziemniaków, albo żyta. A może był to bimberk owocowy? Pora była ku temu sposobna. Letnia. Obliziałem się smakowicie, uświadamiając sobie jednocześnie, że osobiste zapasy okowity wyczerpałem jeszcze w pociągu, na chwil kilka przed feralnym

peronem zadupianym. Nie było na co czekać, już całkiem śmiało, wietrząc swą szansę, być może jedyną, poszedłem wyciągając nogi w stronę światełka, które dźwigało się mozolnie z pozycji padnij, waruj, do pozycji powstań, pozycji zdradzającej gotowość do podjęcia dalszej podróży. Powody, dla których światełko wraz ze swym właścicielem, najwyraźniej będącym pod dobrą datą, znalazły się tu i teraz, o tak późnej porze, były dla mnie chwilowo niejasne, ale nie miałem zamiaru kłopotać się tym na zapas. Mówiąc wprost guzik mnie obchodziło, dlaczego mężczyzna w stanie wskazującym błąka się po nocy i do tego w okolicy odludnej, blisko lasu, który szumiał, choć nie powinien. Obchodziło mnie tylko jedno – by jak najszybciej spytać go o drogę do wsi, do przysiółka, do czegokolwiek, gdzie mógłbym spotkać jakichś ludzi i poprosić o nocleg. Pech chciał, że w ciemnościach potknąłem się o coś, jakiś kamień, czy korzeń i wpadłem w las, niezbyt głęboko, ale wystarczająco, by usłyszeć szum, odgłos pękających i wałących się z głuchym łoskotem pni, chrzęst gąsienic. Odruchowo spojrzałem w stronę, skąd dochodził harmider i zdało mi się, że poprzez gąszcz, który trząsł się cały i dygotał, dojrzałem lufę i fragment dźwigającego ją, gargantuicznego, obłego cielska. Zawyłem i jednym, gibkim wyrzutem ciała wydostałem się z lasu, wprost pod nogi człowieka z rowerem. Ponieważ skoczyłem na osłep, głową do przodu, lądując wyrznięłem się boleśnie w kolano, dłoń, skroń, a także jeszcze w kilka innych miejsc, tu i tam i ówdzie. Mężczyzna znów zaklął, zachwiał się, rower, wraz z przymocowanym doń światełkiem pociągnął go ku ziemi. Leżałem bokiem i dokładnie widziałem całe zajście i nie wiem z jakiego powodu wydało mi się, że to światełko właśnie najbardziej ciągnie mężczyznę, najbardziej mu ciąży, najlepszym jest wykonawcą woli pani grawitacji. A przecież światło zawsze jest najlżejsze, zarówno subiektywnie, wrazeniowo, jak i obiektywnie, czysto fizycznie, bo przecie fotony nie posiadają masy spoczynkowej. Moje zaskakujące odczucie nie zdziwiło mnie jednak najzupełniej, bo od momentu, kiedy wysiadłem z pociągu na peron miałem dość czasu, by nabrać nieco odporności na dziwaczną formę świata, który się na peronie zaczynał. Dość czasu spędziłem w tutejszym lesie. „Czy pan jest chory na głowę”, wybełkotał pijaczek, tocząc jednocześnie walkę z rowerem, w który, padając, odrobinę się zaplątał. Chciał powstać, ale rower nie puszczał, oplatał go ramą, pedałami, kierownica wpijała mu się w bok, niczym żywe stworzenie, nawet pompka, odczepiona z jednego zaczepu, a trzymająca się na drugim w jakiś niepojęty sposób, wbrew prawom mechaniki, usiłowała utrudnić mu życie, dźgała go zdradziecko pod pachę. Szarpał się z rowerem, aż mu cylinder spadł z głowy. Cylinder na głowie lokalnego menela również mnie nie dziwił. Zresztą resztę przyodziewku miał jak trzeba, czyli kufajkę, walonki, portki wyciągnięte i okrutnie uwalane. Wymienione części garderoby harmonijnie współgrały z

jedwabną koszulą z żabotem i szerokim krawatem w grochy, bo zarówno koszula, jak i krawat, były równie brudne, jak i portki. Wstałem i zwróciłem się w jego stronę, by mu pomóc w nierównej walce z coraz agresywniej zachowującym się bicyklem, bo jednak nie był to chamski, współczesny rower, ale klasyczny bocykl, z małym tylnym kółeczkiem i kołem przednim o średnicy, jak oceniłem na oko, przekraczającej dwa metry. Mężczyzna, widząc co zamierzam, ryknął: „A odwal się pan! Gdzie z łapami?!” i rzucił się gwałtownie wstecz, fikając przy tym kozła przez plecy. Miało to ten pozytywny skutek, że bocykl wypuścił go z uścisku. „Niech się pan nie boi”, zacząłem ugodowo, „ja chciałem tylko pomóc”. „Pomóc?!”, oburzył się pijaczek. „Pan sobie ze mnie dworuje? Czy tylko jaja sobie pan ze mnie robi? Najpierw się pan na mnie rzuca, jak zbój, prosto z lasu pan na mnie wyskakuje, rzec można, że dybie pan na mnie zupełnie jawnie, na mnie, na mój rower, pewnie się lakier porysował, a go dopiero co niebieskim sprayem lakierowałem, co go dostałem od karczmarza w zeszłym tygodniu, mogłem sobie marynarkę podrzeć, albo i co gorsza...”. Tu przerwał i sięgnął nerwowo, nagle przejęty wizją nowego nieszczęścia, do kieszeni marynarki, bo to jednak była marynarka, nie kufajka, dość gruba, pewnie wełniana, wytarta na łokciach, przypalona w kilku miejscach papierosami. Widziałem to wyraźnie, bo światełko z roweru, najwyraźniej zasilane nie przez dynamo, ale z jakiegoś akumulatora, zupełnie dobrze oświetlało go z boku. A rower, nie bocykl, jak mi się przez chwile zdawało, ale rower, zwykły, stary, taki wielgachny, wiejski welocyped bez przerzutek, ciężki, z grubą ramą, na grubych oponach, z grubym skórzanym siodelkiem, wspartym na grubych, pordzewiałych sprężynach, może i był malowany, ale chyba jeszcze w fabryce. Po raz pierwszy i ostatni. Pół wieku temu. I nie sprayem, ale pistoletem. Co to zresztą za różnica... Macał przez chwilę, dokładnie, z uwagą, wyraz ulgi pojawił się na jego twarzy. „No, nie rozbiła się”. Zerknął na mnie, chyba nawet z odrobiną sympatii, bo mu się flaszka podczas upadku nie roztrzaskała. Przełknąłem ślinę, oblizałem spieczone wargi. „Suszy”, bardziej stwierdził niż zapytał, bezbłędnie odczytując moje myśli, moje potrzeby. Kiwnąłem głową i uśmiechnąłem się nieśmiało. Wyciągnął dłoń z kieszeni. W dłoni dzierżył butelkę. Odkręcił i podał mi. „Dziękuję”, powiedziałem z wdzięcznością i pociągnąłem spory łyk. „No!”, zawołał, widząc, jak mi grdyka lata. „Dobra”, rzuciłem smętnie, oddając mu flaszkę. Na więcej nie było szans. „Pewnie, że dobra. Wiśniowa. Podwójnie destylowana. Pędzona na detergentach”, oświadczył z dumą. Beknąłem i zacząłem się drapać odruchowo, bo na proszki do prania miałem uczulenie. „Pan przyjechał dzisiaj? Pociągiem?”, zapytał. „Skąd pan wie?” „To mała miejscowość. Wiadomości szybko się rozchodzą”. A więc jednak nie było tutaj tak pusto, jak mi się zdawało. Ktoś musiał mnie widzieć, ktoś zauważył, jak wysiadam na peron. „Z daleka?”, zapytał, przyglądając mi się

ciekawie. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że mu jednak nie zagrażam. Tylko butelki z ręki nie wypuszczał, zaciskał na niej palce drapieźnie, przekonany zapewne, i skądinąd słusznie, że jest to jedyna jego rzecz, na którą mógłbym się połasczyć. „Z daleka”, rzekłem, „z północy”. „A, z północy. To z daleka”, zgodził się. „Szukam noclegu”. „Szukajcie, a znajdziecie”, powiedział i zarechotał w głos. Naraz spowaźniał, dotknął delikatnie palcem wskazującym prawej ręki czubka głowy. „A gdzie kapelusz, gdzie mój melonik?!”. „Potoczył się”, wyjaśniłem. „Jak pan padał to się zsunął. Chyba tam się pokulał”, wskazałem ręką. Ruszył w jego stronę, ale potknął się o rower, który wciąż leżał w trawie. Runął na ziemię, prosto na twarz, zaklął, ale bez złości, pewnie do wywrotek był już przyzwyczajony. Coś mu się wymknęło spod marynarki, błysnęło metalicznie. Nie byłem pewien, ale był to chyba rewolwer, tak zwany bębenkowiec. Upadł szczęśliwie o tyle, że jego twarz znalazła się w bezpośrednim sąsiedztwie kapelusza. Nie cylindra. Melonika. Uniósł głowę. „O, jest”. Dźwignął się na kolana. Otrzeptał melonik. „Coś panu wypadło, jak pan rymnął. Wypadło panu z kabury”, podrzuciłem sprytnie, ciekaw, jak zareaguje, bo jednak nie byłem pewien, czy to rzeczywiście był rewolwer. „Skąd? Z kabury?”, udał zdziwienie. A może zdziwił się naprawdę? „A, to. Dziękuję, nawet nie zauważyłem”. Ubrał na głowę melonik, a rewolwer schował pod marynarkę, pod pachę. Nie wiem dlaczego, ale pomyślałem, że mu musiało strasznie jechać spod tej pachy. Nie istotne. Grunt, że tam właśnie schował metaliczny przedmiot, co było ważne o tyle, że pod pachą, zarówno pod taką zadbaną higienicznie, jak i pod taką, spod której daje na odległość, nosi się zazwyczaj kaburę. A w niej broń. Był to więc rewolwer. A może i nie był. Może po prostu schował do wewnętrznej kieszeni flaszkę? „Pomoże mi pan podnieść rower?”, zapytał. Teraz on był jakby speszony. „Wie pan, zmęczony jestem, cały dzień na nogach, tylko praca i praca. Nawet czasu nie ma na odpoczynek, na to, żeby zjeść, żeby wypić. Wie pan, ludzie czekają”. Dopiero teraz dojrzałem, że przez pierś przewieszoną miał torbę. A więc jeździł od jednego domu do drugiego? Na rowerze? Z torbą? Takie by to było proste? Takie przejrzyste? Po prostu był listonoszem? Listy ludziom nosił? Paczki? Przekazy? Także pieniądze? Może po to potrzebny mu był rewolwer? By się obronić w razie napadu? Bohaterski pocziarz... Ale czemu taki zmęczony był, czemu na nic poza pracą nie miał czasu? Na takim zadupiu. Ile tu mogło być rodzin, ile domów? Co mnie to zresztą mogło obchodzić. Może i nie miał czasu, ale na pewno nie na picie. Nawalony był, że ho! Pomogłem mu podnieść rower, bo rozumiałem człowieka. W jego stanie rower stojący mógł być pomocny, rower leżący to było wyzwanie, które mogło się okazać ponad jego solowe siły. Poza tym, jeżeli faktycznie był listonoszem, to na pewno wiedział, gdzie, u kogo, kto z kim, kiedy, za ile, jak często, na jak długo i tym podobne.

Zbratanie się z nim, a choćby i niewielkie zaznajomienie sympatyczne, nawiązanie nici zrozumienia, mogło przynieść mi nie lada korzyści. Dlatego złapałem za rower ochoczo, by miał u mnie długi. „Niech pan posłucha”, zacząłem, jak już stał wygodnie oparty o swój stojący pewnie rower, „przyjechałem tutaj dzisiaj. Nie znam okolicy. Tylko peron i ten tu oto las. Chciałem dojść z peronu do wsi, ale zawsze dochodziłem do lasu. To znaczy dwa razy dochodziłem, za każdym razem z peronu”. Słuchał mnie jakoś tak dziwnie mrużąc oczy. Nie podobało mi się to, ale nie miałem wyjścia. Musiałem brnąć dalej w konwersację. „Jestem zdruzony, srodze strudzony, chciałbym gdzieś przenocować, byle gdzie, byle się na głowę nie lało, bo się zapowiada na burzę już od paru dni, więc może wreszcie dzisiaj poleje, a może i zagrzmie, więc wolałbym gdzieś pod dachem nocować, byle dalej od lasu”. „Las się panu nie podoba? A co konkretnie?”, zapytał jakoś tak natarczywie i jeszcze bardziej zmrużył ślepią, w których, mogłem przysiąc, pojawiły się czerwone, diabelskie błyski. „Mnie? Nic właściwie, nic konkretnego, tylko tak jakoś, ja z miasta jestem, nieprzyzwyczajony, by spać w lesie, w dodatku w lesie, którego nie znam, w okolicy, w której jestem po raz pierwszy. Bałbym się. Nie mógłbym usnąć od tego szumu, a taki jestem zmęczony i snu potrzebuję, jak kania dżdżu. Czy ta droga prowadzi do wsi?”, mówiąc to wskazałem drogę, którą przyszedłem z peronu. „Nie, tutaj żadna droga nie prowadzi do wsi. Musi pan iść polami, o tam”. Wskazał kierunek ręką. „Nie ma drogi do wsi? A pan czasem do wsi się nie wybiera? Bo ja, jak już mówiłem, nietutejszy jestem...”. „Wiem”, przerwał mi brutalnie. „Tu się wszyscy znamy. Zresztą już pan wspominał. Nie idę do wsi”. „Czy aby na pewno?”, nie dawałem za wygraną. „Bo ja bym się z panem chętnie zabrał. Nawet rower mogę poprowadzić”. „Powiedziałem już. Chce pan do wsi, to wieś jest tam, gdzie pokazałem. Musi pan iść przez pola. Niech pan idzie, bo późno. Radziłbym się pospieszyć. A ja... nawet jakbym szedł do wsi, to i tak nie mógłby mi pan towarzyszyć”. Powiedział to tak kategorycznie, że aż mi ciarki przeleciały po plecach. Nie ośmieliłem się już o nic pytać, tylko oglądając się co kilka kroków za siebie, ruszyłem we wskazanym kierunku, w stronę wsi. Stał przez chwilę w tym samym miejscu, a potem zniknął. Nagle. Jakby się zdematerializował. Pobiegłem. Cały czas oglądałem się za siebie, bo mi się wydawało, że ktoś lub coś na mnie patrzy, że za mną biegnie, ściga mnie i chce dopaść. Wyobraźnia podsuwała mi obrazy owłosionych wilkołaków, dyszących, pędzących rączymi susami, niemal bezszelestnie, szczerzących okrutne, skąpane w krwi kły. Ich paszcze ociekały śliną. Biegłem przed siebie prawie po omacku, w dodatku co kilka drżących skoków filowałem panicznie przez plecy i w końcu stało się, co się stać musiało: zawadziłem stopą o grudę ziemi i wyrznąłem z całym impetem. Okazało się, że biegłem po polu, po ściernisku właściwie. Przejechałem dłonią po twarzy i poczułem lepkość krwi. Musiałem się pokaleczyć

podczas upadku. Całe szczęście, że nie wykłułem sobie oczu na sztywnych, wyschłych źdźbłach zżętego zboża. Obróciłem się na plecy i zacząłem się śmiać. Nagle zrobiło mi się wszystko jedno. Już się nie bałem. Nawet chciałem, by dopadła mnie jakaś bestia i rozszarpała na kawałki. Miałem dość. Sięgnąłem do kieszeni i wydobyłem skręta. Był to mój skręt ostatni. Trudno. Tak to już jest. Wszystko się kiedyś kończy. Z lubością wetknąłem go między skrwawione wargi. Gmerałem chwilę za zapalnikami w spodniach. W końcu znalazłem pudełko. Było prawie pełne. „Chociaż tyle”, pomyślałem. Otworzyłem je powoli, wyjąłem zapalnik i potarłem główką o draskę. Rozjarzył się mały, ale żwawy ogienek. Przytknąłem go do skręta i rozkosznie się zaciągnąłem. Leżałem paląc, choć ściernisko niemiłosiernie wbijało mi się w skórę. Smakowałem. Syciłem płuca, krew, układ nerwowy, słodkim dymem. Nastrój poprawił mi się i udałem się w dalszą drogę. Przez pole. Ku wsi.

Leciałem na nos, choć trzeźwił mnie chłód poranka. Całą noc szedłem polami. Wyczyn ten zawdzięczałem zapewne ostatniemu skrętowi. Bez niego już dawno padłbym z nóg. Po trosze resztkę sił czerpałem może także z determinacji i złości. W końcu kiedyś musiałem trafić na jakieś zabudowania. Nie byłem przecież w Australii. Słońce przebijało się poprzez mgły, blade jeszcze i anemiczne, wprost nad głową błękitniało niebo. Zapowiadała się piękna, upalna pogoda. Przed nosem miałem jednak wciąż mleczone kłęby, trącane delikatnymi podmuchami wiatru i świat przed sobą, za sobą i po bokach widziałem jedynie na odległość najwyżej kilkunastu metrów. Nie wiedziałem, czy idę prosto, czy też błędę, kręcę się w kółko. Podobno każdy człowiek ma jedną nogę dłuższą i jeżeli nie ma przed sobą żadnych punktów orientacyjnych, ani nie może korzystać z kompasu, zawsze maszeruje po spirali. Mnie zapewne również nie udało się zachować kierunku wskazanego wczoraj w nocy przez pijaka z rowerem. Aż dziwne, że jeszcze do tej pory, a od czasu, kiedy rozpocząłem marsz przez pole musiało minąć wiele godzin, nie dotarłem ani do lasu, ani na peron. To, że nie trafiłem do wsi wcale mnie nie dziwiło. Denerwowało – i owszem, napawało lękiem – jak najbardziej, ale nie dziwiło. Mgła trwała niemalże w niezmiennym stanie już od dłuższego czasu i zacząłem odczuwać surrealistyczny lęk, że nigdy z niej nie wyjdę. W dodatku uświadomiłem sobie, że jeżeli mam odpowiednio wielkiego pecha to w takiej mgle, po bezdrożach mogę błędzić tygodniami, mijając zabudowania o metry. Wprawdzie wcześniej czy później powinienem był trafić na jakąś drogę, ale wtedy znowuż groziła mi pułapka alternatywy, że idąc nią albo trafię na peron, albo do lasu. I kiedy zaczynałem tracić wszelką nadzieję, a pierwsze łzy rozpacz napłynęły mi do oczu, przez mgłę przebił się fragmentaryczny obraz muru. Padłem na kolana, dziękując losowi za łaskę, ale szybko zerwałem się przerażony, że mgła znowu zgęstnieje i mur zatraci się w niej bezpowrotnie.

Zerwałem się na nogi i zataczając się z wyczerpania pobiegłem w stronę czerwieni cegieł, odcinającej się wyraźnie w białej kipieli. Mur ceglany otaczał parterowy budynek, dość rozległy, schludnie otynkowany, kryty dachówką. Z komina, mimo lata i wczesnej pory, unosił się delikatny dym. Poszedłem wzdłuż muru, aż natrafiłem na wejście – kutą, stalową bramę, autentyczne dzieło sztuki kowalskiej. Za nią, w odległości kilku kroków, widniało wejście do budynku, a nad nim napis: KARCZMA RZYM . Nie było to z pewnością to miejsce i ta karczma feralna, w której kusił pomiot diabelski, ale i tak poczułem mrowienie na karku. Rozejrzałem się wokoło. Mgły nie było już ani śladu i przed moimi oczami rozpostarł się krajobraz malowany czystą barwą i wyrazistą, aż nienaturalnie kontrastową kreską. Potrząsnąłem głową, chcąc odpędzić nierealny majak, ale widziałem wciąż to samo – stałem na niewielkim ryneczku, brukowanym kostką wapienną, otoczonym niewielkimi, zadbanymi budynkami. W środku ryneczku stał okazałszy budynek, z wieżą zegarową i dzwonnica. Otarłem pot, który wystąpił mi na czoło mimo rzeńskiego powietrza. Obok bramy, przy samym murze, stała drewniana ławka wykonana w stylu rustykalnym, zbita ze struganych pni i grubych desek. Opadłem na nią, starając się zebrać myśli. Ławka jednak nie dała mi wytchnienia, nie pozwalała na relaks, niewygodna i odpychająca mimo sympatycznego wyglądu. Wierciłem się na niej, starając się przyjąć jak najwygodniejszą pozycję, im jednak więcej kręciłem się, tym ona gwałtowniej odpowiadała mi wpijając się w plecy i pośladki tysiącami niewidocznych, twardych, ostrych wypustek. W końcu dałem za wygraną i przestąpiłem próg karczmy.

- Nareszcie - usłyszałem głos, w którym pobrzmiewała nuta wyrzutu, ale i ulgi.

Głos nie był mi zupełnie obcy, ale przecież nieprawdopodobieństwem byłoby oczekiwać, że czeka tu na mnie ktoś znajomy. Stałem chwilę bez ruchu, by przyzwyczaić wzrok do panującego we wnętrzu półmroku.

- Przybyłeś pan nareszcie – powtórzył ten sam głos. – Długoś kazał pan na siebie czekać.

- Pan do mnie? – zwróciłem się w stronę głosu, mrużąc oczy i wyciągając szyję, by lepiej widzieć.

- Nie, to pan do mnie.

- To znaczy, czy do mnie pan mówi?

- A do kogóż by innego?

Dopiero teraz go dostrzegłem. Stał za barem, gruby, w kuchennym fartuchu nie pierwszej czystości i wodził po mnie wzrokiem, w którym znać było zniecierpliwienie.

- My się znamy? – zapytałem zbliżając się do baru.

- Ależ skąd. Jednakowoż mogłeś się pan trochę pospieszyć. To nic przyjemnego kiblować tak za barem przez całą noc.

- Przepraszam, ale ja...

- Przepraszam, czy nie przepraszam, niemniej zarwałem przez pana całą noc.

- To chyba jakaś pomyłka – zaprotestowałem słabo.

Teraz, kiedy oczy zupełnie przyzwyczyły się do oświetlenia karczmy, już nie tylko głos, ale i twarz karczmarza wydała mi się znajoma. Tak, nie miałem wątpliwości. Karczmarz był niezwykle podobny do listonosza, którego poznałem wczoraj w nocy. Tamten był wprawdzie chudy, a karczmarz, pomimo niezbyt imponującego wzrostu, musiał ważyć sporo ponad sto kilogramów, niemniej jednak twarze obaj mieli identyczne.

- Pomyłka?! – jego głos zadrgał złością. – Tu nie ma miejsca na żadne pomyłki. Przez pana fanaberie nie zmrużyłem oka, a pan sobie przychodzisz w południe i jeszcze udajesz głupiego.

- W południe? – nie kryłem zdziwienia, byłem bowiem przekonany, że może być piąta, najwyżej szósta rano.

- Tak właśnie. Jest południe.

W tym miejscu nic się nie zgadzało, nic nie pasowało. Wprawdzie całe moje życie było splątane, nieprzewidywalne, a ja byłem jedynie popychadłem losu, miotanym przez jakieś tajemnicze siły od zdarzenia do zdarzenia, tutaj jednak wszystko zdawało się być niczym porwany i źle zmontowany film eksperymentalny. Las, peron, dziewczyna zjawiskowa, upływający nieliniowo czas, nawet ludzkie fizjonomie zdawały się przeczyć normie rzeczywistości.

- Dlaczego pan na mnie czekał?

- A nie szedł pan do mnie? Nie szukał pan wsi? Noclegu?

- Owszem, ale skąd pan o mnie wie?

- To pan przyjechał wczoraj, pociągiem?

- Ja.

- No widzi pan. I gdzie miałby pan niby spać? W lesie?!

Przy słowie las, aż prychnął.

- Brat panu o mnie powiedział? – zapytałem chociaż byłem pewien, że tak. Nie mogło być przecież inaczej.

- Brat?

- Tak, pana brat. Bliźniak. Ten listonosz.

- Słuchaj pan, ja nie mam brata, nie mam bliźniaka. Od urodzenia aż do dzisiaj jestem jedynakiem. I stan ten raczej się nie zmieni, bo moi rodzice już nie żyją.

- Bardzo mi przykro...

- Gadaj zdrów! Co pana mogą obchodzić moi rodzice? A listonosz przyjeżdża do nas z miasteczka...

- Na rowerze! – przerwałem mu. – W meloniku i do tego uzbrojony...

Nagle uprzytomniłem sobie, że jeżeli okazałoby się, że: wieś, ryneček, ratusz, karczma, jeżeli to wszystko było realne, a jedynie nocne zdarzenia były ułudą, jeżeli realny był karczmarz, to moje słowa musiały brzmieć, jak najzupełniej horrendalna brednia.

- Na skuterze – wyjaśnił barman. Patrzył na mnie z niechęcią, tak, jak się patrzy na natrętnego menela, ale jednocześnie czujnie. – Przyjeżdża na skuterze raz w tygodniu, w czwartki. Czyli pojutrze. Ale skończmy już ten temat. Pan jest zmęczony. Ja tu sobie siedziałem w ciepłe, wygodzie, a pan tam, całą noc... Bóg jeden raczy wiedzieć, gdzie się pan błakał.

- Jeżeli to nie od listonosza pan o mnie słyszał, to od kogo? – nie dawałem za wygraną. Zgrzeczniał gwałtownie, co wydało mi się podejrzane. Dlatego postanowiłem go jeszcze przycisnąć.

- No! Skąd?! Skąd pan o mnie wie?

- To mała miejscowość. Wiadomości szybko się rozchodzą.

Mówiąc to nie patrzył mi w oczy tylko zawzięcie pucował ścierą blat. Gdzieś już słyszałem ten tekst. Czy aby nie dokładnie takich samych słów użył pijany rowerzysta wczoraj wieczorem? Rowerzysta, który wyglądał, jak jego klon po kuracji odchudzającej.

- Przygotowałem panu pokój – powiedział karczmarz. - Na górze. Skromny. Pan pewnie z miasta, przyzwyczajony do wygod. Ale tutaj nic lepszego pan nie znajdzie.

- Nie sądzę by był mi potrzebny. Wolałbym stąd jak najszybciej wyjechać.

Popatrzył na mnie badawczo.

- Obawiam się, że nie będzie to możliwe...

- A cóż to znowu znaczy?

- Niech się pan nie denerwuje. Miałem na myśli, że nie będzie to możliwe szybko.

- Szybko, czy nie szybko – nie ma to znaczenia. Chcę stąd wyjechać. Obojętne kiedy. Byle dzisiaj.

Mówiłem to, wpijając w niego oczy, chociaż doskonale wiedziałem, że i tak stąd nie wyjadę.

Nie miałem takiego zamiaru. Jeszcze nie teraz. Zbyt wiele rzeczy mnie tutaj intrygowało, że wspomnę tylko dziewczynę płynącą peronem, dziewczynę, która się nad peronem unosiła, dziewczynę zjawiskową i las. Czy to dziewczyna spowodowała, że postanowiłem zostać?

Nie, wczoraj, tam, na peronie była tylko impulsem, który wyrwał mnie z otępienia,

wywołanego jazdą, nadciągającą od wielu dni burzą. Byłem pewien, że dla niej, tylko dla niej,

nie zostałbym w tej wsi, w tej okolicy, ani chwili dłużej. Las przyciągał mnie jednak z każdą chwilą coraz bardziej. Musiałem wejść weń jeszcze raz, sprawdzić, czy to, co przeżyłem wczoraj, było tylko złudzeniem, majakiem, stanem delirycznym, czy też zdarzyło się naprawdę, czy się jeszcze powtórzy. Tak, chciałem zbadać las. O ile w ogóle istniał. Z dziewczyną chciałem się tylko przespać.

- Właśnie o tym mówię. Dzisiaj nie może pan stąd odjechać.

- Bo co?

- Bo dopiero jutro ma pan pociąg na południe.

- Na południe? Dlaczego akurat na południe?

- Pan z północy, myślałem, że jedzie pan na południe.

- Skąd pan wie, że z północy?

- Tu wiadomości szybko się rozchodzą. Przecież już wspominałem. Wie pan, mała społeczność. Przyjeżdża punktualnie piąta trzydzieści. Odjeżdża też. Krótka tu u nas stoi. Mało kto wsiada, mało kto wysiada. Nie ma po co stać dłużej.

- To jest zrozumiałe. O piątej trzydzieści wieczorem przyjeżdża i odjeżdża?

- Nie, rano. Skoro świt. Wieczorem nic nie jedzie.

- A jakieś inne pociągi? O innych porach? Niekoniecznie na południe?

- Inne? Nie ma innych. Słyszałem, że w Koluszkach jest dużo pociągów.

- Dlaczego akurat w Koluszkach?

- Tak słyszałem, to mówię. Ale u nas nie ma. Jest tylko ten jeden. Piąta trzydzieści rano.

- Pan nie jest dobrze zorientowany. Ja tutaj przyjechałem innym pociągiem. Gdzieś tak koło południa, może nieco po.

- Musiało się panu coś pomylić, coś się panu zdawało. U nas jedzie tylko jeden pociąg, jedzie ledwo dnieje, punktualnie czwarta dwadzieścia.

Rozmowa z nim zaczynała mnie męczyć z każdą chwilą coraz bardziej. W dodatku dopadła mnie obezwładniająca senność.

- Niech już będzie ten pokój.

- To dobra decyzja – uśmiechnął się krzywo. – Zresztą i tak nie miałeś pan wyjścia. Idź pan za mną.

Jakbym nie był taki umęczony i śpiący być może zdziwiłbym się, z jaką łatwością powrócił do obcesowego sposobu zwracania się do mnie. Teraz jednak było mi wszystko jedno.

Marzyłem tylko, by jak najszybciej znaleźć się w łóżku. Nie przeszkadzało mi nawet, że prowadząc mnie po schodach na poddasze – łypał przy tym co chwilę w moją stronę żółtym ślepiem - wyglądał jak demoniczny garbus Igor, pomagier doktora Frankensteina.

Nie wiem, jak długo spałem. Mogło to być zarówno pięć minut kamiennej śmierci, jak i pięć dni bezprzytomnego letargu. Obudziło mnie szarpanie za rękaw.

- Nie teraz – mówiąc to wyszarpałem koszulę z drżącego uchwytu i przewróciłem się na drugi bok, naciągając na głowę koc.

- Właśnie, że teraz – w głosie nieznajomego brzmiał dziecięcy upór.

- Nie.

- A właśnie, że tak!

Nie zareagowałem, ale zerwał ze mnie koc i zaczął szarpać ze zdwojoną energią.

- Co jest do ciężkiej cholery – ryknąłem i odwróciłem się w stronę natręta. Szybko jednak spuściłem z tonu, bo pochylał się nade mną policjant.

- Przepraszam... Ale musiałem zasnąć bardzo ciężko. Byłem zdżony. Która godzina?

- Wpół do komina – policjant wykrzywił się i podniósł ręce do twarzy. Byłem przekonany, że chciał mi zagrać na nosie, ale w ostatnim momencie opanował się jednak. - Mam kilka pytań.

- Proszę, niech pan pyta – usiłowałem być grzeczny.

- Nie potrzebuję do tego pana pozwolenia. I tak będę pytał, i tak.

W rzeczy samej coś z nim było nie tak. Może nie był to policjant, tylko osobnik nienormalny, jedynie przebrany za policjanta? Stał do mnie tak odwrócony, że światło padało mu na plecy i jego twarzy była dla mnie jedynie szarą, niemal czarną plamą. Postanowiłem na razie nie drażnić go. W końcu nigdy nie wiadomo, co takiemu pomyłonemu przebierańcowi może strzelić do głowy.

- Ma pan rację, rację w najwyższym stopniu, dwieście procent racji.

- Pan sobie ze mnie kpi?!

- Nie, staram się jedynie zapewnić pana, panie władzo, o swej dobrej woli i gotowości współpracy. Zresztą nie mam nic do ukrycia.

- Czyżby? – mówiąc to wyprostował się i zrobił kilka kroków po izbie. Dzięki temu mogłem zobaczyć jego twarz oraz po raz pierwszy rozejrzeć się po pokoju, który zajmowałem. Kiedy dotarłem tu, prowadzony przez karczmarza, który za barem był obleśnym grubasem, a na schodach przeistoczył się w garbusa Igora, byłem tak wyczerpany, że od razu padłem na łóżko i natychmiast zasnąłem. Pokój okazał się niewielką kanciapą, mającą nie więcej niż kilka metrów kwadratowych powierzchni. Znajdowało się w nim: łóżko, a właściwie zbita z

nieheblowanych desek prycza, wyposażona w zapleśniały materac, z którego wyłaziło włosie oraz śmierdzący kurzem, dziurawy, sfilcowany koc; nie domykająca się, krzywa szafa, z której, jeden Bóg raczy wiedzieć dlaczego, wypełzała czarna sukienka, mogąca w równym stopniu uchodzić za sutannę, co damski strój żałobny; stół z pociętym, bakelitowym blatem; obite marnym, popękany skajem krzesło. Nóżki zarówno krzesła, jak i stolika były wykonane z niskogatunkowej stali, porzewiałe i oblepione brudem. Oba sprzęty stały chybotliwie, zapewne w równym stopniu przez własne wady konstrukcyjne, jak i nierówności drewnianej, rozłazącej się podłogi. Było więcej niż pewne, że w ciemnościach ze szczelin w deskach wypełzają karaluchy, stonogi, włochate pająki i wszelkie inne robactwo, zesłane na Ziemię przez Stwórcę, ku utrapieniu tych, co to niby byli na obraz i podobieństwo.

Wzdrygnąłem się i obiecałem sobie w duchu, że muszę stąd zniknąć najszybciej, jak to tylko możliwe. Po raz drugi wzdrygnąłem się, widząc twarz policjanta. Była to pośrednia forma tej samej facjaty, w którą wyposażeni byli karczmarz oraz listonosz. Pośrednia pod względem krągłości. Reszta się zgadzała w sposób idealny. Nie wiem dlaczego, ale moje drugie wzdrygnięcie wywołało u policjanta wyraźny niepokój, objawiający się nerwowym tikiem. Policjant zaczął do mnie mrugać.

- Mógłby się pan nie wzdrygać? – zapytał z wyrzutem, tonem proszącym.

- A co? Nie wolno? – postanowiłem go wypróbować.

- Nie to, że nie wolno, ale od cudzego wzdrygnięcia zaczyna mi dygać powieka. Mogę się też zacząć jąkać.

Mówiąc to, wsadził sobie wskazujący palec do nosa i podlubał nie tylko z wyraźną przyjemnością, ale także nad wyraz naturalnie, bez najmniejszego skrępowania. Może go to uspokajało? Wzdrygnąłem się po raz trzeci.

- A-a-a-a p-p-pr-prooooo-silem. Nnnooo-o i mmmmasz pan t-t-tteraz. P-po rozmowie.

Tyle powiedział policjant, obrócił się na pięcie i wyszedł, a właściwie wybiegł, zdradzając objawy delikatnej paniki i drapiąc się po całym ciele.

Wyrzałem przez okno, a właściwie okienko, małe, brudne, szklone szybą, która musiała pamiętać jeszcze czasy Austro-Węgier. Przynajmniej na to wskazywała jej przejrzystość. A właściwie jej organiczny brak. Okienko zwrócone było w stronę ryneczku. A właściwie ryneczek to był tu wczoraj, czy kiedyś tam, jeszcze zanim zasnąłem. Budynek, który wziąłem za ratusz wiejski okazał się drewnianą halą, a cały ryneczek placem targowym, wcale nie brukowanym kostką, lecz wylanym spękany asfaltem, a właściwie najbardziej podłym, śmierdzącym i rozpluwającym się na słońcu rodzajem masy bitumicznej, która w ciągu dnia musiała niemiłosiernie kleić się do butów. Położyłem się na łóżku na wznak i próbowałem

zastanowić się nad swoją sytuacją, jakimś planem działania na najbliższe godziny, dni. Nie mogłem jednak skupić się na żadnym wątku, jako to: las, zjawiskowa dziewczyna, klony listonosza, karczmarza i policjanta, metamorfozy krajobrazu, zagubiony peron, pociąg raz dziennie, alternatywa zostać, czy wyjechać, a nawet najzupełniej prozaicznym, czyli zmianą kwatery, bo dokładnie nad moją twarzą, z niskiego sufitu, zwisał pajak krzyżak. Pajak wpatrywał się chwilę we mnie, a potem, z ostentacyjną dezaprobatą w fotoreceptorach, nienawiścią nawet, zaczął opuszczać się na nici. Wymachiwał przy tym miniaturowym schmeiserem, a nawet chyba pokrzykiwał: „hende hoch”, „raus” i „polnische schweine”. Wstałem i udałem się na dół, by zdyscyplinować nieco karczmarza w kwestiach higienicznych. Nie miałem w tym względzie nadmiernie rozbudzonych nadziei, ale liczyłem przynajmniej na to, że dopóki nie znajdę godniejszego lokum, z nory, którą nieszczęśliwie zajmowałem, zostanie usunięty pajak nazista. Schodziłem krętymi, rozsychającymi się schodkami możliwie jak najciszej, ale one i tak zgrzytały i piszczały, jakby specjalnie chciały mi zrobić na złość. Skradałem się, bo karczmarz budził we mnie pewien rodzaj respektu, którego podłożem był zwykły, ludzki lęk przed niepojętym i przed fizycznie silniejszym. Karczmarz z pewnością miał ode mnie więcej krzepy. Jakby chciał mógłby mi bez trudu zrobić krzywdę. Pocieszałem się, że jakby dybał na moje życie i zdrowie, to dopadłby mnie przecież we śnie, a nie czekał aż się obudzę. Nie wiedziałem też w jakiej formie go zastanę. Czy będzie obcesowym grubasem, czy raczej garbusiem Frankensteina? Miał w sobie coś z doktora Jekylla i mistera Hyde. Był nieprzewidywalny, a więc potencjalnie groźny. Najbardziej jednak bałem się rozmowy z nim. Czułem, że z jakiegoś powodu mnie nie lubi i będzie starał mi się bezinteresownie dopiec, o ile tylko nadarzy się okazja. Ale porozmawiać z nim musiałem. Jako karczmarz miał z pewnością nieprzebraną wiedzę o całej wólce i jej mieszkańcach. Postanowiłem naskoczyć na niego od razu z góry, wziąć go pod włos, ostro natrzeć i zepchnąć do głębokiej defensywy. Był to sprawdzony sposób, by w relacjach z chamami i prostakami utrzymać pozycję uprzywilejowaną. Element zaskoczenia mógł mi w tym pomóc. Cały plan wziął jednak w łeb, bo gdy zszedłem na dół ujrzałem karczmarza chędożącego na stojąco jakąś dziewoję. To znaczy nie całego. Widać było tylko podrygujący tyłek pomiędzy szeroko rozłożonymi nogami. Reszta kochanków, a właściwie kopulantów, bo akt ów płciowy, zwierzęcy i gwałtowny, z miłością nijak mi się nie kojarzył, niknęła za przepierzeniem. Przyznam, że zdębiałem. W pierwszym odruchu chciałem chrząknąć, tupnąć, narobić rumoru, by jakoś dać znać o swej obecności, o swym istnieniu, ale rychło przyszła refleksja, że ze swym zasromieniem, spuszczonej oczętami, chrząkiem nieśmiałym, ze swymi wszelkimi subtelnościami i delikatnościami od razu ustawiłbym się w pozycji

podrzednej, wobec kipiącego testosteronem karczmarza, w pozycji uległej, w pozycji najsłabszego w stadzie. Tam: ciupciający zdobywca, tu – niedojda, tam – władczy samiec alfa, tu: podrzędny kundel z podkurczonym ogonem. Więc co? Miałbym się na niego rzucić? Udać, że ratuję gwałconą, choć gwałcona żadnych dźwięków, odgłosów, okrzyków przypisanych gwałconym nie wydawała? Wręcz przeciwnie, chrumkała najwyraźniej kontenta z tego, co z nią karczmarz wyczyniał. I co potem? W ryj bym dostał od karczmarza, po pysku z plaskacza od jego ofiary? Czy był jakiś bardziej prawdopodobny scenariusz? Ano nie. Pozostawała mi więc jedyna droga ratunku. Ucieczka. Trzeba się było cichcem, na paluszkach jakoś z karczmy wysmyknąć, pozostawić karczmarza i kobietę, którą nabijał na swój osobisty, karczmarzski rożen w ich osobliwym zapamiętaniu seksualnym, emanującym epoką, kiedy to protoplasta homosapiensa (owo słynne brakujące ogniwo), okładał się po łbie maczugami z neandertalem lub innym pitekantropem. Tak, to było jedyne rozwiązanie. Ruszyłem w stronę wyjścia, ale nie uszedłem daleko, bo usłyszałem znajomy głos:

- Czekaj pan, zaraz kończę.

Zamarłem, zamarło moje serce. Na szczęście tylko na moment, na mgnienie, by ruszyć do rozpaczliwej galopady. O w mordę, ale wtopa! Teraz było jeszcze gorzej, niż gdybym chrząkał, niż gdybym usiłował rznąć twardziela. A może jednak być konsekwentnym? Może jednak wiać? Przecież nawet nie musiałem tu wracać. Nie miałem rzeczy, walizek, toreb, nie miałem nic. Nawet szczoteczki do zębów. Inna sprawa, że powinienem ją kupić. I grzebień, mydło, ręcznik, na zmianę majtki i skarpetki. Koszulę może nawet jakąś? Nic mnie w karczynie nie trzymało. Poza jednym. Jakbym teraz czmychnął, tak po prostu, bez pożegnania, z podkulonym ogonem kundla, to karczma, karczmarz, jego męskość, obraz kopulującego karczmarza, śmiech kobiety, śmiech ze mnie uciekającego, pozostałby ze mną na zawsze, miałbym go w głowie, przed oczami do końca dni moich. Do tego nie mogłem dopuścić.

- Niech pan się nie spieszy – odpowiedziałem. – W tych sprawach pośpiech nie jest wskazany. Ja mam czas. Ja zaczekam.

- Popatrz Helka, jaki znawca – rzucił karczmarz i mocniej naparł łędźwiami, wyrzucił łędźwie swe w przód niczym skoczek wzwyż, który nie chce strącić poprzeczki, wyrzucił na rekord świata.

Kobieta zachichotała. Dlaczego? Z ironii karczmarza? Naprzeciw jego mocarnemu sztychowi wyszła chichotem? A może ze mnie się śmiała? Wyśmiewała się? Siadłem na brzegu ławy, ale ponieważ tak na brzegu siedząc skromnie musiałem wyglądać nad wyraz żałośnie, zebrałem siły, jakie mi jeszcze zostały i rozsiadłem się, rozparłem na ławie. By jakoś wyglądać, by sobie dodać godności, siły i luzu w tej jakże niewygodnej dla mnie sytuacji.

Minę przybrałem kpiącą, niemalże obojętną, tylko lekko doprawioną szczyptą erotycznego zainteresowania. Musiałem tak minę swą doprawić, by się jemu i jej nie pokazać jako homoseks lub co gorsze – impotent. Czas był najwyższy, bo karczmarz stęknął po raz ostatni i zmarł, ona jęknęła, zawyła nawet, przyznać trzeba, że wycie w ekstazie miała wytrenowane i opanowane do perfekcji, wierzgnęła nogami, a następnie naprężyła je, jak w agonii. Jej nogi były owłosione nieestetycznie, ale było w napięciu ścięgien, mięśni, opalanej skóry łysek spod włosów, a nawet we włosach samych coś nieludzko erotycznego. Podniecającego nie do zniesienia. Trwali tak chwilę, potem ona oplotła go nogami, zobaczyłem jej ręce na jego pośladkach, ręce przyciągające, zdradzające ochotę na jeszcze, ale on był nieugięty, złapał ją za przeguby, wyplątał się z jej nóg, podciągnął portki. Owłosione nogi znikły.

- No – powiedział, jak gdyby nigdy nic, wychodząc zza przepierzenia.

Nie wiem czy to przez seks poranny, czy z jeszcze jakichś innych nieznanymi mi powodów wyglądał zdecydowanie sympatyczniej niż wczoraj. Czy kiedyś tam, przed moim zaśnięciem.

- Był u pana Stachu, nasz posterunkowy – bardziej stwierdził niż zapytał.

- I owszem, był.

- I co?

- I wybył?

- Tak po prostu?

- Dostał tików, swędziałki, w dodatku zaczął się jąkać, no i wyszedł. A właściwie wypadł.

Błyskawicznie. Jakby mu się nagle gdzieś zaczęło spieszyć. Jakby sobie przypomniał, że zapomniał wyłączyć żelazko, gaz, wodę, wszystko na raz.

- Ze Stachem trzeba ostrożnie. A pan najwyraźniej zrobił coś pozaregulaminowego. No ale trudno. Załatwił z panem, co trzeba?

- Nic ze mną nie załatwił.

- To niedobrze.

- Nie zależy mi.

- A powinno.

- Niby dlaczego?

- Bo jest pan tu. Nikt pana nie zapraszał, a jednak pan tu jest.

Zrobiło mi się nagle głupio. A jeżeli karczmarz miał rację? Przecież, jakby na to nie patrzeć, to ja im się narzucałem, zakłócałem ustalony porządek. Czy nie powinienem był się zastosować do ich reguł, jeżeli chciałem zbadać ich las, wykorzystać ich zjawiskową dziewczynę?

- Zresztą nieważne teraz. Będzie pan musiał pójść na komisariat, złożyć zeznania, wyjaśnić, zameldować się.

- Ale dlaczego?

- Bo tak trzeba. Jesteś pan przyjezdny, ale to pana nie zwalnia z zasad. Wręcz przeciwnie, nakłada to na pana dodatkowe konieczności.

- Dobrze więc, tak zrobię.

- No, to rozumiem. Zje pan coś? Napije się?

- Nie jestem głodny.

Karczmarz postawił przede mną butelkę i szklaneczkę. Nalałem sobie, wypilem. Dobre było. Niezbyt mocne, ale dobre. Zza przepierzenia wyszła kobieta. Po nogach poznałem, że była to ta sama kobieta, która oddawała się karczmarzowi. Ostentacyjnie poprawiła sobie biust. Miała co poprawiać i jej dekolt przykuł bez reszty moją uwagę. O, nie była to moja dziewczyna zjawiskowa z peronu. Wręcz przeciwnie – Helka była zaprzeczeniem tamtej. Przysadzista, ciężka, z ogromnym biustem, rozłożystymi biodrami, mocnymi nogami, nie miała w sobie nic eterycznego, nic metafizycznego. Wszystko miała realne, przyziemne i dosadnie namacalne. I to było w niej pociągające. Seks z nią to musiał być czysty naturalizm. Była jak pogańska bogini płodności. Najwyraźniej zorientowała się, jak na mnie działa, bo się zaśmiała. Był to śmiech prowokujący, wyuzdany, sprośny, ociekający hormonami i dzikim seksem. Gdzieś znikła zjawiskowa dziewczyna, została tylko Helka. I żądza. Kiedy przechodziła koło nas, karczmarz z całej siły klepnął ją w wielki, twardy tyłek, a ona, okręcając się, oparła się o mnie piersiami. Spojrzałem jej w oczy i zobaczyłem w nich obietnicę.

- Nie masz nic do roboty? – sarknął karczmarz.

Patrzyła jeszcze chwilę na mnie, z uśmiechem, który mógł kruszyć skały, opierając się o mój tors rękami i biustem. Potem wzruszyła ramiona i kolebiąc się niespiesznie, wyszła.

- Kawał baby, co? – karczmarz mówiąc to, puścił do mnie oko.

- Nie da się ukryć – zgodziłem się. – Domyślam się, że...

- Że to nie moja żona? Oczywiście, że nie. Helka jest dobrem wspólnym. Nie śmiałbym jej nawet proponować małżeństwa.

- Zdawało mi się...

- Że co?

- No, że jak wychodziła i tak się o mnie oparła, to...

- To co? Byłem zazdrosny? To nie zazdrość, to... dbałość o wspólne dobro. Pan jesteś z zewnątrz, nie wiem skąd i mało mnie to interesuje, ale nie stąd. A Helka jest stąd. Jest tutejsza, nasza.

- Rozumiem...

- Gównu pan rozumiesz! – zirytował się nagle.

Chyba do niego dotarło, że jak tylko Helka będzie chciała, to nic mnie nie powstrzyma.

Oczywiście mógł mnie zabić. Albo dopiero po fakcie, albo od razu, profilaktycznie. Ale albo na to nie wpadł, albo nie był taki wredny. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. On się uspokajał, ja niespiesznie popijałem.

- A czym, że tak powiem, pan się zajmujesz – zapytał po chwili grubas.

- Piszę. Jestem pisarzem – wyjaśniłem niechętnie. – Piszę książki.

- Ho, ho, powiadasz pan, że książki piszesz?

- Tak jakoś wyszło – odparłem niechętnie, by go jakoś zbyć.

Ale karczmarz nie dawał za wygraną.

- A jakie to, że się tak wyrażę, piszesz pan te książki?

- A różne, kwadratowe i podłużne. Raz takie, raz inne. Literaturę popularną piszę, opowiadania, kryminały. Takie tam...

- Kryminały! No, no!

Karczmarz wyraźnie się ożywił. Zobaczyłem błysk w jego oku, zły błysk, jakby na słowo „kryminał” obudził się w nim na moment jakiś zły demon. Pochylił się w moją stronę, wyciągnął rękę, jakby chciał mnie złapać za ramię, a może i nawet za barchatki, ale szybko się opanował, cofnął dłoń, wzrok mu przygasł.

- Kryminały, powiadasz pan... A jak, że tak powiem, się pan nazywasz?

- Ja?

- No pan, pan.

- Krzysztof... - zawahałem się na moment, bo w końcu co go obchodziło, jak się nazywam. I tak mnie dość wypytał. Odpowiedziałem jednak. – Krzysztof Pryk.

- Pryk? – karczmarz uśmiechnął się tak jakoś, że najchętniej zabrałbym się z jego gospody. – Wiesz pan, że nie słyszałem? Ale ja mało czytam. Prosty, wiejski szynkarz jestem. Chociaż kryminały owszem, lubię. Ale raczej w telewizji oglądam. Czytać to raczej mniej. Nie ciągnie mnie jakoś. Nie przyzwyczajony jestem.

- To tak, jak większość – nie mogłem się powstrzymać, by nie wylać trochę żółci.

- No właśnie – zgodził się ze mną spokojnie. – A pan jednak piszesz...

Zawiesił głos, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że jestem betonem, wręcz idiotą, robiąc coś, co nikomu nie jest potrzebne.

I piszesz pan te książki – kontynuował po chwili - jak pan mówisz popularne, te kryminały pan piszesz, panie Pryku – moje nazwisko podkreślił dobitnie, z jawną złośliwością - że się tak wyrażę, pod własnym nazwiskiem?

- A pod jakim mam pisać? – warknąłem wściekle. – Jestem Pryk, to piszę jako Pryk.

- Czy nie powinien pan, panie pisarzu, powiedzieć raczej: „jestem Prykiem”?

Uśmiechnął się z satysfakcją, widząc, jak czerwienieję. Moich zaciśniętych pięści widzieć nie mógł, bo je miałem schowane pod blatem.

- No, panie pisarzu, panie Pryku kochany – mówiąc to klepnął mnie w ramię i nie było to klepięcie przyjacielskie, ale jawnie i bezczelnie starał się wyprowadzić mnie z równowagi. – Tak tylko zapytałem, jako prosty, wsiowy barman, nie żebym miał pana pisarza pouczać. I da się z tego wyżyć? – zmienił nagle ton ze zjadliwego na zdradzający jedynie uprzejme zainteresowanie, taką czysto barmańską grzeczność.

- Jakoś się da... - odpowiedziałem nieco zdziwiony wolną karczmarza.

- Ale cienko jest, co? Ciężko koniec z końcem związać?

- Owszem, czasami ciężko – dałem się wziąć pod włos. – Nakłady marne, czytelnictwo marne, stawki też... odpowiednie. E, szkoda gadać...

- To może czas się wziąć do jakiejś przyzwoitej roboty? – na twarz karczmarza powrócił ten sam bezczelnie kpiący uśmieszek.

- Do przyzwoitej? – zapytałem cieleco, bo się nie mogłem dostroić do jego emocjonalnych slalomów.

- No tak, panie Pryku, panie pisarzu, literacie, do normalnej, ciężkiej, społecznie potrzebnej roboty. Mój szwagier ma zakład asenizacyjny i potrzebuje pomocnika szambiarza. Może by się pan nadał. Praca łatwa, może nie najprzyjemniejsza, ale nie wymagająca ani kwalifikacji, ani inteligencji...

- Dość! – warknąłem, bo miałem już tej rozmowy powyżej antenki w berecie. – Płacę i żegnam. Ile jestem winien?

- A nic. Ja tam mam zrozumienie dla ludzi... sztuki – mówiąc to uśmiechnął się od ucha do ucha, nawet zatrzęsł się tak jakoś, jakby tłumił chichot.

Już miałem wyrwać z kieszeni portfel i cisnąć mu w twarz banknot, który w przybliżeniu odpowiadał kwocie, na jaką mógł opiewać rachunek, ale przypomniałem sobie stan swoich funduszy i powstrzymałem hardość. Wstałem z rumorem i nie dziękując opuściłem lokal.

- Polecamy się na przyszłość – dobiegło do mnie zza domykających się drzwi.

Wiedział, bydlak, że jeszcze do niego wróczę.

Po takim poranku, zresztą cholera wie, czy był to poranek, środek dnia, czy wczesny wieczór, bo słońce przesłaniały chmury, ja nie miałem zegarka, a pytać nikogo o godzinę, datę, dzień tygodnia nie miałem zamiaru, bo pewnie i tak niczego konkretnego bym się nie dowiedział, postanowiłem pójść do lasu. Las wydawał mi się w tym momencie jedynym rozwiązaniem. Las był obietnicą wytchnienia. A niczego tak jak wytchnienia nie potrzebowałem. Potrzebowałem kojącego szumu lasu. Chmury trwały, jak skamieniałe, nie wiało, ale byłem przekonany, że w lesie i tak szumi. Bałem się wprawdzie trochę czołgów i rycerzy, przemierzających leśne ostępy, ale to był detal. Wzywał mnie szum. Szedłem niespiesznie przez wólkę, która była równie skamieniała, jak chmury na niebie. Najwyraźniej tak już tutaj było, że na zewnątrz spotkać można było pojedyncze osobniki, albo nie spotkać nikogo. Albo tylko z oddali ujrzeć jakiś fantomowy kształt. Bo czy zjawiskowa dziewczyna była realna? Teraz, na zimno myśląc o niej, doszedłem do wniosku, że to był tylko miraż, wywołany udawką podróży pociągiem-zółwem, zaduchem, atmosferą przed burzą, fatamorganą, będącą pochodną upału, nudy i rozregulowania gospodarki płynami w organizmie. Nie spieszyłem się, bo po co miałbym się spieszyć do lasu? Wiedziałem, że las mi nie ucieknie. To był jedyny pewnik w tym dziwnym świecie, na którym przyszło mi żyć. Szedłem drogą. Może więc podświadomie wcale nie chciałem iść do lasu? Przecież do wsi doszedłem poprzez mgły i pola. Powinienem więc poszukać pól, by dojść do lasu. Być może także powinienem był poszukać mgieł? Zaczekać na mgły? A jednak uparcie szedłem drogą, choć nie łudziłem się wcale, że nagle, w tempie ekspresowym, w czasie, kiedy spałem, choć przecież nie wiedziałem jaki to był czas, ale nie mogła to być wieczność, wybudowano drogę do lasu. Spać mogłem dłużej lub krócej, ale z całą pewnością nie wieczność. A właśnie tyle czasu potrzeba było, by w moim kraju wybudowano drogę. A jeżeli to nie był mój kraj? Jeżeli już nie był mój? A jeżeli nigdy nie był mój, bo był to zupełnie inny kraj? Ale czy było możliwe, bym nie wiedział nawet w jakim kraju jestem? Listonosz, barman, kobieta figlująca z karczmarzem, policjant – wszyscy byli jacyś dziwni, obcy, ale nie ulegało wątpliwości, że to są moi rodacy. To jedno, obok lasu, było pewne. Byli tacy, że nie mogli być nierodakami. Nieboracy moi kochani, znieprawdzone gnojki. Szedłem więc drogą, choć wiedziałem, że nie dojdę nią do lasu, a przecież właśnie do lasu dojść chciałem. Najwyraźniej nie przeszkadzało mi, że robię coś odwrotnego, niż powinienem był robić, by cel swój osiągnąć. Zaczynało mnie to cieszyć nawet w jakiś przewrotny sposób. Kogo byłoby stać na takie zachowanie? Utwierdzając się w swej absurdalnej wyjątkowości stanąłem przed drzwiami księgarni. To

znaczy szyld nad wejściem głosił: „KSIĘGARNIA”. Jak wszedłem do środka, okazało się, że jest to księgarenka, nawet mniej. Lokal miał wielkość kiosku z gazetami, więc miejsca było tyle, co kot napłakał. Na środku stało biureczko, niewielkie, z jedną szufladeczką, za biureczkiem stało krzeselko, niewielkie, na biureczku stała kasa fiskalna, normalnych rozmiarów, więc zajmowała pół biureczka, na krzeselczku siedział dziadeczek, malutki ogólnie, czyli chudziutki i niziutki. Twarz miał jak trzeba, standardową, czyli wypisz wymaluj, jak listonosz i jak karczmarz, tyle, że starą, pomarszczoną i pomniejszoną wprost proporcjonalnie do reszty organizmu. Drzemał. Wokół biureczka, krzeselka i dziadunia stały regały, a właściwie regaliki, cieniutkie jakieś takie, z cieniutkich listeweczek wykonane, a na nich stały przeróżne szpargały: zwój szpagatu, słoik z recepturkami, słoik z klejem do papieru, pudełko z kopertami, klaser ze znaczkami, zelówki, sznurówki w kolorze brązowym, pasta do butów bezbarwna i czarna, słoik z dżemem, wino marki wino, denaturat, spirytus salicylowy, lemoniada w torebkach plastikowych – skąd wziął się tutaj ów rarytas rodem z zamierzchłej epoki nie śmiałem się domyślać - wiaderko cebuli, pęto czosnku, kilka kołków osikowych, stylisko do łopaty, oselka do kosy, kosa, breloczki z trupimi główkami, gumowa poduszka pierdziałka do robienia jaj, jaja, jakieś pół kopy, ewentualnie niecałe trzy tuziny, wyglądające, jakby miały za chwilę eksplodować, nadgryziona bułka ze smalcem, ocet, musztarda popularna, musztarda zwyczajna, kawałek pasztetowej, jakieś ćwierć metra, który malowniczo zielenił się na jednym końcu, papier kolorowy, napoczęty papier toaletowy, nożyczki z nadłamanym końcem, pasta do zębów Lechia bez zakrętki, szczoteczka do zębów z wytartym włosiem, pumeks do ścierania zrogowaciałego naskórka używany, prezerwatywa o dziwo nie używana, za to nakłuta w kilku miejscach, zapewne tymi samymi nożyczkami, których jeden koniec był obłamany, kalendarzyk z roku 1982, słownik polsko – chiński, słownik mandżursko – polski, niemiecki słownik wyrazów obcych, rozmówki w jidysz, bajeczka „Jak Karolinka po serek wędrowała” nieznanej mi autorki, powieść biograficzna „Życie moje, historia prawdziwa”, nieznanego mi autora, „Ilustrowany Poczet Królów Polskich” bez ilustracji, atlas świata z powyrywaniem mapami, kryminał „Zginie kto się nawinie” niejakiego Bertolda Czubka z płytą DVD oraz „Flet z Mandragory” Waldemara Łysiaka. Bez płyty i bez fletu. To było wszystko. Biorąc pod uwagę rodzaj oferowanego asortymentu, najwięcej było wydawnictw książkowych. Szyld z napisem „KSIĘGARNIA” był zatem jak najbardziej uzasadniony. „Flet z Mandragory” znałem na pamięć od lat. Znałem też inne książki Łysiaka, aczkolwiek nie na pamięć. Czubek był mi znany, aczkolwiek z innej działalności. Przy założeniu oczywiście, że był to ten sam Czubek. Pewnym być to nie mogło,

Bo przecie

Nie jeden Czubek na świecie.

Niestety. Rzekłbym nawet, że się od przeróżnych czubków i czubów niesympatycznie roilo. Jeżeli jednak byłby to ten sam Czubek? Co było całkiem prawdopodobne. „Ten to się wszędzie wkręci”, pomyślałem, ważąc książkę Czubka w dłoni. Odwróciłem ją tyłem do góry, spojrzałem na cenę. 4,60. Taka kwota widniała na nalepce. Przyjrzałem się książce bokiem, pod światło. Musiało być tych nalepek ze sześć warstw. Z tyłu doklejona była także koperta z płytą DVD. A właściwie na płytę DVD przeznaczona, bo płyty w kopercie nie było. Ręcznie ktoś napisał pod kopertą: „Płyta DVD dołączona do książki straciła ważność, straciła ważność, straciła ważność, straciła ważność...”. Fragment „straciła ważność” powtarzał się aż do końca okładki. Nie wiedziałem, co to mogło znaczyć, ale i tak nie miało to najmniejszego znaczenia. Nie miałem bowiem komputera ze stacją DVD, nie miałem odtwarzacza DVD, nie miałem telewizora. Nie miałem nic. Płyta nie mogła mi się przydać. Nie wiedziałem, czy przyda mi się książka, ale cena była kusząca. Ze względu na swą niskość. Była też odstrasżająca. Z tego samego powodu. Łysiak wyceniony był na 5,20. I nie miał nawet koperty na płytę. W dodatku był mi znany, nie krył przede mną żadnej tajemnicy, jak mi się zdawało. A Czubek? Postanowiłem wziąć Czubka. Miałem świadomość, że biorę go na własną odpowiedzialność i nikt mi nie zwróci za uszczerbek na zdrowiu związany z lekturą tekstu Czubka, nikt mi nie wypłaci odszkodowania za ewentualne straty moralne, emocjonalne i intelektualne, jakich mogłem, pod wpływem zderzenia z tekstem autora o tak niefrasobliwym nazwisku, doznać. Na moją bohaterką decyzję znaczący wpływ miała koperta na DVD - mogła się bowiem okazać niezastąpioną podkładką pod musztardówkę. Musztardówkę z musztardą, a potem – bez. Musztardówka miała bowiem kształt uniwersalny. Mogła robić za szklankę, za flakonik, za pojemnik na ołówki. Ukradkiem zajrzałem do portfela. Postanowiłem, że kupię książkę Czubka, pastę i kilka ołówków. Cena za pastę i ołówki nie mogła być wygórowana, więc powinno mi było wystarczyć pieniędzy na te szaleństwa. Mając zupełną pewność w sprawie asortymentu, jaki zamierzałem nabyć, zdecydowanym krokiem podszedłem do dziadunia. Który wciąż drzemał. Rzec można, że dziadunio miał drzemisko co się zowie, takie, że hej!

- Przepraszam pana bardzo – zagałem delikatnie.

Nic, żadnej reakcji, chrapał dalej w najlepsze.

- Proszę pana! – zawołałem energiczniej.

Tym razem poruszył się, chrząknął, nawet mu powieki na moment drgnęły, kontaktu jednak nie nawiązał. Tylko mu się głowa przechyliła do tyłu, ukazując wystającą, suchą grdykę. Tą grdyką, niczym grotem strzały, staruch najbezcelniej mierzył we mnie. W dodatku, nie robiąc sobie nic z mojej obecności, zaczął chrapać w najlepsze, chrapać porażająco, dławiąco, chrapać z pocharkiowaniem i gulgotaniem, aż mu gejzery spienionej śliny wypływały kącikami ust. Zarówno widok, jak i dźwięk były obrzydliwe. Skierowane we mnie! Przeciwno mnie wymierzone! „A ten czego może chcieć ode mnie”, pomyślałem, „co przeciw mnie ma?! Czym mu zawiniłem, że z taką agresją na mnie nastaje? I to czym? Śliną swą starczą, charkotem, podgardłem pomarszczonym, nieogoloną skórą na szyi, skórą gadzią, kostyczną grdyką wreszcie?!”. Tego było już za wiele. Tak mnie to wszystko rozbiło, roztrzęsło wewnętrznie, że aż poczułem ucisk w dołku, nadciągające torsje. I wtedy wzrok mój padł na nożyczki! Nie była to może najlepsza broń, ale zawsze coś. Skoczyłem w stronę regału, wyciągając ramiona. Złapałem nożyczki, nie dość zręcznie, przy okazji zrzuciłem z półki obok słoik z musztardą. Na szczęście był mocny, z grubego szkła, nie rozbił się, tylko potoczył po posadzce w kąt. Podniosłem ostrze w górę, by utopić je w warczącym na mnie gardle i...

- A! To pan.

Starzec ocknął się. Patrzył na mnie spokojnie, trzeźwo. Nawet jakby się lekko uśmiechał sympatycznie. Skonfundowany schowałem za siebie rękę z nożyczkami.

- Przepraszam, ja... - wyjąkałem.

- Nie ma za co. Uprzedzono mnie, że pan się dziwnie zachowuje.

- Kto? Kiedy? Skąd pan wie, że ja, to ja, kto ja...

- Och, to jest mała miejscowość. Nowiny szybko się rozchodzą. Szybciej, niż mógłby pan przypuszczać, niż śmiałyby się pan domyślać – mówiąc to pstryknął palcami. - Niech pan odłoży nożyczki.

- Nożyczki? – udałem, że nie wiem o co chodzi, jednocześnie panicznie szukając wyjaśnienia z jakiego to powodu dzierzę je w dłoni. Dzierzę, niczym sztylet, chwytem morderczym. – Nożyczki? A! Te nożyczki! Ja tylko... ja tylko... Chyba nie myślał pan? Ha, śmieszne, doprawdy śmieszne, żeby... Chcę kupić! Te nożyczki, rzecz jasna, chcę nabyć. Dobrze zapłacę! Dłatego je mam. To znaczy trzymam.

- Niech pan odłoży nożyczki – powiedział stary spokojnie, z dobrodusznym uśmiechem, ale głosem nie znoszącym sprzeciwu. Nabrał nagle jakby energii, sprężystości. Przed chwilą jeszcze był dziadym w stanie niemalże przedagonalnym, teraz to był wiarus, chwyt, może i leciwy, ale dziarski. Ubrany był w mundur, kutasy mu się dyndały, czy pagony, czy jak to się

tam nazywa. – Nożyczki panu niepotrzebne. Pozwolenia pan nie ma. Zresztą nie są na sprzedaż.

Strach mnie obleciał. Z wojakiem, doświadczonym, hartowanym w ogniu, nie miałem szans, choćby i był przeniesiony do rezerwy pół wieku temu, choćby i był w stanie spoczynku.

Wieczny spoczynek racz mu dać Panie, a światłość wiekuista....

- Nie? A co to? To tu? To nie jest sklep? – zaoponowałem słabo, by dać jakoś odpór jego żołdackiej, czerstwej krzepie. – Księgarnia to nie jest? A może w tej dziurze nożyczek mieć nie wolno? Nie wolno kupować? Może nic nie wolno kupować? Może w ogóle nic nie wolno? A właśnie, że mnie nożyczki są potrzebne, niezbędne!

Zacząłem tupać nogami, zaciskać pięści, trochę wilgoci poleciało mi z nosa.

- Niech pan odłoży nożyczki – powtórzył jeszcze raz, puszczając moje wątpliwości mimo uszu. Tylko się przyglądał moim podskokom z pobłażliwym zniecierpliwieniem.

- A co tam – wzruszyłem ramionami, udając, że mi to jest obojętne. – Proszę bardzo. Już je odkładam. Wcale nie potrzebuję pańskich nożyczek. W dodatku takich obłamanych. Mam własne, lepsze. Mam w domu. I to nie jedno! Mam nożyczek, że się tak wyrażę, skolko ugodno.

- Nie wątpię. To niech pan odłoży nożyczki.

Stary był uparty. „Twardziel”, pomyślałem, „szczwany lis. Z takim to można w jednym momencie przegrać, jeden nierozważny ruch, chwila nieuwagi i... ciach! Można mieć nożyczki wbite w rdzeń kręgowy!”. Zacząłem cofać się w stronę regału, by nie stracić go z oczu. Cofałem się krok za krokiem, czujnie, zwinnie, spięty, gotowy, przygotowany w każdej chwili na odparcie zdradzieckiego ataku. Patrzył na mnie z ironią, szyderstwem. Już nie był takim miłym, jowialnym dziaduniem, jakim się wydawał na wstępie, lecz wytrawnym graczem, czyhającym na każdy błąd przeciwnika. Moja determinacja i czujność musiały jednak na nim zrobić wrażenie, bo nagle zmienił front, jego twarz przybrała wyraz obojętnej uwagi. Uwagi profesjonalnej, kupieckiej.

- Czy mogę w czymś pomóc? – zapytał. – Jakoś doradzić? Szanowny pan sobie życzy? Wyrznąłem plecami w regał. Aż się skuliłem, bo byłem przekonany, że znowu polecą jakaś musztarda lub dżem. I tym razem na pewno już się coś roztlucze. Regał jednak był mocny, stalowy, stał pewnie. Nic się nie stało. Za regałem stały inne regały, równie mocne, solidne, i po bokach także. Jak okiem sięgnąć wszędzie, w równych rzędach i kolumnach stały regały z towarami. Nad niektórymi regałami wisiały banery z napisami „PROMOCJA!” „A więc i tutaj?”, załkałem bezgłośnie, zapominając o starcu, „Tu gdzie peron? Gdzie las? Gdzie dziewczyna? Nawet tutaj?! A więc nie ma ucieczki?”. Gwałtownym ruchem podniosłem

dłonie do twarzy, by ukryć twarz w dłoniach, podniosłem dłonie, choć w jednej z nich miałem, to co miałem, mało sobie nie zrobiłem krzywdy, ale on był szybszy, złapał mnie za przegub, miał niesamowitą siłę. Na szczęście. I musiał być niewiarygodnie szybki, skoro dopadł mnie tak błyskawicznie, z takim refleksem, choć siedział przy kasie, pewnie jakieś dziesięć metrów ode mnie.

- Niechże pan przestanie, niech pan wreszcie puści te nożyczki, bo sobie pan w końcu krzywdę zrobi, wydłubie pan sobie oko! – zawołał tonem rozkazującym, a przy tym w jakiś taki czuły sposób, pełen troski, jak ojciec.

Rozejrzałem się po sklepiku. Biureczko, krzeselczko, półeczki koślawe, chuderlawe, na nich towar, niczym w trafice za wojny, albo i w czasach kryzysu. I dziadeczek. Tak, dziaduniek! Malutki, cieniutki, zgięty od wieku, od starości mściwie bezwzględnej, lub odwrotnie, bezwzględnie mściwej, teraz to nie miało zresztą najmniejszego znaczenia, bo nie miało nigdy. Położyłem nożyczki na ich miejscu, tam gdzie leżały i gdzie leżeć powinny.

- Przepraszam... - powiedziałem blado, bo mi było w niewypowiedziany sposób przykro, że się tak kretyńsko zachowałem w obecności staruszka.

- Nie ma za co, nie trzeba – powiedział ciepło, tonem pełnym zrozumienia. – Pan przecież z północy...

- Tak – potwierdziłem, jakby to moje pochodzenie mogło cokolwiek tłumaczyć, choć przecie nie była to prawda. Bo były zalecenia, ordynacje, powinności, czynności systematyczne, tyle, że nie wykonywane... Ale sam złapałem się tego, bo czegoś się złapać musiałem.

- A wie pan, że na południu, to się ludzie od halnego wieszają? – zagaił pocieszająco.

- Tak? Coś chyba słyszałem...

- A widzi pan. Nie ma jak tu, u nas, w centrum.

Było w jego głosie coś kojącego. W wyglądzie, a nawet zapachu - takim zapachu ponadnormatywnej leciwości, naftalinowym, może nawet formalinowym, choć formalina przyjemnie raczej nie pachnie, choć nie pachnie też odstręczająco, przynajmniej dla mnie – także.

- Pan lubi czytać – mówiąc to wymownie spojrzął na książkę, którą wciąż trzymałem w ręce.

- Owszem...

- Niewielki tu u nas wybór – uśmiechnął się przepraszająco.

- Nie szkodzi. Ja... jestem... jestem... na wakacjach. Tak, na wakacjach. Nie szukam jakiejś szczególnej lektury, nie mam wymagań.

- Eeeee, czyżby? Pan inteligentny człowiek, od razu widać... Co pan tam ma?

Skrzywiłem się zawstydzony, bo mi się nagle wydał Czubek nieludzko trywialny ze swymi intrygami, fabułami, postaciami (nie mogłem się tylko zdecydować, czy te postacie są tekturowe, czy plastikowe), stylem, nawiązaniem, wtrętami aktualnymi i historycznymi dygresjami, wreszcie – erotyką. Co ciekawe, moja dogłębna znajomość stylu Bertolda C. nawet przez moment nie wydała mi się dziwna. A przecież niczego co napisał B. Czubek nie czytałem! Czytanie powieści „Zginie, kto się nawinie” miało być premierowym czytaniem BC.

- Czubka... - stęknąłem.

- U – skrzywił się z niechęcią – nie polecałbym. Nie, że źle napisane, nie mnie oceniać, ale... Na wakacje, w pana, że się tak wyrażę, przypadku... Polecałbym coś lżejszego, neutralnego może bardziej, coś tonizującego...

- Tonizującego? – zapytałem podejrzliwie. Czyżby mnie miał za wariata?

- No wie pan, sam pan rozumie... Jak pan wspominał – wakacje. Po co sobie wakacje zatruwać? Polecałbym raczej „Poczet Królów”, ewentualnie może jakiś słownik? Lektura nie wyczerpująca emocjonalnie, a przy tym pożyteczna. A ten tu, e, szkoda gadać. Ewentualnie Łysiak, też trochę chore, jakby, niech się pan nie gniewa na mnie, jakby nie na pana nerwy, nie na stan pańskiego ducha, ale z dwojga złego... To może Łysiak?

- Nie, znam, znam na pamięć.

- A, to może dlatego, może przez to...

- Że niby co?

- A nic. To co? Czubek?

- Tak, zdecydowanie.

- To może w ogóle lepiej nie kupować?

„Co jest do cholery”, pomyślałem. Najpierw mi nożyczek zabrania, bredzi o jakimś pozwoleniu, a teraz jeszcze to?! Co to jest? Cenzura jakaś?! Piaskowy Dziadek? Ażebym ci dziadygo prostatę skrzywiło!

- Chcę Czubka – zaryczałem, bo mnie trochę emocjonalnie poniosło. – Czubka kupię! Wyjdę stąd z Czubkiem, albo nie wyjdę w ogóle!

- Dobrze już, dobrze...

Subiekt dał za wygraną, wzruszył ramionami, obciągnął tużurek, poprawił binokle i spojrzał na tył książki.

- 4, 60 – odczytał powoli. - Którą to mamy godzinę? 17.30? To trzeba skorygować...

Stary schylił się, pogrzebał pod biurkiem i po chwili wychynął spod niego z metkownicą.

Przytknął ją do książki, którą wciąż trzymałem w ręce – musiał mi przy tym rękę wykręcić,

co poszło mu nadzwyczaj sprawnie, najwyraźniej miał doświadczenie, technikę, był mistrzem w wykręcaniu, bo się nawet nie natężył, ja za to stęknąłem, tak pisałem cichutko, rozpaczliwie, jak rozdeptana mysz – docisnął.

- No – powiedział, jak już swoje zrobił, jak mnie puścił.

- Ale co pan? Co pan robi? Zrobił znaczy się?

- Skorygowałem. Mam taki obowiązek. Co 1648 minut muszę korygować. Wydawca tak sobie zażyczył. Czynność, jak czynność, trochę uciążliwa, ale trudno. Taka praca. Wynika to z moich powinności służbowych, więc się muszę stosować. Jak mam coś robić, robię. Nie dyskutuję, nie zadaję pytań, nie dociekam. Nie od tego jestem, tylko od wykonywania. Czy mi się to podoba, czy nie, czy sens w tym widzę, to moja prywatna sprawa i nie ma tutaj nic do rzeczy. Praca to praca, obowiązek to obowiązek. Moje powinności nie mają związku z moimi przekonaniem, nie współgrają z nimi, ani nie kolidują, powinności moje i moje przekonania biegną do siebie równolegle, nie ma między nimi punktów wspólnych... Spojrzałem na tył okładki. Czubek kosztował 3,90. Najwyraźniej księgarz chciał mówić dalej, ale mu przerwałem.

- Rozumiem... zresztą nie, nic nie rozumiem, ale mnie to nie obchodzi. Dlatego tutaj jestem – żebym sobie mógł pozwolić na luksus nie obchodzenia. Jakby mnie to miało obchodzić, to bym tu nie wysiadał, nie zagłębiał się w las, nie błędził w mgłach, nie szukał mirażu zjawiskowej dziewczyny, w ogóle bym nie wyjeżdżał z domu. Zostałbym tam, gdzie byłem. Zostałbym... na północy.

- Kogo pan szuka? – w głosie staruszka zagościła czujność.

- Kogo szukam?

- Przecież mówił pan. Sam pan powiedział, że pan kogoś szuka – patrzył na mnie przenikliwie, pykając fajkę.

- A, to – próbowałem zbagatelizować całe zajście, bo każde słowo mogło być użyte przeciwko mnie. – Szukam dziewczyny. Zjawiskowej. Tak mi się zdawało, że jest zjawiskowa, ale widziałem ją tylko przez moment, na peronie, wczoraj. A może mi się zdawało, że ją widziałem. Może tylko śniłem?

- Śnił pan?

- Tak. Wie pan, zanosilo się na burzę, powietrze było ciężkie...

- Wczoraj, powiada pan?

- Tak, wczoraj...

- Dziwne... Od kilku dni niebo jest bezchmurne.

Jego oczy zwęziły się jeszcze bardziej. „Oho” pomyślałem „muszę uważać! Muszę cholernie uważać. Jest dobry, naprawdę dobry! Jak sam Sherlock. Ba! Nawet, jak porucznik Borewicz! Jak złapie trop, już nie popuści”.

- Może nie było to wczoraj, nie będę się upierał. Byłem bardzo zmęczony podróżą. Jak panu wiadomo przyjechałem z daleka, z północy... - zawiesiłem głos, jakby mój przyjazd z północy mógł wszystko wyjaśnić, był alibi dla wszystkiego, nawet dla najgorszej zbrodni. Księgarz jednak nie zareagował. Wpatrywał się we mnie wciąż z tą samą nieludzką przenikliwością. – Byłem zmęczony. Pociąg jechał niewiarygodnie wolno, w dodatku ten zapach z kibla, wie pan, jak potrafi zajeżdzać z kolejowej toalety? Okropnie! Odurzająco. Był więc jeszcze ten odór z toalety odurzający podstępnie i... I wtedy chyba coś zobaczyłem, coś jakby... tak mi się zdawało. Wie pan, ha, kto by nie chciał zobaczyć dziewczyny? Umysł podsuwa czasami takie obrazy, szczególnie, kiedy sytuacja ku temu jest sprzyjająca, a, jak wspominałem wtedy, wówczas złożyło się kilka czynników, że wspomnę: zmęczenie podróżą, daleką podróżą z północy, a więc podróżą męczącą, nużącą, odrętwienie wywołane znużeniem, znudzeniem, gorąc, o! tak! gorąc, jak pan sam zauważył, niebo jest bezchmurne już od wielu dni, powolność jazdy, jej monotonia, bierność, bezruch, udar może nawet od tego gorąca, fetor z toalety...

- Chyba jednak zanosilo się na burzę. Grzmiało nawet – przerwał mi od niechcenia. „Ha”, pomyślałem „teraz próbuje mnie zakozić w pędzi róg, wziąć w ogniowy krzyżak pytań, zdjąć z pantałyku i zbić pod włos. Ale nie ze mną takie numery, Hamburger”.

- Ha, więc jednak?! A może jednak nie? Ale jakie to ma znaczenie? Co w ogóle ma znaczenie, skoro zacięły się drzwi!

- Drzwi?!

- Tak! Jak wyskoczyłem na peron byłem już sam...

Nie wydawał się przekonany. Postanowiłem natrzeć, wykorzystując jego wahanie.

- A ma pan lekarza pierwszego kontaktu? Lekarza przyjaciela, z którym pan wspólnie, wspólnie w zespół...

- To moja prywatna sprawa!

- A skrzypce pan ma?!

- W ten sposób nie będziemy rozmawiać! – oburzył się wyraźnie, zacisnął jedną dłoń na poręczy bujanego fotela, drugą sięgnął po laskę, która skrywała sztylet, w dodatku miała imponujący biust, pochylił się w moją stronę groźnie, elegancki szlafrok rozchylił mu się na piersiach, zagryzł fajkę.

Postanowiłem sięgnąć po broń ostateczną.

- A potem poszedłem do lasu! Do tego lasu! No i co?!
- Nie wiem o czym pan mówi, o co panu chodzi – staruszek patrzył na mnie ze swojego malutkiego krzeselczka zmęczonymi oczami. – Bierze pan coś jeszcze?
- Czy coś biorę? – zapytałem podejrzliwie, bo nie wiedziałem dokładnie co miał na myśli.
- Oprócz książki.
- A, o to chodzi. Pastę do zębów, musztardę...

Staruszek podreptał w stronę regału. Sięgnął po tubkę i po słoik.

- Nie, wezmę tę z kąta – pokazałem mu palcem.

Uśmiechnął się przepraszająco i schylił po musztardę, którą strąciłem. Ciężko mu się było schylać. Stęknął, zachwiał się. Utrzymał jednak równowagę, chociaż musiało go to kosztować niesamowicie dużo sił. Tak na pograniczu. Nie byłem chamem. Powinienem był mu pomóc.

A jednak coś mnie powstrzymało. Poczuję się nagle tak, jakby mnie ktoś pozbawił jakichkolwiek ludzkich uczuć i odruchów. Stary mógłby mi tu teraz paść przed samym nosem i nawet bym palcem nie kiwnął. Nic mnie nie obchodził. Nie obchodziło mnie nic. W ogóle.

- To może i szczoteczkę pan weźmie – zapytał stary subiekt uprzejmie. – Została nam jeszcze jedna, ostatnia.

- Nie. Wolałbym sobie szorować zęby szczotą ze sracza, niż tą twoją szczoteczką, starcze.

- Przepraszam, to moja wina. Pan pewnie używa tylko firmowych, nie takich zwykłych, tanich. Czy mogę w czymś jeszcze służyć?

- Spirytus.

- Oczywiście, już podaję. Najlepszy gatunek. Mam jeszcze całe pół buteleczki.

- Pół?!

- Tak, tu mało kto kupuje hurtem, każdy bierze tyle, ile potrzebuje – mówiąc to podał mi małą buteleczkę spirytusu salicylowego.

Odkręciłem zakrętkę, powąchałem. Nie ulegało wątpliwości, że był zwietrzały. I było mniej niż pół butelki. Chciał mnie więc orznąć. Jak wszyscy! Spróbowałem językiem. Jednak trochę palił. Possałem. Światło zamigotało i na moment znowu pojawiły się ławice regałów, pękatych, obzartych, ławice nieogarnione. Na szczęście tylko na moment.

- To może i jajeczek dodać – zaoferował sprzedawca. – Świeżutkie, zeszłoroczne. Ajerek by sobie szanowny pan przyrzędził.

Żołądek podjechał mi do gardła. Nieestetyczne plamy krwi na jego szarym kitlu, który jakies dwieście eonów temu był pewnie biały, mogły wywołać torsję nawet u laboratoryjnych szczurów.

Jednakże...

Było w tym staruchu coś, co budziło czułość. Przynajmniej starał się w przeciwieństwie do innych, a przy tym, w przeciwieństwie do tamtych, nie napinał się, w opozycji do wszystkich akceptował swój los. Innych i tamtych stamtąd. Nie stąd. Stąd wszyscy byli podobni. Tamci też byli podobni. Ale inni niż ci. Nie jego to była wina, że był taki, jaki był, mieszkał tu gdzie mieszkał, pracował, gdzie pracował, sprzedawał to, a nie tamto. Zrobiło mi się go żal. Nagle zacząłem mu zazdrościć. Było mi wstyd, że go przed chwilą tak potraktowałem. Kochałem go. Byłem na niego wściekły. Przytuliłbym go, gdyby... Zabiłbym go, ale...

- Dziękuję, wziąłbym tylko jeszcze ze dwa, trzy ołówki.

- Ołówki! – wykrzyknął radośnie staruszek. – Ołówków by chciał!

- Tak, potrzebne mi są ołówki. I papier.

- Ołówki pan chce, więc, jak się domyślam, nie o toaletowy papier panu chodzi, ha, ha, ha, ha. Kiedy to ostatni raz ktoś mnie o ołówki pytał? Pewnie z dziesięć lat temu będzie? - zamyślił się, spoważniał. - A może wczoraj? Nie ma ołówków.

- To co ja teraz zrobię?

- A co mnie to obchodzi – poirytował się nagle stary. Jego głos brzmiał teraz niczym głos karczmarza. – Nie masz pan większych problemów?

Rozejrzałem się po księgarni w poszukiwaniu wyjścia. Zaczęło mi brakować powietrza. Musiałem wyjść. I to jak najszybciej!

- I co? Ołoweczków się zachciało? A może jeszcze takich automatycznych, z wymiennymi wkładami, takich enerdowskich? W dupach się zasrańcom poprzewracało – zagrzmiął księgarz. Był, wielki, zwalisty i wcale nie stary. Miał na sobie skórzany chałat rzeźnika. Nigdzie nie mogłem odnaleźć drzwi. Skoczyłem na oslepa. Wywróciłem chyba jakiś regał, coś się posypało, coś potłukło, trafiłem ręką na klamkę, nacisnąłem, napałem ramieniem, błysnęło światło dnia.

- Niech pan zaczeka – zawołał za mną. Zawołał słabo.

Odwróciłem się. Za biureczkiem stał staruszek. Przed staruszką na biureczku leżała walizka.

- Nie mam ołówków, ale mam to, panie pisarzu.

Nogi mi się trzęsły, chciałem uciec, ale pokusa była zbyt wielka. Wróciłem. Jak zahipnotyzowany wpatrywałem się w walizkę. Na walizce widniał napis „Łuczniczka”.

- Czyżby... czyżby to była... - wydukałem ze wzruszeniem.

- Tak! To jest maszyna... do szycia! Buahahahahaha! – zaryczał mi w twarz dziko, złośliwie.

W oczach zakręciły mi się łzy. Spoważniał.

- Żartowałem. To jest oczywiście maszyna do pisania. Trochę stara, jak i ja, jedna czcionka, „m”, się nie odbija, ale poza tym jest jeszcze całkiem, całkiem. Jak i ja. Niech pan bierze.

- Nie wiem... nie mam pieniędzy...

- Pieniądzy? A po co mi pieniądze. Szczególnie tutaj... No, niech pan bierze. I o reszcie zakupów niech pan nie zapomni. Drobiazgi ma pan gratis od firmy, jako dodatek do maszyny. A za Czubka się należy... - odwrócił się na chwilę, podniósł obie ręce w charakterystycznym geście, jakby sprawdzał godzinę. – 28 groszy. Od razu mówię, że nie mam wydać. Tylko drobne. Jak pan nie ma, to mi pan przyniesie przy okazji.

- 28 groszy?! – zawołałem zszokowany. – Przecież jeszcze przed chwilą było 3 złote coś tam!

- Czas biegnie nieubłaganie – stary wzruszył ramionami.

Siadł na swoim krzeselku i przestał się mną interesować. Jakby mnie nie było. Zastygł.

Zgarnąłem drobiazgi do kieszeni, maszynę chwyciłem pewnie lewą ręką. Chwilę zastanawiałem się, czy by nie uścisnąć dłoni starca, ale ostatecznie się na to nie zdobyłem.

- Dziękuję – wyszeptalem, ale on już spał na swoim krzeselczku.

Szedłem promenadą, drogą asfaltową bez pobocza, zadbaną ulicą z chodnikiem z płyt betonowych, drogą bitą, polną dróżką, gumowaną wstęgą chodnika transportowego. Czymś tam szedłem, to był fakt niezbity. Szedłem... Dokąd? Gdzie mnie nogi niosły. Po co? A jakie to miało znaczenie? Dokładnie takie samo, jak cała reszta mojego życia, reszta miniona i reszta przyszła. Nie miało żadnego. Ani dla mnie, ani dla nikogo. Już dawno się o tym przekonałem. Nie warto było nic. Iść tylko było warto, bo ruch był czystą fizyką. Szedłem więc. W lewej ręce unosiłem maszynę, w prawej – Czubka. Czubek ciążył mi bardziej. Jak wszystko i ciężenie materii było tutaj wyonaczone. Relatywne. Zmierzchało. A może świtało? To też nie miało znaczenia tak samo, jak nie było jasne. Przypomniałem sobie, że chciałem iść do lasu, że las mi był potrzebny, by odzyskać równowagę. Po zmierzchu jednak nie miałem zamiaru pchać się do lasu. Świt to była zbyt wczesna pora jak dla mnie, by się w las zagłębiać. Szedłem więc przed siebie w nadziei, że do lasu nie dojdę. Drogą przecież szedłem. Dziwnie musiałem wyglądać na tym końcu świata z książką w jednej ręce i maszyną do pisania w drugiej. Zresztą może nie było to wcale takie dziwne? Przecież zapewne nikt nie wiedział, co skrywa waliza. Pewnie jakby mnie ktoś zobaczył, jakby mnie ktoś obserwował, pomyślałby, że zwykłą walizkę, ze zwykłymi rzeczami dźwigam. Jestem zwykłym podróżnym. Wykonuję zwykły zawód. Prowadzę zwykłe życie. Mam zwykłą rodzinę. Interesują mnie zwykłe sprawy. Czeka mnie zwykła śmierć. I nie pomyliłby się. I mógłby się zdziwić. Zmieniłem ręce, ale Czubek bezwzględnie ciągnął mnie do ziemi, musiał ważyć z osiemdziesiąt kilo i droga, ruch, kroki, choć dawały mi jeszcze przed sekundą namiastkę

ukojenia, namiastkę tego, co obiecywał mi las – zaczęły mnie męczyć. Chciałem jak najszybciej dojść do karczmy, wejść na swoje pięterko i położyć się. Choćby i pod krzyżakiem. Nie wiedziałem jednak, czy dobrze idę do karczmy, czy ku karczmie zmierzam, czy wprost przeciwnie, czy w ogóle jeszcze kiedykolwiek na karczmę natrafię. Iść jednak musiałem. Ruch był jedynym wytłumaczeniem mojego istnienia. Ruch był jedynym ratunkiem. Był jedynym alibi. Z ciężkich chmur, które, zdawało się, za chwilę runą i zmiążdżą Ziemię, spadły pierwsze krople deszczu.

Powietrze pachniało deszczem dokładnie przez 38 sekund i 23 setne. Potem pachnieć przestało. W ogóle. „Czy tutaj nigdy nie pada?”, pomyślałem. Jakby to mogło być, żeby tak w ogóle nie padało? Ale czy las mógł szumieć bez wiatru? Czy dziewczyna mogła płynąć nad miazgą peronu? Czy wszyscy wsiowi mogli mieć jednakie twarze? Hej! Dotarła do mnie rzecz bez znaczenia. Tak bardzo bez znaczenia, jak żadna inna. A jednak ucieszyła mnie. Uratowałem Czubka przed nieuchronnością dalszych, okresowych przecen. To było coś! Czy moje dotychczasowe życie wyglądało aż tak marnie, że coś tak błahego mogło być przyczyną radości? Dumy nawet? A jakże. Kropel spadło tyle, że jakbym chciał, mógłbym je policzyć. Nie pozostał już po nich nawet ślad. Och, jakże ulotnymi tworamii są pojedyncze krople. Maszerowałem z maszyną w jednej ręce i z książką w drugiej. Mimo ciężkich chmur i prowokacji, jaką bez wątpienia było wypuszczenie ku mnie tych kilku marnych kropel, ani na moment nie zmieniłem kierunku, nie rozejrzałem się za miejscem zadaszonym, nie przyspieszyłem, ani nie zwolniłem kroku, nie uniosłem maszyny nad głowę, by z pomocą maszyny osłonić głowę przed deszczem. Który się zapowiedział, ale nie nadszedł. Szedłem jak automat, szedłem z determinacją, szedłem bohatersko, szedłem niez mordowanie, szedłem z podwiniętym ogonem. Jak pies, który dostał kopa i w dodatku nie wie za co. Szedłem z walizką, szedłem z książką, z drobiazgami w kieszeniach. Zatrzymałem się na chwilę, położyłem walizę z maszyną na ziemi, przełożyłem książkę do ręki, w której taszczyłem maszynę, a maszynę wziąłem do ręki, w której jeszcze przed chwilą dzierżyłem książkę i ruszyłem dalej, przed siebie. Musiałem zamienić ręce, bo Czubek ciążył mi nieludzką. Cóż za treści mogły skrywać się na tych dwustu, może trzystu stronach druku, że książka tak mi ciążyła? Złapałem się na tym, że w irracjonalnej wólce, w której się znalazłem niejako bez udziału woli, przypadkiem, właściwie tylko przez smród z kolejkowego kibla i przez fantom

zjawiskowej dziewczyny, sam zaczynam myśleć irracjonalnie. Treści mogą przytłaczać, tłamsić, pozbawiać sił – zgoda. Ale książka nieszczęsnego Bertolda oddziaływała na mnie czysto fizycznie, jakby była wykonana z jakiegoś superciężkiego stopu metali, urywała palce, rozciągała ścięgna, dręczyła mięśnie. W dodatku nie znałem jej treści nawet w zarysie, ba, nawet do niej nie zajrzałem. Wciąż była firmowo zafoliowana i tylko przyklepiona do niej okładka na płytę klapała w sobie tylko znanym dialekcie, przyznam, że dość tajemniczo, sugestywnie, momentami nawet natarczywie. Jakby mi chciała coś koniecznie powiedzieć. Jakby mnie chciała ostrzec! Czyżbym ulegał paranoi? Miał atak ostrej psychozy? Natręctwa zaczynały brać mnie we władanie? Zebrałem się w sobie i ostentacyjnie zacząłem wymachiwać książką, usiłując jej materialną masę sprowadzić do granic zgodnych z prawami fizyki. Pogwizdywałem przez zaciśnięte zęby, a pot spływał mi strumieniami po zmarszczonym z wysiłku czole, bo rozchwiana wahadłowo powieść rozrywała mi stawy. W dodatku klapanie obwoluty na płytę DVD stało się tak rozpaczliwe, że aż wwiercało mi się w mózg, torturowało. Nie była to jednak tortura na modłę chińską, okrutna przez swą nieuchronną monotonię, cykliczna, jak kapanie wody, ale dręcząca przez zaszyfrowany w niej komunikat. Już miałem cisnąć tom w krzaki, kiedy nagle doznałem olśnienia! Obwoluta klapała do mnie alfabetem morse'a!

P-A-K-U-J S-I-Ę P-A-K-U-J S-I-Ę P-A-K-U-J S-I-Ę P-A-K-U-J S-I-Ę P-A-K-U-J S-I-Ę – monotonię, uporczywie i natarczywie wykłapywała obwoluta. Mrówki zgrozy rzuciły się na moje plecy i zaczęły wgryzać się w kręgosłup! Co to miało znaczyć?! Nie mogłem się spakować, bo nic nie miałem. Czyżby więc chodziło o to, bym... sam się spakował?! Byłaby to groźba?! Ostrzeżenie?! Ktoś chciał mi tylko napędzić stracha, czy coś mrocznego, nie ze świata tego, dybało na mnie, knuło, snuło plany okrutne?!

I nagle...

Z szarugi, z cienia, z podcienia, z dołu, z góry, z boku wychynęła nagle znajoma figura. Figura posągowa, grubo ciosana, kubistyczna, socrealistyczna, piekielnie ziemską, zwierzęco oczywista, prosta, choć zaokrągleń diabelskich pełna. Z czeluści przestrzeni infernalnych wychynęła Helka. Czy był to przypadek, czy też jakaś część mnie posterowała całym mną tak sprytnie, że wyszedłem wprost na nadciągającą Helkę? Określenie „nadciągająca” jest w przypadku Helki jak najbardziej uzasadnione. Bo Helka to było zjawisko przyrodnicze z tych najdzikszych, najpotężniejszych, najbardziej niepojętych, fascynujących, a jednocześnie budzących grozę swą nieokiełznaną potęgą. Helka, to było jedno z tych zjawisk naturalnych, wobec których ludzie pierwotni padali na kolana w metafizycznym uniesieniu. A zatem czyżby jakaś cząstka mojego jestestwa przewidziała

spotkanie z Helką, do spotkania dążyła, zmieniając mnie jednocześnie w jakąś bezwolną, zdalnie sterowaną kukłę?!

Ale jaki związek, do kroćset, miała Helka z obwolutą klapiącą do mnie morse'em PAKUJ SIĘ?

Helka ociekała seksem i patrzyła na mnie lubieżnie, prężyła ciało, biust wylewał się jej z dekoltu, owłosionych nóg, nóg porośniętych czarną, jak smoła sierścią diabelską prawie zupełnie nie osłaniała mini spódniczka, a we mnie uderzyła niczym tsunami gigantyczna fala testosteronu. Przeszedłem jednak mimo, spoglądając na nią jeno przelotnie, zimno.

Wymagało to nadludzkiego wysiłku, ale podołałem. Nie rzuciłem się na Helkę, nawet się obleśnie nie oblizałem, nie obejrzałem się za Helką, choć coś we mnie wyło, a stalowe kleszcze o morderczym uścisku usiłowały mi w stronę Helki wykręcić głowę. Odchodziłem wciąż tym samym, powolnym krokiem, z walizą maszyny do pisania w lewej ręce, z Czubkiem, co ciążył mi niemiłosiernie, w ręce prawej oraz z milionową armią mrówek grozy na plecach. Choć nie obejrzałem się nawet na moment, wiedziałem, że Helka patrzy na mnie. Patrzy na mnie ze zdziwieniem. Potem patrzy ze złością. Aż w końcu patrzy za mną z żalem i podziwem. Patrzy z uwielbieniem. Poczuję radość...

Odchodziłem coraz dalej i dalej, niewzruszony, w stronę lasu, karczmy, peronu, łąk, polnych ugorów, upraw ekologicznych, w stronę cholera wie czego. Horyzont maszerował wraz ze mną dziarsko i ta jego część, która uczepiła się moich pleców, musiała już pochłonąć Helkę.

Helka tu i teraz, ze swoim niewyszukanym erotyzmem, to było dla mnie zbyt wiele. O! O wiele za wiele! Rzuciłem się więc na Helkę, w nadziei, że i ona się rzuci na mnie, że się spleciemy w uścisku, który pozbawi nas tchu, ale tchnie w nas rokosz niewypowiedzianą. Ale Helka zrobiła unik, lekki, zwinny, niczym zawodowy bokser, wpuściła mnie w liny i strzeliła ręką, a miała rękę mocarną, w okolicy ucha.

- Uch – stęknąłem, rażony ciosem Helkowej ręki, niczym gromem.

- Ożeż ty w ząbek czesany, lowelasie – warknęła Helka. – I patrzcie ludzie – na szczęście nikogo nie było w okolicy i nikt nie widział mojej sromoty – jakie to bydlę wylazło z paniczyka. Znalazł się pisarzyna z północy. I co sobie taki myśli?! A pódziesz ty, przybłędo?! Zboczeńcu, ty!

To i Helka się na mnie poznała, skreśliła zanim się jeszcze coś zaczęło?! Zachciało mi się płakać... Leżałem ponizony, pobity, przez kobietę, bo Helka, pomimo swych cech charakterystycznych, jako to wąs, biceps, triceps, zad godzien nosorożca, sierść na kończynach, jednak kobietą była, leżałem w ostach, wbijających mi się tysiącami wrednych igielek w mą delikatną skórę mieszczycha z północy, w dodatku jakiś zapach wiejski

permanently drażnił moje nozdrza, więc zapewne wpadłem nie tylko w osty bezlitosne, ale i w coś jeszcze, co choć było miękkie, wciąż ciepławe, zdecydowanie atlasu, welwetu, płatków róży nie przypominało, było czymś na kształt szpinaku pacniętego nonszalancko w rów gargantuiczną łygą. Helka strzyknęła śliną przez zaciśnięte zęby, pogardy pełna, rzekłbym, jakby to nie była Helka, zde gustowana. Lecz określenie „zde gustowana” do Helki nijak nie przystawało, do Helki nie pasowało nawet określenie „zniesmaczona”. Helka mogła być ewentualnie pełna obrzydzenia i w rzeczy samej, gdy spluwała, taka właśnie była. Wdzięczny byłem Helce, że śliną swą, której miała w nadmiarze niczym wielbłąd, nie celowała we mnie, wdzięczny jej byłem, że nie znęca się nade mną więcej, że na jednym ciosie z liścia i plunięciu bez celowania poprzestała. A potem, zostawiając mnie w rowie z moją sromotą, odeszła. Mocna. Dumna. Nieposkromiona. Horyzont przesunął się wraz z Helką, zbliżał się do mnie niczym ostrze kosmicznej poziomej gilotyny. Chciałem skoczyć w stronę oddalającej się postaci, bo ostrze bezlitosne było coraz bliżej, bo koniec, bo nicość były coraz bliżej wraz z ostrzem, ale osty, te szpetne osty trzymały, a do tego pepegi buksowały mi w krowim placku.

Odchodziłem, jakby nigdy nic, z głową uniesioną wysoko, pogwizdując, jakby erotyzm zwierzęcy Helki w ogóle dla mnie nie istniał, nie robił na mnie wrażenia, jakbym był ponad to. Tylko, że Helka nie miała zamiaru dać za wygraną. Dopadła mnie, ucze piła się kurczowo mojej łydki, obłapiła łydkę moją, jakby była owa łydka brzytwą, a Helka tonącym. Szedłem dalej, starając się nie zwracać uwagi na Helkę, ale Helka to była Helka, Helka miała chwyt i miała masę adekwatną do chwytu, a nawet odwrotnie. Jakżeż więc mogłem nie zwracać uwagi na Helkę, skoro musiałem ją wlec? Musiałem każdy centymetr wrywać przestrzeni, a każdy centymetr przestrzeni musiałem wrywać. Czymżeż się to mogło skończyć? Przecież masa Helki rosła z każdą minutą, a nawet z każdą sekundą. Żebyż ta masa rosła liniowo, to pół biedy, ale ona rosła wykładniczo! I to pomimo, że Helkowe gabaryty, co prawda imponujące, wciąż były takie same! Jakaż nieludzka tajemnica kryła się w Helce, jakaż diabelską tajemnicę skrywała Helka?! Nagle uświadomiłem sobie, że muszę przegrać, że z masą Czubka Bertolda sobie poradzę, ale z masą Helki wczepionej w mą łydkę – nigdy! Z masą Helki nie miałem żadnych szans. Helka musiała mnie uziemić. To była tylko kwestia czasu. Czasu odwrotnie proporcjonalnego do masy Helki. A zatem krótkiego czasu. A kiedy dopełni się ten czas będę zdany na fanaberie Helki, zupełnie bezbronny. Poczulem, że się duszę...

Otwarłem oczy. Zobaczyłem nic. Czyżby dopadł mnie horyzont związany z Helką nierozzerwalnym węzłem? Czyżby dokonało się me smętne przeznaczenie wyegzekwowane

przez masę Helki? Czyżbym odchodząc od Helki bohatersko doszedł do absolutnego kresu? Nicości? Czyśca, w którym Bóg miłosierny oszczędzał na oświeceniu? Do samych czeluści piekielnych, które okazały się czystą smołą? Poruszyłem głowę. Coś zsunęło się z mej twarzy, szeleszcząc. Zobaczyłem kostropaty strop z krzyżakiem w samym centrum. Krzyżak patrzył na mnie świdrującym spojrzeniem. Nie było w nim jednak nienawiści, jak mi się poprzednio zdawało, a jedynie zainteresowanie, jakie kat okazuje ofierze. Na szczęście krzyżak chyba nie był głodny, bo tylko się na mnie gapił. Siadłem, spojrzałem w dół i zobaczyłem ją. Leżała rozwarta obłeśnie, bezwstydnie pokazując swe wnętrze. Schyliłem się ku niej, uniosłem z wysiłkiem i zatrzasnąłem. Szczęrzyła się teraz do mnie swą niewyszukaną facjatą. To był twardy dowód, że wychodziłem ze swej celi w karczmie, że napotkałem trafikę, kiosk ruchu, księgarnię, market typu „Szwarc., mydło i powidło”, że nabyłem dzieło „Zginie, kto się nawinie”, którego autorem był Bertold Czubek. Tylko co było potem? Napotkałem ci ja Helkę? Pasta do zębów mi zaszkodziła? Musztarda? Dziadunio sklepowy mnie czymś, ladaco, niepostrzeżenie naszprycował? Talibowie rozpylili psychotropy? Mozół lektury, będącej efektem kreatywności literata Bertolda i szaleństwa wydawcy, co nieopatrznie TAKIEGO ducha w TAKIE ciało zamienił, okazała się alergenem dla mej psychiki? Słowa jak kit tlen mi odjęły i padłem? To była zagadka, którą należało wyjaśnić. Tym bardziej, że nic innego nie miałem do roboty. Cisnąłem książkę na stolik.

P-A-K-U-J S-I-Ę

wyklapała morse'em obwoluta przyklejona do książki.

Mrówki dobrały mi się do kręgosłupa.

Krzyżak pokazał mi środkowy palec.

Tak dłużej być nie mogło! Zebrałem się w sobie. Wewnętrznie spałem. Sięgnąłem do najgłębszych pokładów swej odwagi. Pokłady były płytkie. Nawet te najgłębsze. Mrówki jednak zawahały się. To tchnęło we mnie otuchę. Wstałem. I strząsnąłem z siebie mrówki, które, spadając, stukały o podłogę, jak ryż.

- Ha! – zaryczałem triumfalnie w stronę krzyżaka.

Krzyżak wzruszył czterema ramionami i popukał się w czoło. Może mu nie zaimponowałem swoim wyczynem z mrówkami, ale jednak nie był już taki maczo. Poczułem się lepiej.

Dziarsko podciągnąłem portki i ruszyłem w stronę drzwi. Już miałem opuścić swoją norę i udać się do baru, kiedy nagle i niespodziewanie w moim umyśle pojawiła się myśl, że może ta książka, to, że się na nią nadziałem niczym na kontrę wyprowadzoną prawym prostym, to, że czyhała na mnie na tym zadupiu właśnie ona, że to ją wybrałem, to nie był li tylko przypadek. A jeżeli książka była kluczem? O czym ona właściwie była? Zsunęła mi się z

piersi, otwarta, więc zanim zasnąłem, musiałem ją czytać. Ale nic nie pamiętałem! Dlaczego? Może byłem taki zmęczony, że nie zdołałem przeczytać nawet zdania? Może czytałem zamroczony całodzienną mordęgą i dlatego w świadomości nie pozostał nawet najmniejszy ślad lektury? Może o książkę dopominała się moja podświadomość? Otwarłem ją na chybił trafił i przeczytałem fragment:

Ona leży na leżaku, w stroju topless, on, w koszulce polo i krótkich spodenkach, przycupnął przy niej na trawie, gładzi ją po nodze. Chce zrobić dobre wrażenie, sprawić jej przyjemność. Ona nie zwraca na niego uwagi.

On (romantycznie): Masz skórę... masz skórę...

Ona (obojętnie): Wiem, że mam skórę.

On (z zaangażowaniem, stara się być przekonujący): Ale... ale ty masz tę skórę...

Ona (ironicznie): No? Co za błyskotliwy umysł!

On (gorączkowo): Masz tę skórę... Ta twoja skóra jest, jak...

Ona (z odrobiną zainteresowania, po raz pierwszy spogląda na niego): Jaką mam skórę? Wyduś wreszcie!

On (zdesperowany): Jak... jak pomarańcza!

Ona (unoszą się na leżaku, zaciskając pięści): Świnia!

On (w myślach): O Boże! Przecież teraz one wszystkie wariują z tym cellulitem. Mają hopla na tym punkcie. A ja... Wyrwałem się, jak ostatni kretyn!

On (na głos, niezbyt pewnie): Chodziło mi o to, że twoja skóra... Wcale nie miałem na myśli tych dziureczek, dołeczków, tych kraterów z tłuszczu...

Ona (groźnie): Cooo?!!

On (jawnie przerażony, teraz już wie, że wdepnął): No więc... No więc chodziło mi oto, że twoja skóra jest taka świeża, taka jędrna, taka zdrowa, taka pachnąca, jak ta, no, jak skórka pomarańczy właśnie...

Ona (z furją): Idiota! Cham!

Ona z całej siły kopie go w twarz nogą. Odchodzi. On siedzi przy leżaku, z miną idioty. Po chwili grzebie w spodenkach, z

kieszeni wyciąga chusteczkę i przykłada sobie do nosa.
Chusteczka czerwienieje.

Poczułem, jak czerwienieję. Co to ma być do cholery?! Zatrzasnąłem książkę. Rozległo się znajome

P-A-K-U-J S-I-Ę.

Otworzyłem ją jeszcze raz, ale i tym razem natrafiłem na nie mniejsze kretynstwo:

Ona siedzi na kanapie, skromnie ubrana, aczkolwiek strój zdradza bogactwo jej cielesnych powabów, nogi trzyma bokiem, podciągnięte tak, że pięty dotykają pośladków. Ma wielkie pośladki. On, w koszulce polo i w krótkich spodenkach, patrzy jej głęboko w oczy.

On (z uczuciem): Kocham twoje krągłości, twoje apetyczne szczodrości.

Ona (mruga oczętami, zdziwiona): Że niby jak?

On (żarliwie): Wielbię twoje ponętne, pełne ciało!

Ona (buzia układa się jej w podkuwkę): Jestem za gruba, wiem...

On (skonsternowany): Ależ skąd! Nie to miałem na myśli. Jesteś idealna!

Ona (z nadzieją, niepewnie): Naprawdę?

On (wkładając w to, co mówi, całe serce): Ależ tak, ja lubię babki przy kości!

Ona (głosem bliskim rozpaczy): Co?!

On (nakręcony, nie widzi w co się pakuje, łapie ją za pulchne ramiona): Tak, kochanie, tylko takie pełne kobiety, jak ty mi się podobają. Takie z dużymi piersiami, wielkimi pupami, z toczonymi ramionkami, jak twoje, miękkie i pulchne!

Ona (wyje): Aaaaaaaa!!!

Wrywa mu się, kryje twarz w dłoniach, szlocha. On, zdezorientowany, próbuje ją przytulić.

On: Ależ kochanie? Co się stało? To wszystko, co powiedziałem, to szczerą prawdą.

Ona odrywa dłonie od twarzy, już nie płacze. Patrzy na niego z nienawiścią.

On (przerażony): Kochanie! Ależ co ty?

Ona (cedzi przez zęby): Świnia! Prostack!! Cham!!!

Bije go swą pulchną pięścią między oczy. Ma mocny cios. On pada. Ona odchodzi. Po chwili on dźwiga się z jękiem, grzebie w spodenkach, z kieszeni wyciąga chusteczkę. Przykłada ją do nosa. Chusteczka czerwienieje.

Bzdura! Potrząsnąłem głową, zły na Bertolda, ale książkę zamknąłem delikatnie, by znowu nie usłyszeć, że się mam pakować. To były jakieś brednie, a nie wskazówki. W dodatku byłem przekonany, że nabyłem kryminał, może i nie najwyższych lotów, ale jednak, a więc lekturę w sam raz na wakacje, na ucieczkę, na niezobowiązujące zabicie porcji czasu, który i tak miał mi bezpowrotnie przeciec przez palce, lekturę z nerwem, napięciem, intrygą, a tu wszystko wskazywało, że zawartością książki było jakieś obyczajowe sztuczdyło. Ale dlaczego mnie te fragmenty aż tak wnerwiły? Przecież i tak sobie po Czubku i jego majakach niczego nie obiecywałem. Więc co? Że kryminał okazał się niekryminałem? A jakie właściwie to miało znaczenie? Zresztą może tylko pechowo trafiłem na mylące fragmenty? Może, w trakcie lektury, znajdą one jakieś kryminalne uzasadnienie? Zaburczało mi w brzuchu. To przeważało. Zatrzasnąłem drzwi i zacząłem schodzić po wąskich zdezelowanych drewnianych stopniach kierując się zapachem kapusty. Książkę ścisnąłem pod pachą. Mocno. By nie kazała mi się pakować.

Byłem taki głodny, że zaniechałem jakichkolwiek środków ostrożności. Nie było to mądre, bo jeden Bóg raczył wiedzieć co i z kim mógł robić karczmarz. Zszedłem, a właściwie spadłem ze schodów wprost do sali jadalnej. I konkretnie mnie przytknęło. Karczmarz wprawdzie nie chędożył żadnej dziewoi, jeno, jak na karczmarza przystało, stał za ladą, przy pipie i lał piwo, prosto do kufła z grubego szkła. Nie było też nic szczególnego w pipie błyszczącej mosiądzem, nie było niczego niezwykłego w piwie, które pieniało się jak należy, nawet kufel nie budził grozy, choć szkło, które posłużyło do jego wykonania było takie, że uch! Problemem nie był karczmarz, nie w barze tkwił kłopot, ale w całej reszcie. Oprócz

karczmarza, oddającego się ze stoickim spokojem swoim zawodowym obowiązkom, na sali byli też:

- listonosz nie-listonosz,
- introwertyczny policjant jękała,
- dziadunio z trafiki

i nade wszystko

- Helka!

Listonosz, siedzący najbliżej schodów, a tym samym mnie, dłużył bez entuzjazmu w golonce – najwyraźniej nie był głodny, czymś się martwił, albo jakość golonki pozostawiała wiele do życzenia. A może po prostu jego przewód pokarmowy nie tolerował golonki bez piwa, a piwo wciąż jeszcze lało się za sprawą karczmarza z pipy do kufla. Listonosz był bez roweru, bez rewolweru, nawet bez melonika, ale za to w służbowym kaszkiecie z twardym daszkiem, a rozpoznałem go chyba tylko po wysłużonej, wełnianej marynarce i pompce od roweru, z którą się najwyraźniej nie rozstawał, a która leżała na stole, powyżej talerza ze ścinającą się i dramatycznie podziobaną widelcem golonką.

Policjant siedział po tej samej stronie sali, co listonosz, wbity w narożnik, jakby tenże narożnik był jego ostatnią ostoją, ostatnim szańcem, ostatnią szansą i ostatnim narożnikiem, w którym chciałbym być. Wyglądał, jakby tkwił w narożniku, bo tkwić w nim musiał, choć wcale nie chciał. Jakby w nim był, bo inne miejsca były do bycia jeszcze gorsze niż zakazany narożnik. A gdzieś przecież być musiał! To dopiero był dramat. Jak mnie zoczył – wcisnął się w narożnik bagieny jeszcze bardziej, jeszcze intensywniej przywarł do ścian. W dodatku zaczął się bezgłośnie jękać.

Dziadunio, jak to dziadunio, drzemał pośrodku sali, z głową odchylną do tyłu, odpadającą od reszty ciała nieskończenie powoli, ale i nieskończenie nieodwołalnie, ze skórą niczym tysiącletni pergamin napiętą na szyi do granic możliwości, a nawet bardziej, a grdyka mu latała w te i we w te, w te i we w te, jak element zegara nieubłaganie odliczającego czas do końcowej katastrofy.

Widok listonosza, policjanta, dziadunia, karczmarza, wszystkich czterech w jednym miejscu, niepojętych bliźniaków, czy też klonów, różniących się tylko stanem zużycia i opuchnięcia bądź też zasuszenia, zawansowaniem starości, która mniej lub bardziej chyżo galopowała w stronę śmiertelnej przepaści - mógł zwalić z nóg.

A do tego jeszcze, po drugiej stronie sali, po przekątnej względem schodów, siedziała przy stole Helka i dłużyła ostentacyjnie wykałaczką w gębie. Jeżeli moje spotkanie z Helką nie było jedynie majakiem, to za moment mogły się rozegrać rzeczy straszne. Mogła się na mnie

Helka rzucić. Mogła doskoczyć do karczmarza, by mnie pogrzyźć, a karczmarz mógł się rzucić na mnie. Czy wspominałem już, że z karczmarzem nie miałem żadnych szans? Tak, jak i z Helką? Mogli się na mnie rzucić i Helka i karczmarz razem. Mogli się w końcu rzucić na mnie wszyscy, bo przecie była Helka dobrem wspólnym. Nogi ugięły się pode mną. Helka na mgnienie zaprzestała penetracji wykałaczką i spojrzała na mnie przelotnie. Czasami spojrzenie przelotne bywa zalotne. To nie było. Moje oczy spotkały się z oczami Helki. Na błysk. I nic się nie stało. Wzrok Helki prześliznął się po mnie jeno, obojętny, nieobecny. Jakbym nie istniał. Jakby całym światem była wykałaczką i gębowy otwór, w którym się zagłębiała. Poczułem się tak słabo, jak jeszcze nigdy. Już miałem runąć bez sił na posadzkę, kiedy z wrót omdlenia wyrwał mnie głos karczmarza:

- O, pan literat. Jakże nam miło. Pewnie pan głodny, spragniony. Zaraz coś się dla pana pisarza znajdzie na ząb, a i piwa nie zabraknie.

Karczmarz uśmiechał się jowialnie, głos miał ciepły, miły. Jakby był najlepszym karczmarzem w okolicy.

- No, ruszże się kobieto – zawołał rubasznie. – Przyjemniej będzie panu, jak mu kobieta usłuży.

Helka, z wyraźną niechęcią oderwała się od czynności wykopaliskowych, z rumorem odsunęła krzesło i ruszyła, niczym niszczycielski żywioł, w stronę baru.

- Rzuć no tam panu artyście kawał schaboszczaka, a i kapuchy nie żałuj, bo czego, jak czego, ale kapuchy, to już na pewno nie ma co żałować. Prawda, panie... - zaciął się na moment, ale szybko znalazł właściwe słowo - ... panie twórcu ty nasz kochany. Słynny panie powieściopisarzu, prawda?

Niby wszystko to mówił głosem serdecznym, ale jakoś za dużo tego było, za wylewnie było podane, jakby w istocie obśmiać mnie chciał, wyszydzić, sprowokować.

Już miałem wyprowadzić obronną kontrę oralną, przyszpilić jego rozbuchaną elokwencję jakąś ciętą złośliwością, ale Helka właśnie się koło niego przepychała na zaplecze, więc się Helką zainteresowałem, odwróciłem ode mnie, Helkę strzelił w pupę swą dłonią, co była przy mojej dłoni, jak bochen chleba, ale przy pupie Helki nabierała subtelnych proporcji, zmieniała się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w dłoń delikatną. Tylko kto bym tam chciał dotykać dłoni karczmarza choćby i różgą? Co innego pupy Helki! O! Tej to by się podotykało! Ech...

- A co pan tam masz? – z rozmarzenia wyrwał mnie głos karczmarza, który po klepinięciu Helki powrócił do rzeczywistości, jakby nigdy nic, jakby w klepiniętym fragmencie Helkowej anatomii nie było żadnej magii, jeno czysta codzienność i powszedniość.

- To tu? – zapytałem, jak ostatni przygląd, wskazując na Czubka ściśniętego pod pachą.
- A to to. To właśnie, panie bajkokleto.
- A nic takiego. Kryminał kupiłem. Czytam. Noszę ze sobą. Jak mam chwilę, to siadam i czytam.

Podszedłem do baru.

- A jaki to ten kryminał – zapytał karczmarz, stawiając przede mną flaszkę, z której natychmiast ochoczo pociągnąłem.
- No nic wielkiego... pewnie – odpowiedziałem, wycierając usta wierzchem dłoni. - Za dużego wyboru, to w tej waszej księgarni nie ma. Łysiaka bym kupił, lubię, szanuję, doceniam, ale znam. A tego tutaj – nie. Przynajmniej od tej strony. No to kupiłem.
- Ale co? Jakiś tytuł, autor? No pokaż pan, nie wstydź się.

Podąłem mu książkę.

- A! Czubek... taaaak. A wiesz pan, że ten Czubek to nie pije?
- Niiieeee – zdziwił się listonosz.
- Tak.
- Nie? – niedowierzał dziadunio, który przerwał drzemkę i wyglądał... nie, nie jak dupa z za krzaka, tylko całkiem świeżo, jakby nie dopiero co z drzemki swej starczej się wyrwał, ale wychynął odmłodzony z gabinetu SPA.
- No mówię przecież, że nie – zniecierpliwiał się karczmarza - a jak mówię, to znaczy, że wiem. Już ja wiem co mówię. Niepijący jest.
- Nie może to być! – zawołali chórem listonosz i dziadunio. Policjant też pewnie by zawołał, ale wyjąkał tylko parę razy : „ń – ń – ń...”.
- Tak słyszałem. Od osoby godnej zaufania. Bywałe.
- Abstynent?! – wciąż nie mogli uwierzyć dziadunio z listonoszem.
- A – A – A –A...? – dołożył swoje policjant
- No aż tak to nie. Chociaż... Ten ktoś zaufany mi mówił, że jakieś tam tylko piwo, puszka, to góra – podrapał się w głowę karczmarz. - Podobno nawet z puszką się męczy.
- Niiieeee... - listonosz z dziaduniem jęknęli ze zgrozą, a policjant dostał tiku.
- Też nie mogłem uwierzyć. Żeby literat, tego, nie pił? Jakże to może tak być?! No niech pan sam powie – karczmarz zwrócił się ponownie w moją stronę, bo od czasu, jak zadał mi pytanie twierdzeniem, że Czubek nie pije, rozmawiał z ziomkami, a na mnie w ogóle nie zwracał uwagi.

- Brak słów – zasmucił się listonosz, mechanicznie dziobiąc pośmiertnie stężałą golonkę. - To niewiarygodna sprawa. Właściwie jak tylko piwo i to jedną puszkę, góra, to właściwie abstynent. A może w dodatku bezalkoholowe?

- Myśli pan? – zainteresował się karczmarz obawami listonosza, tracąc jednocześnie zainteresowanie mną.

Było w tym coś nieludzkiego. To znaczy oni wszyscy mnie traktowali, jakbym nie był człowiekiem. Jakby mnie można było wyłączyć z rozmowy i do niej włączyć dowolną ilość razy. Jakbym był jakiś automatem. Jakbym nic nie znaczył. Złapałem za flaszkę i się zakrztusiłem, bo pociągnąłem z niej zbyt łapczywie. Oczy wyszły mi z orbit, nie mogłem złapać oddechu, dusiłem się. Tamci nawet nie raczyli spojrzeć. W końcu, jak szczęśliwie udało mi się wciągnąć do wątych płuc powietrze, obiecałem sobie, że już z flaszki pociągał nie będę w takim towarzystwie, które ma mnie za nic, szczególnie, że ciągnąłem z flaszki na sępa, bo po zakupach u dziadunia nie miałem już pieniędzy nawet na taką flaszkę.

- Mogłoby to piwo być bezalkoholowe? E, nie – wydedukował karczmarz - bezalkoholowe się nie liczy. Jakby ta zaufana osoba, wiedziała, że o bezalkoholowe tylko idzie, to by o tym nie wspominała... Poza tym podobno on wino...

- A jednak – ryknął zgodnym chórem dziadunio, listonosz i policjant, który na ten moment przestał się jąkać, a nawet ustąpił mu tik.

- Wiedziałem, że nie mogło tak być, żeby w ogóle – odetchnął z ulgą listonosz.

- Wino, owszem, ale... - zawiesił głos karczmarz – ale... tylko lampkę. I nie żaden tam uśmiech teściowej, tylko gronowe wytrawne!

- Coś takiego – jęknął zrezygnowany dziadunio.

- Ożesz w mordę – zachrypiął listonosz.

- C – c - c – ooooo-oz – wybełkotał policjant, mrugając bezwolnie prawym okiem.

Sięgnąłem po butelkę, choć miałem już nie sięgać. I pociągnąłem, choć miałem nie pociągać. Bo nie przeczę, że wieść o niepijącym koledze po piórze, wprowadzie osobiście nieznanym, ale jednak poprzez wykonywaną profesję bliskim, mną wstrząsnęła. Wstrząsnęła mną też rozmowa klonów i bezpardonowy sposób, w jaki zostałem potraktowany. Biedny wyrzutek! Jakież ja jestem słaby – zaszlochałem wewnętrznie nad swoją niekonsekwencją, nad swym ułomnym charakterem i swym pożałowania godnym upodobaniem.

Odstawiłem flaszkę.

Sięgnąłem po flaszkę.

Świadomość własnej słabości tak mnie zdołowała, że powstrzymanie się od sięgnięcia było ponad moje siły.

Moje kalekie człowieczeństwo, nowe informacje dotyczące Czubka, klony – to wszystko spowodowało, że musiałem sobie golnąć. SOLIDNIE! Powstrzymałem się jednak od walenia trunku z gwinta, co było nieeleganckie. Nalałem sobie do szklaneczki, tak do połowy i wychyliłem. Od razu mi się poprawiło. I nie tylko dlatego, że zaczynałem mieć w czubie, ale także dlatego, że takie zastąpienie chamskiego walenia z gwinta o ileż bardziej znamionującym oglądę wychylaniem ze szklaneczki napelnionej bez przesady, z nonszalancją, nie po same brzegi, było jednak jakimś, może i małym ale jednak – zwycięstwem.

- I żeby takie rzeczy na trzeźwo wymyślać... - westchnął karczmarz. - Czytał pan już? – znowu, jakby nigdy nic, zwrócił się do mnie.

- Trochę – kiwnąłem głową.

- No to pewnie się pan już zorientował nieco w treści. I żeby takie rzeczy na trzeźwo wymyślać... A dalej będzie jeszcze ostrzej...

- To pan to czytał?

- E, nie, tego nie. Inną czytałem. Jak się to... A! Już mam! „Zbrodnia tygodnia” to się nazywało. Znam też „Mordercze nadercze” i najlepszą jego powieść zatytułowaną „Zadżgany”. Krwawa rzecz!

- Jak Czubek na trzeźwo takie okropieństwa płodzi – rzucił listonosz - to co by było, jakby pił? Co wtedy by wymyślił? Poza tym ja uważam, że co po pijaku uchodzi, na trzeźwo: nigdy!

Pomyślałem, że ma rację, bo pijak z rozbitą głową, brudny, w błocie wytarzany, a nawet z wymiociną na torsie budził zrozumienie. Człowiek trzeźwy - wręcz przeciwnie. Reakcją na brud trzeźwego jest zgorszenie, na wymiocinę - odraza, na rozbitą głowę – lęk. Czasem też politowanie. Żadnych więc odczuć pozytywnych trzeźwy, ale sponiewierany, jak pijany, nie budzi. A jest to przecie jeno fizyczna, powierzchowna strona zagadnienia. Tym czasem szło o rzecz ważniejszą, głębszą. Chodziło o treść, o sens, o kwintesencję. Czy prosty mógł zrozumieć garbatego?

- Czarna owca – powiedziałem ponuro. – To się zdarza. Nawet w najlepszej rodzinie.

- Ale przyznasz pan, że strach – wychylił się nad barem w moją stronę karczmarz.

- Tak – zgodziłem się niechętnie.

Schyliłem się pod ladę, wyciągnąłem z kieszonki koszuli fifkę i pociągnąłem nosem. Nie miało to większego sensu, bo fifka była pusta.

- A może bierze? – zapytałem z nadzieją, prostując się.

- Nie – karczmarz pozbawił mnie złudzeń. – Nie pije, nie pali, nie wacha, nie daje w żyłę.

- Straszne – zawołaliśmy chórem listonosz, dziadunio i ja.

Policjant chciał zawołać, ale nie dał rady, bo oko za bardzo mu latało.

- A jednak prawdziwe.

Karczmarz odłożył książkę Czubka na ladę, jakoś tak delikatnie, na poły z respektem, na poły ze wstrętem.

- A może by tak... - popatrzył wymownie w stronę kubła.

- Nie, muszę się z tym jakoś uporać, wytrwać, znaleźć siłę. Jak zacząłem, to skończę. Jak mężczyzna.

Popatrzył na mnie z podziwem.

- Pan to jednak jesteś gość. Choć z północy.

Nie wiedziałem, co ma przeciwko tym z północy, trochę mnie to nawet ubodło, ale przyjąłem komplement. Z zaplecza wynurzyła się Helka. Określenie „wynurzyła”, w przypadku Helki, było jak najbardziej na miejscu, bo Helka była jak wieloryb. Na tacy taszczyła gigantycznego schaboszczaka ze stogiem kapusty. Na sam widok stogu zaczęło mnie rajbować w żołądku.

- Chono – rzuciła Helka do mnie, rzucając jednocześnie schaboszczaka unurzanego w kapuście na stół.

Posłusznie podszedłem, usiadłem i zacząłem wcinać.

Schabowy zachrumkał do mnie z wyrzutem.

- Daj spokój – rzucił lekceważąco stóg kapusty. – Nie widzisz, że to głąb? Nie zrozumie.

Wziąłem książkę i wrzuciłem ją do reklamówki obok flaszki, która spoczywała z godnością obok swawolnej fifki.

- To na mnie już czas – powiedziałem, widząc, że karczmarz puchnie w oczach, rozrasta się, niemal rozsadza przestrzeń między półkami z alkoholem, a blatem baru, nabiera kolorów, jego ruchy, choć jest napompowany niczym balon, wręcz rozdęty do granic, stają się błyskawiczne.

Wstałem.

I padłem.

.....

Ocknąłem się, a właściwie ocykałem się powoli i był to ocyk z tych najgorszych, taki, kiedy się właściwie wcale ocykać nie chce. Chce się umrzeć. Leżałem w swojej norze na poddaszu, na brzuchu, z głową nienaturalnie wykręconą, goły, ledwo co okryty koszmarną derką, na widok której i koń doznałby wstrząsu, a być może nawet koniem takim

nieszczęsnym, któremu zaproponowano by derkę, która mnie fragmentarycznie oblepiała, wstrząsnęłyby torsje. Ale to było nic. Czymś i to tym czymś, co powodowało, że wcale nie chciałem się ocknąć, był tragiczny ból tyłka. Co się wczoraj wydarzyło? Pamiętałem tylko, że jadłem w barze na dole kotlet schabowy z kapustą, że trochę piłem, że prowadziłem przed spożyciem, a i częściowo w trakcie jałową rozmowę na temat domniemanej abstynencji Czubka, że wstałem z zamiarem by wyjść na świeże powietrze, bo duszna atmosfera karczmy przytłaczała mnie. I nic więcej. Jakby mnie ktoś jednym pstrykiem przełączył w tryb nieistnienia. Gorzała mogła mi zaszkodzić, owszem, cholera wie, co to była za gorzała, może karczmarz sam ją pędził na detergentach. Myśląc o tym otwarłem szeroko oczy i rozejrzałem się po pokoju na tyle na ile pozwalała mi wykręcona głowa. Wzrok miałem w normie. Nawet jeżeli karczmarz uraczył mnie wczoraj bimbrem nie był to bimber z tych najgorszych, co to wzrok odejmują. Na zawsze. Może się więc strułem jedzeniem? Ale tyłek od zatrucia nie boli. Głowa owszem. Ale tyłek? I to TAK?! Nie. To na pewno nie było zatrucie. A więc co? Nowotwór odbytu? W dodatku złośliwy? Rak? Raczycho koszmarnie? Ale żeby tak gwałtownie zaatakował w nocy? I dlaczego byłem goły? Dlaczego na brzuchu, choć nigdy na brzuchu nie sypiałem?! O Boże! Dopiero teraz przyszła mi do głowy straszna myśl, że oto w nocy dopadł mnie karczmarz i zrobił ze mnie swojego chłoptasia. Że mnie przecwelił po całości. Wielokrotnie. Karczmarz z pewnością był zdolny i do gorszych rzeczy. Możliwości jego jurności ani chybi wykraczały dalece poza kontakty intymne z Helką. Boże! A może to nie tylko karczmarz? Czy karczmarz solo mógł być przyczyną aż takich doznań w wiadomym miejscu, które były doznaniem rozdzierającym? Bo czułem się jak, nie przymierzając, jakiś Azja na pal nawleczony. Czyżby więc swej chuci zboczonej upust dał nie tylko karczmarz, ale i listonosz, i policjant? A może i dziadunio?! Naszprycowali schaboszczaka pigułką gwałtu? Dodali do kapusty barbituranów? Ale to przecież Helka podawała mi jedzenie. To pamiętałem dokładnie: Helka poszła na zaplecze i nie było jej przez całą rozmowę na temat Czubka, pewnie dobry kwadrans, albo i dłużej. Ona musiała wszystko przygotować i to chyba nie tylko podgrzać, ale usmażyć mięso na świeżo, wcześniej upaprać w panierce. Karczmarz i pozostali cały czas byli w barze. Jeżeli więc danie było naszprycowane, to ręką Helki, to Helka, nikt inny, musiała dodać środki odurzające do schabowego, do kapusty. A zatem była Helka z karczmarzem w zмовie! A może... A może Helka była nie tylko biernym współsprawcą mego nieszczęścia? Może nie tylko dosypywała do żarcia? Może czynnie włączyła się do zabawy? Ale jak? Spenetrowała mnie sztucznym penisem o rozmiarze XXL? A może... Poczulem, jak resztki jedzenia podjeżdżają mi do gardła. Może Helka... była facetem?! Te jej owłosione giry. Ta jej energia. Ta siła. Ta wulgarność. Wąs się jej sypał jak

złoto! Znowu wezwałem imię Pana nadaremno. Sam ewentualny gwałt wydał mi się nie tak straszny, jak moje upodobania. Bo przecież Helka mnie kręciła! Kręciło mnie jej grubiaństwo, jej owłosione łydy mocarne. A cyce? Cyce jej bujne, obezwładniające, sterczące, agresywne? Cyce jakoś mnie odrobinę pocieszyły. Ale na krótko. Ale marnie. Przecież mogły być cyce owe sztuczne. Mogła sobie Helka wszczepić implanty. Dla niepoznaki. Albo po prostu dlatego, że ją to ekscytowało. Chryste Nazarejski! Dałbym się ja wziąć na taki oszukany seksapil?! To może i ze mną było coś nie halo?! Szarpnęły mną drgawki, głowa mi zwisła poza krawędź łóżka. Teraz i kark mnie zabołał. Musiałem spać w złej pozycji i kark mi zeszytniał, zapiekł się w wykrzywieniu. Zresztą ból mógł być nie tylko efektem złego ułożenia w nocy. Cholera wie, co ci zwyrodnialcy robili z moją głową, jak się zabawiali, korzystając z mojego chwilowego niebytu. Na podłodze, obok łóżka leżała książka. Otwarta. W zasięgu wzroku. Narzucała się nachalnie swoimi czcionkami. Ani mi w głowie było czytanie, ale tekst wpijał mi się w oczy, sączył chore treści do mózgu. Chciałem odwrócić głowę od tekstu, ale kark nie pozwalał. Chciałem się unieść na rękach, ale i ręce miałem zdrętwiałe, bezwolne i bezsilne. Albo działał jeszcze narkotyk, którym mnie obezwładniono, którym mnie ubezwłasnowolniono, albo niemoc promieniowała z karku. Nie było dobrze. Pomyślałem o urazie kręgosłupa. O tym, że będę tu tak leżał jak roślina, aż uschnę. A nawet jak ktoś przyjdzie – tylko kto – nawet jak się ulituje – to co? Co mnie czeka? Paraliż? Bezład? Wózek? Zebrałem się, by poruszyć nogą. Noga się poruszyła. Górę tylko będę miał sparalizowaną? Będę cienkie zupki po kres swoich dni wciągał przez słomkę? Zebrałem się by: otworzyć usta – usta się otwarły; by przełknąć ślinę – ślina poleciała przełykiem w głąb; by zazgrzytać zębami – zęby zazgrzytały, aż miło, aż mi się stara plomba z amalgamatu ukruszyła. E, może nie było tak źle? E, pewnie to tylko chwilowe. Kręcz mnie złapał, haratną po łapskach. Miłe to nie było, ale minie. Chwilowo jednak zwiisałem twarzą nad bezczelnie rozwartym dziełem Czubka. Chciałem odwrócić wzrok, ale druk przyciągał, kusił, mamił. Poddałem się. Litery ułożyły się w słowa, słowa w zdania. Zdania w treść. A była to treść iście piekielna.

Kobieta, a właściwie jej zwłoki, leżała w skotłowanej pościeli, na łóżku twarzą w dół. Przez jej nagie ciało przerzucony był niedbale fragment prześcieradła, zbroczonego wszelkimi możliwymi płynami ustrojowymi, jakie mogą wydostać się z ludzkiego ciała. Głowę miała nienaturalnie przegiętą w prawą stronę. Wyglądało to tak, jakby sprawca brutalnie

ciągnął ją za brodę, jednocześnie wykręcając jej na plecy lewe ramię. Układ ciała wskazywał, że przyczyną śmierci mogło być skręcenie karku i przerwanie rdzenia kręgowego. Na szyi widniały wyraźne, krwawe wybroczyny. Przyczyną zgonu mogło więc być także uduszenie. Pomimo wieloletniego doświadczenia komisarz Jonasz Kicha wolał się w tej kwestii zdać na opinię patologa. Nie ulegało natomiast wątpliwości, że kobieta została wielokrotnie zgwałcona, także analnie.

Poczułem paniczny strach. Nadludzkim wysiłkiem przesunąłem ramię w stronę krawędzi łóżka. Ramię omsknęło się na podłogę. Podciągnąłem je powoli, centymetr po centymetrze w stronę książki i zamknąłem ją. Byłbyż to li tylko przypadek? Karczmarz i jego ferajna z rozmysłem zrealizował opis, a następnie, by zwiększyć poziom perfidii, podłożył otwartą książkę? A może to jednak nie karczmarz? A może to wpływ Czubka? Może to Czubek sprawił swym słowem? Mógł mieć Czubek aż taki wpływ? Czubku! Kim TY jesteś?! A może to to miejsce? Tu wszystko było dziwne: las, peron, mgła, klony, wieś, karczma, Helka, pająk... Właśnie! Pająk! Co robił? Gapił się na mnie z pogardą? Wpijał we mnie swe krwiożercze ślepie drapieżcy? Mierzył do mnie ze schmeissera? Czy to strzał adrenaliny spowodowany lękiem sprawił, że ból szyi nie był już tak obezwładniający, czy kręczę zaczynał puszczać, w każdym razie udało mi się poruszyć i obrócić na plecy. Pająk siedział pod powalą i dziergał na drutach. Wyczuł widocznie, że się na niego gapię. Przerwał robotę, spojrzał na mnie, tak jakoś z politowaniem, ale tylko przez chwilę. I jakby nigdy nic, jakby się zupełnie nic nie wydarzyło, wrócił do pracy.

Nawet pająk olewał mnie i moją sromotę!

- Trwoga- zawołałem wewnątrz, bezdźwięcznie.

- Ginę – dodałem.

- Ratuj się – zawyły resztki wolnej woli.

Tylko jak?

I nagle, jak grom z jasnego nieba, strzeliło mnie olśnienie. Strzeliło mnie jak w pysk z liścia.

I otwarła się dusza moja.

I przejrzałem.

I wszystko stało się jasne.

Musiałem odnaleźć zjawiskową dziewczynę! Dlatego tu przyjechałem! Dlatego tu byłem!

ONA była moim PRZEZNACZENIEM!

Już dawno zaobserwowałem, że mam jedynie iluzoryczny wpływ na swoje życie. Przypadek miotał mną niczym sztorm łódką na wezbranym morzu. Zresztą może nie był to przypadek? Może moje życie było zaprogramowane? Może wszystko było zaprogramowane? A może cała reszta, oprócz mnie, to były tylko fatamorgany? Dekoracje? Wirtualni statyści? Programista musiałby być doprawdy szalony, bo wszystko co się działo, nie tylko tu, na tym zadupiu jak ze złego snu, ale wszędzie i zawsze nie miało nawet odrobiny sensu. A może jednak miało to jakiś sens tylko ja nie potrafiłem go odczytać? Może było to dla mnie zbyt wyrafinowane, zbyt inteligentne, zbyt głębokie? Może było po prostu NIELUDZKIE? Jeżeli Bóg istniał i był taki, jak być powinien, czyli Wszewiedzący i Wszemocy, to czy moja wolna wola miała jakiegokolwiek znaczenie? Przecież, skulati, i tak wiedział co zrobię, jak się zachowam. Sterował mną na bieżąco, czy to wszystko było zapisane, całe życie, jak film, toczyło się według scenariusza? Może byłem po prostu zbyt słaby? Może wystarczyłoby się napiąć, sprężyć i wyrwać z tego fatum, z tej świadomości, że jakbym się nie starał, to i tak moje marzenia szeszczą? Ale jeżeli Bóg mnie stworzył, to i moje defekty były przez Niego zaprojektowane, przez Niego wpisane we mnie. Mogłem się zbuntować. Najprościej byłoby się położyć i odmówić współpracy. Tylko kto mi zaręczy, że i w ten sposób nie realizowałbym jedynie swojej roli w tragifarsie życia napisanej przez ISTOTĘ. Może dumne przekonanie, że jestem CZŁOWIEKIEM, było jedynie złudzeniem. Może byłem jedynie SIMEM? Otaczał mnie MATRIX?

I po co to wszystko?

Dla JEGO zabawy?

Czy dla MOJEJ wprawy?

Ziemskie życie mogło być teatralnym przedstawieniem, długim, bo i odbiorca był długowieczny, ale mogło też być szkołą, zbiorem ćwiczeń, wymyślonych przez Niego dla mnie. Mogło być wreszcie czyścicem, który polegał na poprawkowym wprawianiu się. Mogło być i piekłem, bo, przynajmniej czasami, doznawałem mąk isticie piekielnych. Moje życie mogło być równie dobrze karą, jak i nauką. Żyłem już dość długo i czy nauczyłem się czego? A gdzie tam! A więc jednak kara. Ale co to za kara, skoro nie chciałem jej skończyć? Nie żebym nie był ciekaw co jest po drugiej stronie, ale nie aż tak ciekaw, by mi się tam spieszyło. Chciałem żyć! Czy wyrywanie paznokci mogło być karą dla masochisty?

Miałem wybiec, by JEJ szukać, ale uświadomiłem sobie, że jeżeli ONA była mi PRZEZNACZONA, to i tak się na nią nadzieję wcześniej lub później. PRZYPADKIEM! Jeżeli więc między szukaniem zjawiskowej dziewczyny i nie szukaniem jej nie było w istocie żadnej różnicy, postanowiłem (oho! czy aby na pewno to JA postanowiłem?!) zaprzyjaźnić się z moim nieożywionym skarbem, za pomocą którego mogłem wywoływać z nicości byty. Choć trochę, jak ON.

Wyciągnąłem spod łóżka walizę, postawiłem ją na stole i otwarłem. Ukazała swe piękne, harmonii pełne wnętrze, proste, a jednocześnie dające nieskończone możliwości. Delikatnie, z uczuciem przejechałem palcami po klawiszach. Usiadłem przed nią, w skupieniu zamarłem na moment, uniosłem dłonie, spłoszone, oczekujące na moment iluminacji. Ileż razy stosunek mój z nią fizyczny kończył się rozczarowaniem... Myśl błysnęła, jak wieczorny świetlik słabym, niknącym światłem. Chciała mi uciec, ale dopadłem ją i już nie puściłem. Uderzyłem pierwsze akordy słów.

Jest zawsze i wszędzie. Jest wszystkim. Jest nicością. Z doskonałej próżni, którą marszczy niczym nieostrożny biesiadnik obrus, pączkują wielorakie n-wymiarowe przestrzenie. Które są Jego częścią. Niektóre trwają, inne rozpadają się samoistnie, jeszcze inne unicestwia. Unicestwia tym samym część siebie, a jednocześnie niczego nie traci, przekształca się, pozostając niezmiennym. Nie zastanawia się nad tym co robi, nie ocenia, nie klasyfikuje - taka jest Jego natura. Nieustanne stwarzanie i niszczenie jest Jego immanentną cechą. Bąbluje nieskończenie, a każdy bąbel jest odrębny, będąc jednością z wszystkimi innymi bąblami. Wraz z powstaniem pojedynczego bąbla - zaczyna płynąć czas. Upływ czasu w bąblu nie ma najmniejszego znaczenia dla całości - nie wpływa na inne bąble, tym, bardziej nie wpływa na Niego. Jego intelekt, emocje, uczucia są tak odrębne od tych, które towarzyszą bytom pojawiającym się w niektórych bąblach, że dla bytów tych są niepojęte i nie mają dla nich najmniejszego znaczenia. To, co dzieje się z bytami w bąblach, a także w samych bytach nie ma też żadnego znaczenia dla Niego. Ponieważ bąble i byty w nich zawarte są Jego częścią i się nimi nie interesuje i nie mają one dla Niego żadnego znaczenia - nie

interesuje się samym sobą i nic dla siebie nie znaczy. Nie obchodzi się. Bąbluje.
Jest.

Upływ czasu w bąblu, jakże bez znaczenia na wyższym poziomie, dla pojedynczych bąbli i dla tego, co dzieje się w ich wnętrzu, ma wpływ niebotyczny. Szczególnie wielki dla bąbli, w których pojawiają się byty obdarzone życiem wewnętrznym, skomplikowaną psychiką, samoświadomością, a bywa, że i nadświadomością. Nie sposób jest ogarnąć znaczenia upływu czasu dla wszystkich bąbli, co wynika wprost z ich nieskończonej mnogości. Ale dla jednego? Wystarczy zanurzyć się we wnętrzu jednego bąbla, by docenić cały dramatyzm sytuacji. Nie wiadomo jednak czy gdziekolwiek komukolwiek z zewnątrz udało się zanurzyć we wnętrzu bąbla (byty w niektórych bąblach przebakują, iż istnieje teoretycznie taka możliwość), oczywiście poza Nim. Bo On potrafi zanurzać się sam w sobie, co zresztą czyni nieustannie. Byty w bąblach nie dostrzegają tego, choć niektóre bardzo by chciały posiadać umiejętność dostrzegania Jego obecności. Nie jest to jednak możliwe, gdyż zanurzając się w bąblu zanurza się On jednocześnie sam w sobie, każdy byt jest Jego częścią, a On jest w każdym bycie. Niektóre byty spekulują na Jego temat. Niektóre usiłują odkryć Jego naturę. Są nawet takie, które uważają, iż ją poznały. Jak i takie, które twierdzą, że do nich przemówił. Są też takie, które oficjalnie głoszą, że Go nie ma. Głoszą to wbrew sobie, bo niełatwo jest siebie zanegować. Dla Niego dociekania bytów i ich zdanie na Jego temat nie mają najmniejszego znaczenia. Dla samych bytów relacja z Nim ma znaczenie kolosalne - pewne jest, że dobrze jest żyć w zgodzie z samym sobą. Oczywiście, co jest najbardziej oczywistą oczywistością z wszelkich możliwych oczywistości, by poznać wpływ upływu czasu na bąbel i zamieszkujące go byty nie trzeba zanurzać się we wnętrzu bąbla z zewnątrz. Wystarczy w nim być!

()

Od momentu, który ludzie nazywali Wielkim Wybuchem, a którego On nie nazywał, bo nie musiał, gdyż nie potrzebował słów, choć je rozumiał, upłynęło wiele, bardzo wiele czasu. Czasu upłynęło tak wiele, że nie tylko zdążyła zmurszeć ostatnia planeta, eksplodować w rozbłysku supernowej ostatnia gwiazda, ale nawet wyparowała ostatnia czarna dziura. Światło rozpiezchło się w bezdennej ciemności, pojedyncze atomy podróżowały w zupełnej samotności. Według ludzkiej miary musiały upłynąć miliardy lat, by jakiś samotny atom szczęśliwiec zderzył się z innym samotnym atomem szczęśliwcem i na mgnienie rozbłysnął porcją energii, która momentalnie rozplywała się w jednorodnym promieniowaniu, które wypełniało cały znany mu kosmos. A znał cały swój kosmos, gdyż go w całości wypełniał. Kiedyś, dawno, dawno temu, nie aż tak dawno, by można było - oczywiście podróżując wystarczająco długo - natknąć się na planetę zbłąkaną w bezkresnych przestrzeniach, ale wystarczająco dawno, by poigrać z polem grawitacyjnym kosmologicznej osobliwości, nie wypełniał całym sobą kosmosu. Był ogromny, ale mierzalny. W ogarniającej go pustce, ciemności i zimnie łowił informacje zawarte w polach elektromagnetycznych. Pola te były bardzo słabe, nawet dla Niego, wówczas, ledwo wyczuwalne. Ich stężenie, które poprawnie wypadłoby nazwać natężeniem, było tak słabe, że nie było adekwatne nawet do zawartości substancji czynnej w preparacie homeopatycznym. Czasami udawało mu się złowić jakąś kaloryczną, krwistą informację, którą pożerał łapczywie. Sycił się gargantuicznymi, kosmicznymi katastrofami. Czasami, złapawszy delikatną, subtelną informację, w której zapisana była woń drzewa, które rosnęło na planecie, której już dawno nie było, lub szum strumienia, śpiew ptaka - delektował się nią, traktując ją niczym deser. Najbardziej lubił jednak wychwytywać wszystko, co dotyczyło istot inteligentnych: rozmowy, emocje, uczynki, ich zmagania ze światem i ze sobą nawzajem. Niektóre informacje były tak słabe, że aż nieczytelne. Denerwowały Go, a jednocześnie przyciągały, intrygowały tajemnicą. Tak było dawniej, kiedy we Wszechświecie istniały jeszcze czarne dziury, a

nawet kilka ostatnich dogorywających gwiazd. Z czasem jednak wyćwiczył się w sztuce łowieckiej oraz tak dalece rozwinął swój kunszt odczytywania informacji zawartych w nawet najbardziej rozproszonych polach elektromagnetycznych, że żadna nie była już dla niego tajemnicą. Wtedy też spuchł do najdalszych granic Wszechświata, zjednoczył się z nim, zlał w jedno. Wchłonął całą dostępną informację, a tym samym poznał całą historię: od Wielkiego Wybuchu aż po kres. Bo teraz, w stanie tak wielkiego rozproszenia materii i energii, nie działa się nic. Czasem tylko, raz na kilka miliardów lat, jeden atom zderzył się z drugim. Ale i ten proces dobiegał końca. Została jedynie informacja. Została historia. Znał ją na pamięć. Była w nim. Była Jego. Mijał czas, a On przypominał ją sobie wciąż od nowa. Było to nudne. Postanowił więc wskrzesić gwiazdy, planety, księżycy i wreszcie życie, także to rozumne. Odtworzył je takie, jakie już kiedyś było. Ale była to wciąż ta sama historia. Tyle, że na nowo zmaterializowana. Mógł ją odtwarzać w nieskończoność. Nie było to satysfakcjonujące. Ponieważ doskonale poznał potrzeby i marzenia istot, które kiedyś zamieszkiwały Wszechświat, stworzył światy idealne. W ten sposób powstało bez liku Rajów, co zrozumiałe, oraz całkiem pokaźna ilość Piekieł, gdyż istniało wiele istot, których marzeniem było pławienie się w sadyzmach, bestialstwach i wszelakich potwornościach. Tak rozdwojony Wszechświat stał się beznadziejnie stabilny, przewidywalny i NUDNY! Zaczął więc wymyślać własne historie. Zrozumiałe tylko dla Niego.

Skończyłem pisać, kiedy zrobiło się ciemno. Nie był to zbieg okoliczności. Po prostu dłużej przy tak słabym świetle pisać się nie dało. Przepelniała mnie satysfakcja, a jednocześnie niepokój. Pisałem bowiem ciurkiem, jak leci. Wydawało mi się, że mądrze napisałem, interesująco, poruszyłem temat ważki, skomplikowany i pomimo jego ciężaru właściwego, który był znaczny, a nawet więcej, a nawet bardziej jeszcze, uporałem się z nim inteligentnie, wykazując wiedzę, bystrość, filozoficzne zacięcie i wiedzę niepoślednią, a w dodatku posłużyłem się bogatym słownictwem, choć nie nadmiernie kwiecistym, efektownym, ale nie efekciarskim. Z drugiej jednak strony... Mój spokój i samozadowolenie mąciła niepewność,

czy aby na pewno wszystko tak pięknie napisałem, jak mi się zdawało, psychikę mą drażyła kropla zwątpienia, czy tych kilka kartek pracowicie zapelnionych drukiem to nie wykwit grafomański, czy aby moje wynurzenia to nie czysty bełkot.

Mógł być bowiem Bóg, ale i mogło Go nie być. Mógł być taki, jak Go malowali w kościele, ale mógł być i inny. Mógł mnie Ktoś obserwować, mógł mi podsuwać scenariusze. Ba! Mógł mną Ktoś kierować, reżyserować mnie.

Dziwne zdarzenia ostatnich dni skłaniały, by rozważyć taka możliwość.

Ale równie dobrze mogłem się zwyczajnie puknąć w głowę. No właśnie! Toż to było najprostsze wyjaśnienie, czysta fizjologia, która nie potrzebowała filozofii! Uderzyłem się w łeb! Miałem wypadek! No i mi się teraz kielbasi w mózgu. Niedotlenionym? Uszkodzonym?! Może ja jestem w śpiączce? A to wszystko tylko mój mózg... Jego resztki! Cholera! Nic nie pamiętam! To znaczy żebym w coś wyrznął. Zresztą czy byłbym w stanie w takim stanie prowadzić takie spekulacje?

Jakoś tak odruchowo, powodowany podświadomością, wziąłem do ręki wiadomą książkę, - CIAMCIARAMCIA – rozległo się w pokoju całkiem wyraźnie.

Sen nie nadchodził. Przewracałem się z boku na bok a łóżko skrzypiało rozpaczliwie przy każdym obrocie, przy każdym, nawet najmniejszym poruszeniu. Było to tak uciążliwe, że przestałem się poruszać, zamarłem w jednej pozycji, by nie słyszeć upiornego skrzypienia. Wytrwanie w bezruchu nie było łatwe, mięśnie wrywały się do aktywności. By je powstrzymać, musiałem skoncentrować się, zebrać całą siłę woli. Nie było to łatwe. Prawie niemożliwe. By nie ulec przemożnej potrzebie ruchu skupiłem się na otaczającej mnie zewsząd ciemności. A ciemno było tak, jakbym był zanurzony w niematerialnej smole, jakbym się znalazł we wnętrzu ciała doskonale czarnego. Wpatrywałem się w czerń tak intensywnie, jak to tylko możliwe. Nic nie zobaczyłem. Literalnie NIC. Zacząłem wsłuchiwać się w ciszę. Tak samo intensywnie, jak wpatrywałem się w bezpostaciowy przestwór przede mną. Nic nie usłyszałem. Absolutnie NIC!

Zatracałem się w nicości.

Nie było Księżycy, nie było gwiazd, nie było ścian, sufitu, okna ze zmatowiałą ze starości szybą, sprzętów w pokoju. Nie było pokoju! Nie było łóżka, na którym leżałem! Nie było NIC!

Byłem, tkwiłem, unosiłem się.

Żadne z tych określeń, ani osobno ani wspólnie, nie oddawało stanu, w którym się znajdowałem. Nie byłem zawieszony, nie spadałem, nie lewitowałem. Od biedy moje odczucia w tym względzie mógłbym opisać jako bliskie tym, jakie są udziałem kosmonautów na orbicie. Nie potrafiłem określić gdzie jest dół, gdzie góra, mój błędnik stał się zupełnie nieprzydatny. Ale to nie było wszystko. Byłem jakby poza ciałem, nie czułem go. W stanie nieważkości, astronauta nie ztraca poczucia własnego ciała. A ja nie potrafiłem określić swoich rozmiarów. Nie wiedziałem, gdzie się kończę. Jakbym nagle postradał wszelkie materialne granice.

Czułem, że jestem, ale nie było nic poza mną.

Wpadłem w panikę, bo wydało mi się, że jeszcze chwila, a rozpląnę się w nicości, rozpuszczę się w niej zupełnie, zgubię siebie. Moje poczucie JA trwało jednak nienaruszone.

Opanowałem się i postanowiłem skupić na sobie, bo tylko JA byłem. A jeżeli byłem, to mogłem myśleć. Nic innego poza spekulacjami na temat mojego stanu mi nie pozostawało. Najpierw nasunęło mi się, że jednak zasnę, choć zasnąć nie mogłem. Że sen oszukał mnie i nadszedł niepostrzeżenie. Tylko, że nigdy nie śniłem w taki sposób. Jeżeli śpimy i nic nam się nie śni, to po prostu nas nie ma. Sen pozbawiony marzeń sennych jest jak śmierć. Sam w sobie jest nieistnieniem. Dlaczego więc boimy się śmierci, skoro w ciągu naszego życia umieramy przeciętnie zapewne jakieś 400000 razy? Ba! Nie tylko nie boimy się, ale wręcz lubimy zasypiać. Kto nie rozkoszuje się tą chwilą kiedy sen jest już tuż tuż? Za to przebudzenie, szczególnie nagle, często bywa przykre. Ten błogi stan pół snu pół jawy, szczególnie, kiedy śni nam się coś przyjemnego, jest jeszcze miłszy od zasypiania.

Chcielibyśmy żeby się nigdy nie skończył! Stan marzenia sennego, o ile jest to marzenie przyjemne, a nie jakiś przerażający koszmar, jest najwspanialszym stanem w ciągu całego naszego życia. Nie może się z nim nic równać włącznie z oszalamiającą sławą, niespotykanym bogactwem i najlepszym seksem, jaki sobie można wyobrazić. Ten stan, w którym świadomość i podświadomość przenikają się tworząc cudowne obrazy i sytuacje jest zawsze zakorzeniony w rzeczywistości, chociaż jest nierealny. Jest to stan, w którym niewykonalne staje się możliwe, w którym dostępujemy spełnienia i satysfakcji nieporównywalnej z niczym innym. Ileż razy, pamiętam to jeszcze z czasów szkolnych, zadanie z matematyki, z którym nie potrafiłem sobie poradzić w stanie pełnej świadomości, rozwiązywałem we śnie z euforyczną łatwością. Ileż razy dawałem mistrzowski popis gry na fortepianie, choć w rzeczywistości moja wrażliwość muzyczna nie koresponduje w najmniejszym nawet stopniu z talentem, a właściwie jego brakiem, w tej dziedzinie lub olśniewałem publiczność jakąś aktorską kreacją. Ileż razy stawałem się mistrzem takich dyscyplin sportowych jak: pływanie,

narciarstwo, kolarstwo, boks czy piłka nożna. Ileż razy latałem w przestworzach pilotując najprzeróżniejszy sprzęt od parolotni poczynając, a na F16 kończąc, choć się do latania absolutnie nie nadawałem. Ileż razy przeżywałem z dziewczyną cudowne chwile, jakże inne od tych realnych cudownych chwil z dziewczyną, chwile niezastąpione i niepowtarzalne, bo NIEREALNE. Miewałem również koszmary, przeróżne, straszne, o których nikt nie chciałby pamiętać. Jednak zawsze marzenia senne, zarówno te dobre, jak i te złe, są wypełnione CZYMŚ. W dodatku czymś powiązany z życiem, jakąś projekcją marzeń lub lęków. Tymczasem mój sen był wypełniony NICZYM.

Nie mógł to więc być sen.

Może więc wprowadziłem się w stan autohipnozy? I znowu ogarnęło mnie przerażenie, bo o hipnozie nie miałem bladego pojęcia. Jeżeli wprowadziłem się jakimś cudem w stan hipnotyczny, wprowadziłem się weń nie świadomie, lecz najzupełniej przypadkowo. Jak mógłbym zatem się z niego wyzwolić? Też tylko przypadkowo! Mogłem więc z niego nie wyjść nigdy! Tylko czy w hipnozie możliwe jest takie świadome, konsekwentne rozumowanie? Czy człowiek zahipnotyzowany może rozeznaczyć, że się w stanie hipnozy znajduje? Uznałem, a po prawdzie wolałem uznać, że nie jest to możliwe i zarzuciłem koncepcję, jakobym się autozahipnotyzował. Co mi więc pozostawało? Przypomniałem sobie, że kiedyś czytałem o deprywacji sensorycznej i ta myśl wydała mi się całkiem sensowna. Jeżeli sam się lub z czyjąś pomocą postawiłem w sytuacji, w której mój mózg pozbawiony został bodźców, to mogłem dostąpić wrażenia niebytu. O ile takie wytłumaczenie okazałoby się prawdziwe, to znajdowałem się w o tyle szczęśliwym położeniu, że:

- po pierwsze mój mózg, odizolowany od dopływu informacji powinien zacząć sam wytwarzać wizje, których co prawda nieco się obawiałem (bo równie dobrze mogłem dostąpić mistycznych objawień, stanów euforii, nieziemskiej ekstazy, jak i zanurzyć się w najkoszmarniejszych stanach, piekielnych horrorach nie do odróżnienia od stanu realnego, a tym samym stających się rzeczywistością) ale przynajmniej nie groziła mi nuda związana z poczuciem permanentnego i wszechogarniającego NIC;

- po drugie taka absolutna izolacja musiała się kiedyś skończyć, a wtedy odzyskam świadomość.

I wtedy dopadła mnie zasadnicza wątpliwość, bo:

- jeżeli sam postanowiłem przeprowadzić na sobie eksperyment i poddać się deprywacji, to DOBRZE, to pewnie i pomyślałem o jakichś zabezpieczeniach, o jakimś czasowym wyłączniku, który miał eksperyment przerwać; nie do pomyślenia była przecież sytuacja, w

której wpadłem na pomysł, by wejść do komory deprywacyjnej i po prostu zatrzaskać nad sobą wieko – na wieki!

- jeżeli jednak to KTOŚ uczynił ze mnie królika doświadczalnego, to byłem zdany na łaskę i niełaskę szalonego naukowca, który mógł mnie zdeprywować na amen.

A przecież po karczmarzu i jego klonach mogłem się spodziewać NAJGORSZEGO!

I wtedy po raz kolejny zacząłem się bać.

A w nicości pojawiły się pojedyncze ogniki, błyski światła, jakby ktoś mi świecił w oczy latarką, nicość rozerwała oślepiająca błyskawica, zaczęły wyłaniać się z niej świetliste, bezkształtne plamy, chaotyczne wzory, rozmigotane fale.

A potem zobaczyłem przezroczystą, niematerialną twarz Barbary.

I usłyszałem jej głos:

KRZYSZTOFIE! OBUDŹ SIĘ KRZYSZTOFIE! PROSZĘ...

I obudziłem się.

Dniało. Nad twarzą wisiał mi krzyżak i robił głupie miny. Zaraz jak otworzyłem oczy szybko podciągnął się na nici pod sam sufit i schował w mrocznym zakątku za wyszczerbioną deską w rogu. Chyba się zorientował, że go przyłapałem na wygłupach i się speszył.

Dzień nie zapowiadał się dobrze. Pomimo, że Słońce było dopiero nisko nad horyzontem upał wyciskał ze mnie wodospady potu. Mój nocny sen, o ile był to sen, a nie fragment pokrętej rzeczywistości, nie nastroił mnie optymistycznie. W dodatku przypominałem sobie, bo jakże bym sobie przypomnieć nie mógł, o podejrzanych faktach z nieodległej przeszłości, jako to: schabowy, Helka alias Helryk, klony, ból w miejscu bezimiennym i wszelkie związane z nimi podejrzenia. Nie mogłem zostać w pokoju, który był norą gnoma i którego jedynym prawomocnym i uzasadnionym lokatorem był krzyżak, bo bym oszalał. Wyjść jednak oficjalnie, pokonując schody i salę jadalną też nie mogłem, bo było więcej niż pewne, iż czyhał w niej karczmarz, całkiem prawdopodobne, że także Helka, a nie wykluczone, że i listonosz, i policjant, i dziadunio. Niemalże słyszałem ich obleśny rechot na mój widok. Z braku innych możliwości postanowiłem wyślizgnąć się oknem. I okazało się, że nie był to dobry pomysł. Już lepiej było się zdać na infamię ze strony kramarza i ferajny. Bo okno okazało się oknem na świat, ale... INNY!

Jakbym miał lęk wysokości i nie był przynajmniej jako tako obyty ze skałą, to mógłbym sobie solennie powiedzieć, że wdepnąłem po same uszy. Na szczęście nie miałem, ale za to byłem.

W młodości nieraz jeździłem z północy na południe, żeby połoić. Mnichy, Kazalnice i inne Żabie Konie były poza moim zasięgiem, ale łatwe wejścia taternickie i zakopczykowane drogi ucieczkowe choćby na Mięgusza, Cubrynę czy Zadni Kościelec pokonywałem nie raz, na ogół we mgle lub przy parszywej pogodzie, żeby mnie strażnik nie złapał. Teraz tamte wyczyny sprzed lat przydały się jak cholera, bo ledwo przekroczyłem ramę okna zawisłem na niemal pionowej skalnej ścianie. Spojrzałem w dół. Ale nieskutecznie – dół spowity był bowiem gęstą watą mgły. Chciałem się cofnąć do wnętrza, ale okno zaklepotalo nieprzyjemnie. Może i był to przypadek, ale okno z zewnątrz wyglądało jakoś tak odpychająco, wrednie, szczyrzyło się do mnie niesympatycznie, groźnie nawet, łypało na mnie niechlujnymi szybami, ostrzegało:

WSADŹ TYLKO PALUCHY, TO CI JE PRZYTNĘ!

Jakby mi się nie udało pokonać oporu okna, to z pokiereszowanymi, być może nawet połamanymi palcami na takiej ścianie nie miałbym szans. Zacząłem schodzić. Serce waliło mi jak oszalałe, nogi się trzęsły. Musiałem się skupić. Każdy niepewny chwyt, jeden błędny krok - i lecę. Latać potrafiłem. Każdy potrafi. Gorzej było z lądowaniem. Nurkować niby też każdy potrafi, a jednak się towarzystwo topi. Nie mogłem sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Szukałem chwytów, pewnych podpór pod stopy. Tak mnie to pochłonęło, że zapomniałem o strachu. Widocznie ze wspinaczką jest jak z jazdą na rowerze i innych sprzętach nadających się do jazdy – nie zapomina się jej nigdy. Mijały godziny, a ja zsuwałem się po gładkiej, granitowej skale, czule pieszcząc palcami jej zagłębienia. Z upływem czasu samotne okno w ścianie było coraz dalej. Za to mgła na dole wcale nie stawała się coraz bliższa. Koło południa ta niezmienna odległość do mgły zaczęła mnie niepokoić. W dodatku od mniej więcej godziny krążyło nade mną jakieś ptaszysko i pokrzykując:

WYPAD! PUDŁO!

usiłowało we mnie trafić wiadomo czym. Przyspieszyłem ryzykując odpadnięcie, ale nic to nie dało. Albo zachodził jakiś efekt relatywistyczny, optyczne złudzenie, albo mgła opadała w tempie mojego zejścia. Na szczęście, chociaż nie wspinalem się już od bardzo wielu lat, nie czułem zmęczenia. Za to z upływem czasu monotonne zajęcie stawało się coraz bardziej nudne: wywiesić się, spojrzeć w dół pomiędzy ścianą a swoim ciałem, poszukać stopnia, opuścić jedną nogę, potem drugą, albo rękę, wypatrzeć albo wymacać chwyt, znowu wyszukać chwyt albo stopień i przestawić rękę albo nogę i tak w kółko. Nie powiem – po jakimś kwadransie w ścianie nawet wciągnąłem się w tą zabawę, po godzinie rozgrzałem się, przez następne dwie schodzenie sprawiało mi frajdę. Ale teraz nieubłaganie nadciągał wieczór. Okno było maleńką kropką hen u góry, zresztą pewnie i tak nie wpuściłoby mnie do

środku. Ptaszysko, chyba wrona, krzyząc swoje, latało nade mną niestrudzenie. Musiałem schodzić. Tylko jak długo jeszcze? Kończyła się ta ściana w ogóle? Było jakieś dno? Uświadomiłem sobie, że jak nie zejść na bardziej przyjazny teren przed zmrokiem, to będzie klops. Rączki mi zwiotczały, nóżki się zatrzęsły. Jakimże żalonym cieniem byłem! Jakby na potwierdzenie tej przykrew refleksji z góry nadleciał Czubek, oczywiście nie osobiście, tylko jego podejrzany produkt, i nadając pogardliwie:

GÓWNIARZ! FRAJER! DUPA WOŁOWA!

wyrznął mnie w czółko. Cios był mocny, celny, nie do odparcia. Odpadłem. Nie bałem się już. Było mi wszystko jedno. Nie minęła milisekunda i otrzymałem drugi cios. Tym razem w część swej fizjologii, która na ogół służy do siedzenia. I faktycznie – siedziałem. Trotuar mnie w ową część uderzył, a właściwie to ja wyrznąłem nią w trotuar. Z niewysoka. Mogłem to precyzyjnie ocenić, bo mgła się rozstała. Jakiś metr nad moją głową rozdziawiało się w grubiańskim rechocie okno. Aż mu się broda z pajęczyn i brudu trzęsła.

Sromota, jakiej doznałem, była tak przykra, że ani mnie nie zdziwił brak skalnej ściany, ani dematerializacja mgły, ani nawet okno, które dyszało nieświeżym oddechem na parterze, choć powinno było swe trupie wyziewy wypuszczać na piętrze. Cóż miałem zrobić? Wziąłem Czubka pod pachę, przycisnąłem mocno, by mu się znowu gówniarze, frajerzy i wołowe cztery litery pod moim adresem nie wyrwały i już miałem nawiać do lasu, choć mi się noc w lesie wcale nie uśmiechała, gdy przez drzwi karczmy wychynął karczmarz.

- Co się tu wyprawia do jasnej... - zaryczał, ale urwał, jak mnie rozpoznał. – A, to pan.

Myślałem, że jakiś pijak rozrabia. Wie pan, jak to jest z pijakami, pod karczmą. Niby nic dziwnego, normalna rzecz, karczma bez pijaka przed nią, jak kot bez ogona, ale zawsze to jakoś tak... nieprzyjemnie. Wkurza taki pijak. Niby przyzwyczajony jestem, a i tak wkurza. A to pan.

- Tak jakby – wtrąciłem zniecierpliwiony, bo mi swoim wychynięciem pokrzyżował plany co do pierzchnięcia w las.

- To pan wychodził?

- A nie widać?!

- Bo mi się wydawało, że pan nie wychodził...

- To skąd bym się tu niby wziął?!

- Niby racja. Jakbyś pan nie wychodził, to byś pan siedział w środku. A nie stał ze śliwką na czole pode oknem.

- Pan coś sugeruje? Co się panu imaginuje? Że przez okno wylazłem?!

Dotarło do mnie, że ostatnie zdanie nazbyt histerycznie wykrzyczałem, pograżając się, zabierając samemu sobie resztki godności.

- Ja? A gdzie tam. Pan poważny człowiek. Z północy. Pisarz w dodatku. Gdzież by pan tam przez okno wyłaził. Uciekał przez okno się wymykał. Niech mi pan wierzy – nawet by mi to przez myśl nie przeszło.

No jasne, akurat. Kpił ze mnie w żywe oczy.

- A gdzie to pan chodził? Na spacer? Na komendzie pan może był?

- A po co?

- No, żeby dopełnić tych, no, formalności. Wspominałem panu.

-Nie, nie byłem.

- No to i dobrze. Znowu by pan tylko posterunkowego poirytował, a on się irytować nie może. Nie wolno mu. Sam pan widział, co się z nim dzieje, jak go co zdenerwuje. A to swój chłop jest, nikogo się bez przyczyny nie czepia. Taki bardziej koncyliacyjny jest, choć przedstawiciel władzy i służbę swą szanuje...

- Jak własną matkę – wtrąciłem.

- Że co?

- Mówię, że szanuje służbę swą, jak matkę.

- Pan kpi?

- Nie, no skąd. Doceniam. A czemu już... tego...

- Nie musi pan się stawić? Wyjaśnić?

- No, właśnie.

- Pogadałem z nim wczoraj. Jak pan, hmm, nas opuścił.

- To faktycznie dobrze, że mu się niepotrzebnie na oczy nie tego.

- No. A... - zawahał się – że tak się wyrażę, dupał pana nie boli?

- No to się zacznie – pomyślałem.

- Mnie – udałem zdziwienie. - Dupał? A czemuż to niby miałby mnie ten... dupał... tego...hmm... boleć?

- No bo jakżeś się pan nawalił, a wszystkim powtarzam, szczególnie w picu niewprawionym, żeby nie chlać na pusty żołądek, no więc, jakżeś się pan nagrzmocił, to do Helki pan wystartowałeś. A Helka była wczoraj nie w humorze. Jakieś problemy ma gastryczne, czy kobiece, w każdym razie wzdęcia ją męczą i od tych wzdęć rozdrażniona chodzi. No i jakżeś się pan zaczął do niej migdalić, to się odwinęła, jak nie przymierzając Chuck Norris, co to jak kopie z obrotu, to tak szybko z obrotu kopie, że nie widać, że kopie z obrotu, no i jak panu w tegoż właśnie dupała, centralnie, ze szpicora zasadziła, to strach było patrzeć. A była akurat w

tych takich butach, wie pan, z ekstremalnym szpicem. Takim do szpica szpicem maksymalnie.

Odruchowo przejechałem ręką po siedzeniu i wymacałem dziurę w spodniach. Pewnie się zrobiła od tego zasadzonego szpica.

- Aaa to dlatego... - wyszeptałem bezwiednie.

- A co, nie mówiłem. Jednak boli – ucieszył się karczmarz.

- Nie, nie boli. Tylko mam dziurę na tyłku. Pewnie od kontaktu z kamaszem Helki wyleciała.

- Może to być – zgodził się karczmarz. – Od takiego kopa, takim szpicem, to nie tylko dziura w portkach się może zrobić, ale się może zrobić ho, ho!

- To ja już pójść do siebie – chciałem wykorzystać okazję, żeby się karczmarzowi wymknąć. Dziurę se zaceruję.

- Zaczekaj pan. Dziura nie zajac. W gości ani do kościoła też się pan nie wybierasz, więc siadź pan... SE – to „se” powiedział z naciskiem, ze złośliwą satysfakcją prostaka, co inteligenta na błędzie językowym przyłapał - i opowiedz pan, coś pan robił, gdzieś pan chodził. A i na dziurę coś się zaradzi. Bo jeszcze... SE pan krzywdę igłą zrobisz, panie pisarzu z północy. No to gdzieżeś pan łąził?

Niemal siłą usadził mnie na ławce, co pod ścianą karczmy stała, sam siadł obok. Jak dla mnie za blisko mnie siadł, ale nie śmiałem protestować. Większy był.

- A tu i tam – odparłem bezczelnie w nadziei, że się zniechęci. -Nie pana interes.

- A nie mój. Ale co szkodzi zapytać – nie dawał za wygraną. – Tajemnica to chyba żadna nie jest. To możeś pan pracy szukał – wystrzelił zniecka.

- Co? Czego?

- Pracy! Pracy panie szanowny. Wczoraj toś pan schabowego wtrąchnął, dobre czterdzieści deko mięcha, flaszkę pan obalił, pokój pan od paru dni zajmujesz...

- Myślałem, że... Sam mi pan fałszkę.. fszalkę... cholera, flaszkę post... – nie dokończyłem, bo się tak na mnie popatrzył, jakbym miał czułki, albo chociaż trzecie oko.

Co ja sobie, głupi, myślałem? Że mnie karczmarz częstuje?! O naiwności ludzka! Podliczy mnie i skasuje co do grosza. A jak nie będzie miał co skasować? To co? Na mnie sobie pewnie odbije, obje mi to i owo, skopie sam albo z Helką wespół, zamiast skasować szmal – mnie skasuje. Może być, że i na amen. Zakopie trupa gdzieś za karczmą albo w piwnicy. Nikt mnie tu szukał nie będzie. Ja o tym wiem, on, szelma, ani chybi też. Bo niby kto by miał? Lokalny stróż prawa? Nawet by się o mnie nie zapytał, a jakby nawet, to mu karczmarz powie, że wyjechałem. Zresztą on by prędzej pomógł karczmarzowi w kopaniu grobu dla mnie niż się mną interesował, niż by mnie miał szukać, śledztwo wszczynać. No to kto inny?

Helka? Wolne żarty. Dla Helki byłem gorzej niż pies. Dziadunio? Listonosz? A co ja ich obchodziłem. Więc kto? Stąd – nikt. A stamtąd? Rodziny nie miałem. Ani brata, ani siostry, jedynakiem byłem, rodzice pomarli, sam byłem, jak palec. Sierota taka. Moje były? Albo ja nie chciałem utrzymywać z nimi kontaktu, albo one ze mną. Więc kto? Barbara? Może ona... Ale przecież, poza głupim listem, nie zostawiłem żadnej informacji gdzie jadę, po co, ani dlaczego. E! Jakby mi karczmarz zrobił rzyżu-ryżu, to byłaby to zbrodnia doskonała, nawet jakby mnie zaciukał na ryneczku w biały dzień.

Na razie się gapił na mnie z politowaniem.

- Mówiłem przecież, że zapłacę. Za wszystko zapłacę.

- Mhm. Jasne. A pracował pan kiedyś na poważnie? Czy tylko pan sobie tak żyje? Napisać coś czasem albo i nie...

- Na poważnie, czyli jak – zawarzałem agresywnie, bo wkurzył mnie tym pytaniem. Jakby pisanie to nie była poważna praca!

- Ja na ten przykład, jak pan widzisz, karczmę prowadzę. Listonosz wozi listy, emerytury. Nawet dziadunio, choć już dawno ma lata wypracowane i wiek, to sklepik prowadzi. A pan? Co?

- Miałem taki pomysł – tym razem ja postanowiłem z niego zakpić - żeby otworzyć wypożyczalnię siekier i innego sprzętu bojowego na ustawki, żeby się kibole nie musieli kłopotać logistyką i mogli skupić na walkach. Nie dostałem jednak odpowiednich zezwoleń z: MON-u, MSWiA, Sanepidu. Wszystko rozbiło się o drewniane styliska do siekier, które w trakcie starć mogą ulegać rozszczepieniu, co może prowadzić do okaleczeń drzazgami. A poza tym ROZSZCZEPIENIE, rozumie pan, samo w sobie brzmi groźnie!

- Może to być – zasępił się karczmarz. – Z urzędami czasami ciężko. Zwykły człowiek nijak dociec nie może, o co im tak naprawdę idzie. Bo to, widzisz pan, urzędnik jest jak z innego świata. Prosty obywatel nie zrozumie takiego. Wyższa inteligencja, ot co. Ale – powrócił do mentorskiego tonu – jakby się pan nie zniechęcił, wykazał wytrwałością, to może by coś z tego było. A nawet jak nie, to trzeba było z czym innym popробować. A pan się pewnie poczuł usprawiedliwiony, że niby to pan chciał, ale się nie dało, no to trudno. A do uczciwej roboty każdy się nadaje, tylko się nie każdemu chce. O! Ale my tu gadu-gadu – ożywił się – a ja mam dla szanownego pana pisarza propozycję w sam raz. Dla pana po prostu wymarzoną. Nie narobi się pan, bo co to za robota, kwalifikacje pan ma...

- Już mówiłem, że za szambem jeździł nie będę – obruszyłem się.

- Ależ za jakim szambem? Pan jest pisarz, pisać pan umiesz, o tyle o ile przynajmniej, bo co tam pan napisał, to ja nie wiem, nie czytałem, przyznam, że zanim pan do nas nie zawitał, to o

panu nawet nie słyszałem. Zresztą nawet jakbym czytał – nie mnie oceniać. Chociaż ten tu o – stuknął palcem w Czubka ściśniętego pod moją pachą – to taki jakiś, że bym mu takiej propozycji jak panu nie zrobił. Nie mógłbym. Jakoś mnie od tego tu o - odrzuca. Ale pan to co innego.

- To miło z pana strony.

- No pewnie. No i nie mogę stawiać panu na kreskę w nieskończoność...

Przyjrzał mi się, jakby chciał sprawdzić, czy jego słowa robią na mnie odpowiednie wrażenie. Szczególnie te o kresce. Nie zareagowałem. Objął mnie konfidencjonalnie - czego szczerze nie cierpię, ale wyjścia nie miałem, musiałem znosić jego spoufalanie się – i zaczął mi dyszeć w ucho.

- Bo widzi pan jest u nas taka jedna. Sierota. Miła dziewczyna. Nawet ładna. Nie klasa Helki oczywiście, nie ten kaliber, taka bardziej wiotka, ale całkiem, całkiem... Wizualnie, nie powiem, może i nic specjalnego, zwykła dziewczyna, taka szczupła, wie, pan, ale nie straszy. Żeby straszyla – to nie. No i, jak już wspominałem: miła jest, uczynna. Tylko trochę nierozgarnięta. Nie żeby całkiem głupia była, co to to nie, no ale za mądra też nie jest. No i, poza wszystkim innym, czytać, bidula, nie umie. Taki odmieniec. Rozumie pan? XXI wiek, nasza wieś może i nic wielkiego, karczma, kościół, rynecek, sklepik, ale też w końcu nie jakieś pierwsze lepsze zadupie, prawda? Zgadza się pan?

- Ma się rozumieć. Oczywiście – zapewniłem go, dusząc nadludzkim wysiłkiem wesołość, która mi gulgotała w gardle.

- No i epoka zobowiązuje. Rozumiesz pan? Internet, komputery, filmy 3D, nanotechnologia, transplantologia, biotechnologia i takie tam inne jeszcze, panie, kosmologie niezgłębione, loty satelitarne, drony, terminatory, predatory - jak zaczął wymieniać te ostatnie, to aż się zaślinił z podniecenia. - Takie czasy, a tu analfabetka! I pomyśleliśmy sobie, że pan by się idealnie nadawał...

- My?

- No my. Bo my tu we wsi jesteśmy małą zbiorowością, wszyscy ze wszystkimi, każdy z każdym, czujemy się mocno związani, zespoleni...

O! zespoleni, pomyślałem sobie, to wy często jesteście, bardzo blisko i ściśle, szczególnie ty z Helką. A i reszta pewnie... Pewnie i seks grupowy się tu nieraz odbywał, może i na ryneczku, może i pod kościołem, bo może nie w samym kościele... Ciekawe, czy dziadunio czynnie uczestniczy, czy się tylko przygląda. Już go miałem o to zapytać, ale się w ostatnim momencie ugryzłem w język aż zabolalo, aż poczułem kubkami smakowymi na języku słodycz krwi co z języka pociekła.

- ... powiedziałbym nawet, że scaleni – kontynuował karczmarz – skompaktowani nawet. Tworzymy jeden wieloosobowy organizm. No więc i myśl, żeby do pana dziewczynę wysłać, pana ku dziewczynie skłonić, była nasza, wspólna.

- Ale ja nie jestem nauczycielem, pedagogiem – broniłem się.

Jeszcze mi tego było potrzeba, żeby mi jakieś chuchro niedorozwinięte wsadzili na kark!

- Ależ niech pan przestanie! Tu nie trzeba nauczyciela. Trochę cierpliwości, tej, no, wiedzy ogólnej, jakiejś, hm, metodyki odrobina... Zresztą - poradysz pan sobie!

- A jak nie? Jak nie chcę?

- A ja, myślisz pan, za friko chcę pana trzymać, karmić? Co?!

Westchnąłem. Zgarbiłem się. Oklapłem.

- No! To od jutra pan zaczynasz. Całej wsi zależy, żeby nam dziewczynisko średniej nie zaniżało. Pan ją będziesz uczył, a w zamian żarło gratis. Może nawet kawałek mięsa raz na tydzień pan dostaniesz. No i pokój może pan zatrzymać. Na czas nauki. Taaaak... No to do jutra. Wyśpij się pan, nie chlej. Żebyś pan jutro w formie był. Bo od jutra pan zaczniesz! Wstał, klepnął mnie w plecy, mało mi płuco nosem nie wyskoczyło, i sobie poszedł. Siedziałem jeszcze trochę na ławce tak, jak mnie zostawił. Niezbyt długo. Rozkazy były przecież jasne.

Leżałem przykryty derką i znowu nie mogłem zasnąć. Nie mogłem zasnąć w dwójnasób, bo zasnąć nie chciałem. Pamiętałem, czym się moja niemoc wczorajsza w zasypianiu skończyła, jak już w końcu zasnąłem. Leżałem więc na plecach, wpatrywałem się w sufit, wodziłem wzrokiem po nierównościach tynku, wzrok wlepiałem w nierówności deskowania. Pogapiłem się na pająka, który, spostrzegłszy, że się na niego gapię, odwrócił się do mnie ostentacyjnie odwołkiem i chrapnął. Jak na pająka chrapał całkiem dostojnie, że aż się poruszał kłaczek brudu przyczepiony do drzazgi przed jego głową. Leżałem i myślałem o ostatniej rozmowie z karczmarzem. Bo też, jak się zacząłem nad tą rozmową zastanawiać głębiej, wnikać w meandry wywodu karczmarza, to zaczęły pojawiać się zaskakujące, ukryte w niej sensory. Za dobrze znałem już lokalnych kmieci, za długo tkwiłem we wsi, by mnie pewne sformułowania nie zdziwiły. Oczywiście nie od razu. Nie bezpośrednio. Rozmowa pozostawiła we mnie na wstępie jedynie bliżej niezdefiniowane poczucie niepewności. Czuję, że coś się nie zgadza. Że jest w propozycji karczmarza, a właściwie nie w samej propozycji, ale w jej otocze, jakaś tajemnica. W pierwszym momencie sama perspektywa, że

mam nauczać była niemiła. To, że miałem nauczać osobę być może umyślowo ociążałą, a być może całkiem niedorozwiniętą było wręcz tragiczne! Były to wystarczające powody, by niepokój związany z tym, co nie nazwane, co ukryte, został stłumiony, wyparty i bym odczuwał go jedynie jako bliżej nieokreślony dyskomfort. Och! Marzyłem o zjawiskowej dziewczynie! Dla zjawiskowej dziewczyny wyskoczyłem z pociągu, za nią biegłem peronem, przez łąki i pola gnałem, przez nią wpadłem do lasu, ugrzęzłem we wsi, znosiłem szykany karczmarza. To jej miałem szukać, to ją chciałem odnaleźć, zdobyć i posiadać. A teraz nie zjawiskowa dziewczyna była mi pisana, tylko... tamta? Z twarzą oszpeconą głupotą? Niedomyta? Bełkocząca? Z gilami w nosie? Ze śliną ciekącą z ust? W odzieży byle jakiej, niedopasowanej ani do wieku ani postury, niechlujnej? Bez tyłka i biustu? Jakiś paszczur odstręczający? Bo jeżeli tak się karczmarz wił, tak jakoś o niej bez przekonania mówił, a jednocześnie nieudolnie się starał ją zareklamować – to czego mogłem się spodziewać?

POTWORA!

A biorąc pod uwagę moje szczęście, mój fart koślawy, to oczekiwać powinienem był nie potwora szeregowego, jednego z wielu, spotworniałego standardowo, lecz potwora nad potwory, arcymistrza potworów, króla potworów, przepotwora, a nawet nadpotwora!

POCZWARY W SWEJ POTWORNOCI DOSKONALEJ!

Cóż, nie będę ukrywał, udawał, robił uników, szukał dobrej miny do złej gry – strach był wielki! Krople zimnego potu perlily się na mym wysokim czole. Czekał mnie dzień próby. Być może dzień sądu nawet.

Ale czy miałem na to wpływ? Nie. Karczmarz kazał. Koniec. Kropka. Wyrok karczmarza był wyrokiem ostatecznym. Trzęsło mnie i ze złości i ze zmartwienia i z przerażenia, ale z czasem jakoś się z tym dygotem oswoiłem. I choć nie mijał – przestał być dominujący, choć wciąż był dojmujący. I w pierwszym strzale iluminacji demaskatorskiej błysnął mi przed oczami

KOŚCIÓŁ.

Nie wiem dlaczego, ale wcale mnie nie dziwiło, że oprócz karczmarza, dziadunia, listonosza, policjanta no i Helki – zjawiskowej dziewczyny w tym gronie nie wymieniam, bo był to jedynie fantom coraz bardziej nierealny – nie spotkałem dotychczas we wsi nikogo więcej. Nie byłem może nadmiernie mobilny. Od momentu, jak dotarłem do karczmy właściwie tylko raz się wypuściłem na dalszy rekonesans. Ale i to powinno wystarczyć, bym spotkał jakichś autochtonów oprócz wymienionej piątki. Ba! Nawet sama moja obecność w karczmie powinna była wystarczyć, bym spotkał innych lokalnych wieśniaków, bo przecież w takiej dziurze karczma była zawsze centrum wszelkiego życia towarzyskiego. Tymczasem ani w samej karczmie, ani w pobliżu nikt się oprócz karczmarza, dziadunia, listonosza, policjanta no

i Helki – zjawiskowej dziewczyny w tym gronie nie wymienię i tym razem, bo była ona z każdą upływającą chwilą coraz bardziej nierealnym fantomem – nigdy nie pokazał. Było to dziwne i podejrzane, ale nie dla mnie. Może powinno mnie zaniepokoić lub zdziwić to, że mnie nieobecności innych kmieci we wsi poza poznanymi kmieciami nie dziwi i nie niepokoi. Ale i to przyjmowałem spokojnie i bez zdziwienia.

Ruszyło mnie natomiast to, że kościół był we wsi, a jak był kościół to i ksiądz być powinien. A jak byłby ksiądz, to czy nie spotkałbym do tej pory księdza w karczmie? Czy nie powinien ksiądz w karczmie bywać? Ci inni, których nie było, nie robili na mnie wrażenia, ale nieobecność księdza – o! to było niepokojące! Widziałem oczami wyobraźni, ale bardzo realistycznie, siedzących przy jednym stoliku: karczmarza, listonosza, dziadunia policjanta i księdza. Ksiądz był oczywiście wypisz wymaluj taki sam, jak tamci, tylko inny, trochę obrzękły od spożywanego w nadmiarze wina, z brzuchem wydętym rozrośniętą wątrobą od spożywania zbyt tłustych pokarmów, z oczami podkrążonymi od codziennej masturbacji, z twarzą uduchowioną modlitwą, sylwetką szczupłą, ascetyczną, zdradzającą siłę ducha i pogardę dla spraw doczesnych, z wzrokiem stalowym, dobroduszny, wymagający, jowialny, niczym bicz Boży, surowy, miłości bliźniego pełen. Dwoisty był ksiądz zaiste nieziemsko. Ale był! Ale jeno w imaginacji! Powziąłem postanowienie, że jak dotrвам jutra, jak przeżyję pierwsze spotkanie z niepiśmienną bidulą, jak mnie pierwsza lekcja nie zabije – to wyruszę na poszukiwanie księdza. Nie było to pierwsze postanowienie, które powziąłem. Powziętych postanowień miałem ci ja bez liku. I mniej więcej tyle samo, z których nic nie wyniknęło. Z tym tak być nie musiało – wystarczyło przecież pójść do kościoła. Wystarczyło w kościele księdza poszukać. Ale, niestety, mogło. Bo i inne moje postanowienie nie były w większości bardziej skomplikowane, czy wymagające większego wysiłku. A kończyły się niczym. Trwały jedynie, jako postanowienia. Postanowienia teoretyczne. Postanowienia niebyłe. I wtedy, nagle i niespodziewanie, dopadła mnie iluminacja druga, oślepiająca – nie tylko karczmarz, policjant, dziadunio i listonosz byli do siebie podobni jak bracia jednojajowi, jak klony laboratoryjne, jak fabryczny produkt seryjny, ale i Helka! Teraz dopiero sobie uświadomiłem, że Helka była żeńską wersją tamtych! Wszyscy byli jednacy, choć każdy różny. Nie sposób ich było ze sobą pomylić, a jednocześnie było jasne, że każdy z nich to wersja tego samego egzemplarza. Stworzonego na obraz i podobieństwo. Tknęło mnie coś nagle, chwyciło za gardło, spięło mięśnie boleśnie, na pograniczu skurczu. Zerwałem się z wyrka i dalej szukać po całym pokoju: zwierciadła, lustro, powierzchni gładkiej, światło odbijającej, choćby i lustro wody w miednicy, by obejrzeć własną głowę! Bo mi się nagle uroiło, że może i ja, JA, pisarz z północy, byłem tym samym egzemplarzem co oni, co tamci,

związanym z pozostałymi trwałą, choć niewidzialną, nicią. Telepatia? Być może coś jeszcze? Coś więcej! Wspólna świadomość, podświadomość i nadświadomość. A zatem... zapewne... i dziewczyna, którą naraił mi karczmarz, moja przyszła uczennica, była jak i reszta. Ale czy w takim przypadku dziewczyna, która miała przyjść do mnie jutro, choć wcale jej gościć nie chciałem, mogła być głupsza od pozostałych? Mogła nie wiedzieć tego, co wiedzieli oni? Jak? Dlaczego? Matryca się zużyła? Nastąpił błąd w procesie? Wirus przeniknął do oprogramowania? Co zawiodło? Hardwer czy softwer? A może problem tkwił u zarania? Defekt był wpisany w fundamenty? W samą ideę? W dzieło stworzenia? Te pytania pozostały bez odpowiedzi. Na razie. A pewnie i na zawsze.

Za oknem zaczynało szarzeć. Poleżałem jeszcze, rozmyślając o nadciągającej jutrzejszej katastrofie, o swym oślim żywocie, o Helce, w jawnie sprośny sposób, o zjawiskowej dziewczynie z rozrzewnieniem tym większym, iż miałem już niemal pewność, że nigdy nie odnajdę. A ponieważ sen się nade mną nie zlitował i nie wziął mnie w swe opiekuńcze ramiona, gdy zrobiło się na tyle jasno, bym mógł czytać, wstałem z pryczy, siadłem przy stoliku i otworzyłem książkę.

Komisarz Konstanty Kicha nurzał się w bezmiarze ludzkich żądź od blisko trzydziestu lat. Już kilka lat temu mógł przejść na emeryturę lub chociaż zmienić charakter swojej pracy i zająć się papierkową robotą. Coś jednak, coś lepkiego, zimnego i obślizgłego trzymało go w wydziale zabójstw, nie pozwalało, by przestał uganiać się za z roku na rok coraz bardziej zwyrodniałymi bandytami. Kicha był wierzący i czasami, szczególnie, jak popił, nachodziła go przerażająca refleksja, że to nie dzieje się samo, że nie jest możliwe by bezmiar potworności, który go otaczał był dziełem przypadkowej działalności człowieka. Było tego za dużo i było zbyt straszne. Roił, że walka dobra ze złem weszła w ostateczną fazę, a Antychryst zstąpił na Ziemię i sam, osobiście wcielił się w postacię potworów w ludzkim ciele. W zawodzie nie trzymało jednak Kichy ani poczucie obowiązku, ani chęć zasłużenia sobie na żywot wieczny. Kicha był jak nałogowiec, który potrzebuje coraz to większych kolejnych działek. Rolę działki pełniła kolejna krwawa jatka: poobcinane członki,

zerwane skalpy, wylupione oczy, wyrwane języki, nadpalone truchła ludzkie. Zanurzając się w kolejnym bagnie okropności komisarz zatracił poczucie nędzy człowieczeństwa, doznawał stanu znieczulenia, jak rasowy narkoman po zrobieniu sobie zastrzyku. I jak rasowy narkoman, po zakończeniu każdej sprawy popadał w coraz głębszą otchłań niemocy, zwątpienia i depresji. Kiedyś było inaczej - to zbrodnia go dołowała, a perfekcyjne wykonanie swojej pracy i ujęcie zabójcy dawało satysfakcję. Nie zwracał życia zamordowanym, ale oczyszczał świat z chwastów. Bo jeszcze dziesięć lat temu żaden ze schwytanych przez komisarza oprychów nie dostał nigdy mniej niż dwadzieścia lat więzienia, wielu zostało skazanych na dożywocie, a na dwóch wyjątkowo zatwardziałych recydywistach wykonano wyroki ostateczne. Teraz było jednak inaczej: kara śmierci znikła z kodeksu, a wyroki nawet dla recydywistów, nawet za najbardziej wyszukane mordy poprzedzone gwałtem i torturami, mrozące krew w żyłach akty terroru, seryjne ataki na kobiety i dzieci nierzadko kończyły się kilkunastoma latami więzienia, bądź kilkuletnim pobytem w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym. Bywało, że złapany przez Kichę zwyrodnialec wychodził z zakładu karnego na przepustkę, popełniał kolejny ohydny czyn i w niczym nie zmieniał to jego sytuacji. A proces liberalizacji, relatywizacji i pobłażania dla dewiantów i morderców nasilał się, rozpędzał. Przyzwolenie na najgorsze bezprawie było coraz większe. Ochota, by z oprawcy zrobić godną litości ofiarę dynamiki społecznej coraz silniejsza. A tym samym zbrodnia rozlewała się krwawo z coraz większym impetem. Triumfująca. Zwycięska.

Kicha dawno już przestał dostrzegać jakikolwiek sens w tym, co robi. Ale uzależnił się. Nie mógł przestać.

Sprawa, którą zajmował się od kilku dni, choć nie bardziej ohydna od ostatniej, wywołała w komisarzu stan wyjątkowej ekscytacji, a to ze względu na nietypowe środowisko będące miejscem najnowszego bestialstwa. W równych, siedmiodniowych

odstępach, dokładnie o tej samej godzinie, w teatrze w G. dokonano trzech przerażających morderstw, a właściwie egzekucji na osobach zatrudnionych w teatrze. Każda z nich została potraktowana w wyjątkowo wyrafinowany i okrutny sposób. Choć tło tych bezprzykładnych aktów przemocy miało jawnie seksualny podtekst, to, zdaniem komisarza Kichy, było zbyt wcześnie, by można było mówić o takichże motywach. Pikanterii sprawie dodawał fakt, iż w teatrze wystawiano właśnie sztukę o skomplikowanych relacjach damsko męskich, tragifarsę odważną obyczajowo, której bohaterowie zmagali się z wzajemnym niezrozumieniem, kompleksami i zwierzęcymi żądzami, zaś każda z ofiar była żywą, choć martwą przecież, urzeczywistnioną i namacalną ilustracją też wystawianej sztuki o seksualnym niespełnieniu. Mordy były tyleż perwersyjne, co fascynujące i tajemnicze. Każda z ofiar została odnaleziona w pozie i scenerii nad wyraz estetycznej, jakby zbrodniarzem był wyjątkowy esteta o zmyśle plastycznym rozbudzonym tak dalece, że aż genialnym – w każdym z trzech przypadków miejsce zbrodni wyglądało... urzekająco pięknie! Kompozycje choć krwawe, zdradzające ostatni stopień zwyrodnienia sprawcy, były autentycznymi dziełami sztuki. Aż chciało się je uwiecznić! I czekać na więcej! Z tym ostatni akurat nie było problemu, bo jeżeli cykl tygodniowy miał zostać zachowany, to kolejnej malarskiej rzeźni należało oczekiwać za dwa dni. Jakby tego było mało na miejscach zbrodni ekipy techników nie odnalazły choćby i najmniejszego śladu mogącego pchnąć śledztwo do przodu. Po analizie materiału dowodowego komisarzowi nasunął się wniosek tyleż absurdalny, co najbardziej oczywisty – ofiary doprowadziły się do śmierci same! Kicha dyskutował nawet taką możliwość z patologiem. W pierwszym odruchu lekarz aż się cofnął, następnie popukał palcem w czoło, a potem odesłał Kichę na zasłużony odpoczynek. Dociśnięty jednak przez komisarza przyznał, iż rozpatrując rzecz czysto fizycznie, pomijając aspekty psychologiczne i fizjologiczne, a konkretnie

ból, jaki musiał być udziałem nieszczęsnych denatów przed śmiercią, możliwości takiej nie da się jednoznacznie i bezwzględnie wykluczyć.

Komisarz Kicha miał dwa dni i niecałe cztery noce, by wykryć ewentualnego sprawcę i uniemożliwić mu popełnienie kolejnej zbrodni. Czekala go ciężka robota. Musiał przesłuchać kilkadziesiąt osób pracujących w teatrze, z których znaczna część przez całe życie grała, realizując cudze, zmyślane scenariusze. Tym razem scenariusz napisał wyjątkowo wyrafinowany zwyrodnialec, a gra toczyła się o życie!

- Ufff – odsapnąłem, zatraskując książkę.

Zaiste mroczne były meandry duszy Czubka. Jakby mi było mało mojego tu i teraz jeszcze miałem się zmagać z jego pokreconą wyobraźnią? Postanowiłem, że odłożę książkę w najdalszy kąt i już do niej nie zajrzę. Przynajmniej aż do momentu, kiedy wszystko znormalnieje, uwolnię się od karczmarza, uporam z Helką, zapomnę o mrokach nadciągającej bezlitośnie edukacyjnej męki z lokalnym pokurczem, zdemistyfikuję zjawiskową dziewczynę, nareszcie – wyjadę stąd. Byle gdzie! Byle daleko! Ale Czubek już zasiał w moim umyśle ziarno potworności, już ziarno owo zaczynało kiełkować, już oplatało mój umysł morderczymi pnączami, wgryzało się w wolę, osłabiając ją, dręcząc, kusząc. „Weź mnie” – szeptał Czubek, „poczytaj sobie jeszcze, zatruj umysł okropieństwem świata tyleż zmyślanego, co prawdziwego”. Cóż było robić? Podskoczyłem, złapałem krzyżaka, który, najwyraźniej zdziwiony nawet nie zawarczał, tylko skulił się potulnie, i wycelowałem krzyżakowym krzyżem prosto w Czubka. Który sycząc odpełził do najmroczniejszego kąta za stolikiem i przycupnął w oczekiwaniu na sposobność, by ponownie zaatakować.

Było coś w tym wszystkim... Coś jakby... Jakiś wspólny element, który... I tu, i tam, i wszędzie...

GLUPEK

wyklupał Czubek z kąta.

MIERNOTA

dołożył. Nie oszczędzał mnie. I miał rację. Było coś oczywistego w tym, co działo się ze mną tutaj i o czym pisał Czubek tam. Tu i tam miało jakiś wspólny mianownik. I nagle zrozumiałem: wszystko było grą, teatrem. A więc jednak było napisane i zapisane.

Niezmiennie!

KRETYN

nadleciało niczym wystrzał z mrocznego cienia.

STUPIDO

wystrzeliło z cienistego mroku.

Chyba, że... Chyba, że to ja... Bo byłem nieautentyczny. Sobą nigdy nie byłem. GRAŁEM! UDAWAŁEM! I dlatego byłem wplątany, uwikłany w wydarzenia, na które nie miałem wpływu. Dlatego realizowałem scenariusz. Dlatego byłem marionetką. Wystarczyło zdjąć maskę. A właściwie maski... Bo było ich... nieskończenie wiele. Co było maską, a co było twarzą, moją własną twarzą, nie udawaną facjatą, fizys ucharakteryzowaną, tylko moją, autentyczną, jedyką? Nie wiedziałem...

W rozpaczę wyszarpałem spod łóżka walizę z maszyną, by się z samym sobą rozprawić przy pomocy maszyny, przy pomocy słów. Już miałem zadać pierwsze straszliwe ciosy, ale nadszedł sen. I tylko mi głowa opadła bezwładnie i bezładnie na gęstwą klawiszy. A na papierze odbił się czarny kłęb liter tak samo amorficzny i pozbawiony sensu, jak całe moje życie.

Łomotanie do drzwi nasiliło się. To już nie było pukanie. O, nie! To już nie było nawet walenie w drzwi pięściami. Łomotali w nie bezwzględnie kolbami karabinów, kopali zajadle podkutymi buciorami. Przyszli po mnie! Tylko kto? Miejscowi? Policjant skrzyknął posiłki? Antyterrorysty? Policja polityczna? Kontrola sumienia?! Sami z siebie po mnie przyszli, czy ktoś na mnie doniósł?! Spojrzałem w kąt, w którym zazwyczaj czatował krzyżak. Patrzył na mnie cynicznie. Ożesz ty! Dla przyjemności to zrobił, czy mścił się za Czubka? A może to jednak nie on? Może to.... Może to Czubek! O, tak! Ten pewnie byłby zdolny i do gorszych rzeczy! Ale jeżeli to faktycznie Bertold, to.... O Boże! Co też on mógł im, na mnie, naopowiadać?! Rozejrzałem się po pokoiku, po mojej celi siermiężnej, obskurnej: wąskie, liche łóżko, stoliczek marki rozpadowa – nic by mi nie dało, jakbym się pod jedno, albo i pod drugie wczołgał, mógłbym się najwyżej spod nich oszczekiwać, nie dałoby mi nic nawet, jakbym się wczołgał pod jedno i pod drugie jednocześnie; szafa – była duża, ale po pierwsze każdy głupi, by do szafy od razu zajrzał, a wtedy koniec, mieli mnie, a poza tym był w szafie jakiś mrok nie ludzki i do tego ta szata w niej wisząca, najwyraźniej pozbawiona właściciela, szata równie mroczna, jak i sama szafa, nie, za nic bym do szafy nie wszedł, taką trwogą mnie przejmowała. Jakby była jakimś tajemnym przejściem do innego

świata, który jest światem nie tylko innym, co już samo w sobie jest wystarczająco przerażające, ale światem o wiele gorszym, niż ten nasz świat paskudny. Innych mebli, sprzętów, wnęk, schowków – nie było. Nie było się gdzie schować! A łomot narastał. Przewalał się jak nawałnica kolejnymi grzmotami niehumanicznych, bezdusznych, brutalnych uderzeń prosto w czaszkę. Pozostawała ucieczka! Ale czy teren był nie obstawiony? Zrobiliby na mnie obławę i terenu nie obstawili?! Pewnie stali i pod oknem i pod drzwiami... Ba! Na bank opanowali cały kwartał, zablokowali drogi wyjazdowe. Dосkoczyłem do okna, by wyjrzeć przez nie dyskretnie i jakby jednak nie byli aż tak dobrze przygotowani – wyskoczyć przez nie jednym susem i uciec, uciec byle dalej, uciec choćby i do lasu. W ostateczności mogłem zostać leśnym. Czemu nie? Inni, dawniej – mogli, to pewnie i ja bym mógł. Choć może bym i nie mógł? Inny byłem niż oni. Tamci. Wtedy. Jak oni to wytrzymywali? Jak?! Głód. Chłód. Brud. Zimno. Wilgoć. Zaskrońce w kocu! Ciągłe zagrożenie. O! Inni oni byli! Ale jak? W ogóle byli inni? Inny to był gatunek, choć na pozór ten sam? A może... Może wiara to sprawiała, dawała im siłę? I wychowanie może? Że Honor! Że Ojczyzna! I dlatego mieli siłę. Byli twardzielami. Tytanami! Ja przy nich byłem, jak ślimak bez skorupy. Oni przy mnie – Herosami! Ale las, choćby i nie był dla mnie, to była jednak jakaś alternatywa. Bicie, wrywanie paznokci, sadzanie na nodze od stołka, polewanie zimną wodą w zimie, podtapianie, rażenie prądem prosto w jądra, obcinanie palców, miażdżenie kości młotkiem – to było dla mnie jeszcze mniej niż las. A przecież, jakby mnie zaczęli obrabiać, to nic bym im nie powiedział. Bo nic nie wiedziałem! Więc dręczyliby mnie z coraz większą zjadłością! Jakby mi powiedzieli, do czego się mam przyznać, przeciw komu zeznać, to bym się przyznał i zeznał. Podpisałbym wszystko! Byleby tylko nie bili... Ale to im mogło nie wystarczyć. Mogli chcieć ode mnie informacji, których nie mieli, a nie tylko potwierdzenia tego, co i tak już wiedzą. A ja wtedy nic. Tylko bym skamlał. Rozsierdzałoby ich to coraz bardziej! Nie!!! Trzeba wiać! Dосkoczyłem więc do okna. Ale okno skurczyło się! W życiu bym się przez nie nie przecisnął! W dodatku szyba, czy to coś, to tworzywo, pleksiglas, czy też ten rybi pęcherz, który był w ramie okna rozciągnięty, stało się zupełnie nieprzejrzyste. To był koniec. Od razów kolbami w drzwi z tamtej strony, ze strony tej zaczęły odszczypywać się drzazgi. Jedna z nich wbiła mi się w policzek.

I wtedy się ocknąłem. Tuż pod oknem wkłuł mi się swą ssawką komar. Był to być może komar-zbawca, co wyrwał mnie z koszmaru, ale i tak zadałem krwio pijcy śmierć, samopoliczkując się. Do drzwi ktoś pukał. Ocknąłem się z jednego koszmaru, by wpaść w drugi! Bo przecież to miało się stać dzisiaj. Dzisiaj miała się stawić u mnie lokalna durnotka na naukach. Dreszcz mnie przeleciał. Wciąż trzymałem twarz zanurzoną w gąszczu czcionek.

Może sobie pójdzie? – pomyślałem. Jak nie będę otwierał, to się w końcu znudzi i sobie pójdzie. I nie wróci więcej. Trwałem więc z twarzą zapadającą się w maszynę, ale pukanie nie ustawało. Wioskowa idiotka nie odpuszczała i pukała z kretyńskim uporem wciąż w tym samym, monotonnym, miarowym rytmie.

- Wejść – powiedziałem w końcu zrezygnowany, gdy pukanie, jak chińska tortura, stawało się nie do zniesienia.

Uniosłem twarz z klawiatury, a drzwi delikatnie zaskrzypiały, otwierając się bardzo powoli. Siedziałem cały napięty, wpijając i wbijając paluchy w blat. Oczekiwałem najgorszego. Zamarłem. Stanęło mi serce. Co innego oklapło mi, wydawać się mogło, że ostatecznie. Oczekiwałem twarzy wykrzywionej debilizmem, postaci niechlujnej, naznaczonej brakiem dbałości higienicznej, strąków na głowie, gilów w nosie, żałoby za paznokciami, zapachu szamba. Oczekiwałem OCHYDY. Jakież było me rozczarowanie!

Bo o to w szparze pomiędzy skrzydłem drzwiowym, a drzwi ościeżnicą pojawiła się nieśmiało i delikatnie także samo delikatna i nieśmiała twarzyczka, jak i jej pojawienie. Sposób pojawienia się zatem w sposób idealny korespondował z pojawiającą się formą! Spodziewałem się doznania obrzydzenia, a doznałem estetycznego objawienia. A tym samym doznałem także gwałtownego zaskoczenia, graniczącego z szokiem. Ulgi doznałem dopiero chwilę później, jak moje serce ponownie się uruchomiło. Za co mu niniejszym serdecznie dziękuję.

Czy była pięknocią? A co to w ogóle jest piękność? Nie była ci ona modelką z wybiegu dla piękności, nie urwała się z żadnej stadniny spod znaku spa, nie wychynęła spod pokładów maseczek upiększających, nie wyslizgnęła się z matni kremów nawilżających i precizmarszczkowych, nie znała ci ona botoksu, nie miała nałożonego podkładu, nie miała na podkład nałożonego makijażu. A przecież westchnął Stwórca, po dokonany stworzeniu – och, będziesz się ty musiała malować... Ona nie musiała. Jej uroda nie zniewalała, nie wzywała do rozpasania, nie powodowała sapania, nie wyzwalała żądz. Jej uroda była jak powiew delikatnego wiatru, niosącego powiew ziół w pogodny, wiosenny dzień. Była rozczulająca i była kojąca. Jeżeli w istocie główka istoty, niewątpliwie płci odmiennej, która centymetr po centymetrze przenikała przez szczelinę w drzwiach, prowadzących do mej borsucej nory, nosiła w sobie umysł niedorozwinięty, upośledzony, naznaczony tępotą, to była owa główka, jak i cała istota, bo dziewczę wśliznęło się wreszcie do pokoju w całej swej ulotnej długości i szerokości, idealnym kamuflażem dla tegoż upośledzenia. Nawet najgorsze kretyństwo, zakłęte w taką powłokę, godne było istnienia!

Dziewczyna, ubrana schludnie, choć zgrzebnie, w tłącą się upływającym czasem sukienkę, w dziewczynskie, białe pantofle, co je może miała jeszcze od czasu swej Pierwszej Komunii Świętej, z wyraźnym zasromieniem, podniosła na mnie swe oczy, z których wyzierała dusza czysta, jak kryształ. Przez jej twarzyczkę przemknęło drgnienie zdziwienia, ale tylko przez moment. Później dopiero dotarło do mnie, że po całonocnym śnie z twarzą uwikłaną w las czcionek, twarz moja, z odcisniętymi miejscami przy miejscu guziczkami klawiatury, musiała zaiste wyglądać niepowszednio. Byłaż więc dziewczeczka albo starannie wychowana, bo nawet dźwięku niezdrowego zainteresowania na widok mojej tak niefortunnie przemodelowanej facjaty nie wydała, nie wypowiedziała słowa komentarza, nie zapytała, czy to trąd, czy rany wojenne, albo, tak samo, jak i wygląd, delikatność w swym zachowaniu miała naturalną.

- Dzień dobry panu – wyszeptała cicho, z szacunkiem, spuszczać swe sarnie oczęta. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, że nie zbudziłam szanownego pana, że nie przyszedłam zbyt wcześnie...

Nie było w jej głosie nic prymitywnego. Wręcz przeciwnie – tembr głosu miała sympatyczny nawet dla wymagającego ucha, a akcent nienaganny, trochę może nawet nieco staromodny, jak z przedwojennego filmu. Zerwałem się na równe nogi, bo mi się w dwójnasób głupio zrobiło, że tak obcesowo ryknąłem: „Wejść!”, zamiast do drzwi doskoczyć, otworzyć je, przywitać się, jak należy, ośmielić, pokazać, że nie gbur ze mnie, nie człek obcesowy, belfer nienawistny, lecz ciepły człowiek, kulturalny, a i sympatyczny, wyrozumiały nauczyciel.

- Ależ skąd – próbowałem teraz nadmiarem wylewności i serdeczności, po którą musiałem sięgnąć do najgłębszych i słabo eksplorowanych pokładów swego jestestwa, zatrzeć ślad niewybaczalnego grubiaństwa, nadrobić jakoś straty, o które się, cham, postarałem od razu na starcie. – Już od dawna cię oczekuję i bardzo się cieszę, uwierz, że cię widzę.

- Och, jeszcze raz przepraszam szanownego pana najmocniej. Zresztą to nie był mój pomysł, żeby panu przeszkadzać...

- Tak, wiem, rozumiem. Ale może i dobrze się stało... Nawet na pewno dobrze. Przynajmniej dla mnie...

Mówiąc to podszedłem do dziewczęcia, które wciąż skromnie stało przy drzwiach.

Delikatnie, ojcowsko objąłem ją ramieniem i poprowadziłem do stolika, na którym stała maszyna. Pozwoliła na to, czysta. Jakże była nieskalana! Najwyraźniej zadupie, na którym żyła, choć przepaściste, miało swoje zalety. Świat, z którego tutaj trafiłem, nie doświadczył jej jeszcze swym występkiem.

- Usiądź tu, moje dziecko.

- Och, pan pisał – niemal zawołała z zainteresowaniem, podnosząc na mnie wzrok, w którym pojawiły się iskry młodzieńczej egzaltacji. – A jednak przeszkadzam...

- Nie, nie – zaprzeczyłem gorąco. – To tylko takie tam... nic nie znaczące... słowa, słowa, słowa.

- O na pewno to coś ważnego! Nic bym pewnie z tego nie zrozumiała. Bo ja już taka głupia jestem – zachichotała, ale jakoś tak nieszczerze.

I nagle jej oczy stały się faktycznie puste, ale ja już wiedziałem, że inteligencja nie ulotniła się z niej, że moje pierwsze wrażenie nie było nieporozumieniem, lecz to ona, być może niesiona młodością, brakiem doświadczenia, zdradziła się, obnażyła swe prawdziwe wnętrze, i dopiero teraz zaczęła się kontrolować, weszła w rolę.

- Zresztą, jakbym miała zrozumieć, skoro nie umiem czytać. Tak?

O z pewnością, pomyślałem sobie krzywo, bo już mi się ani trochę nie chciało wierzyć w jej analfabetyzm.

- Ale właśnie po to tu jesteś, byś się nauczyła, prawda – powiedziałem, nie zdradzając się, że już wiem, że jej głupota jest tylko udawana, to tylko przebranie, bo byłem ciekaw, co z tego wyniknie.

Zamknąłem wieko maszyny i odstawiłem ją do kąta. Na stole położyłem elementarz, który miałem cholera wie skąd. Otworzyłem go na pierwszej lekcji.

- Ala ma kota – przeczytałem, dusząc się wewnętrznym rechotem, bo wszystko to wydawało mi się tak niemożliwie niemożliwe, że aż śmieszne. – A to As. Pies Ali. Widzisz – pokazałem palcem literę A – ta litera to „a”. Łatwo zapamiętać, bo to taki daszek, z taką o tu, poprzeczką.

- Jak konstrukcja dachu krokwiowo-jętkowego...

- Że co?!

Zaskoczyła mnie. Już mi się wydawało, że ją mam, że coś o niej wiem, a tu wyskakuje z żargonem technicznym. No, o to to bym jej nie podejrzewał!

- Och, przepraszam. Głupio się wyrwałam...

- Dość – ryknąłem, bo nagle mi się to całe udawanie przestało podobać. – Kto cię przysłał? Oni?

- Oni? – w jej oczach pojawił się jakiś nowy błysk.

- No nie udawaj. Karczmarz. Listonosz. Dziadunio. Może Helka nawet?!

- No tak, oni – błysk w jej oku zgasł, a może nigdy go tam nie było, może mi się tylko zdawało. – Przecież pan wie...

- Nie o to mi chodzi. Wiem, że oni, ale po co? Przecież nie żebyś się uczyła analfabetu, tfu, literek żebyś się uczyła. Więc po co? Żeby mnie skompromitować? Czy żeby szpiegować?!

- Ależ ja... - spojrzała na mnie tak, że znowu mi się głupio zrobiło, że tak na nią wjechałem.

- Dobrze – sapnąłem. – Policzę do dziesięciu, a potem zaczniemy od nowa.

Siedziała wciśnięta w krzeselko, ze skurczonymi plecami, zapadnięta w siebie i czekała cierpliwie, aż się uspokoję.

- Przepraszam cię – powiedziałem po chwili. – Ale ty nie jesteś żadną wioskową idiotką.

- To prawda – przyznała smutno. – Choć czasem chyba wolałabym być...

- Dobrze. Twój ojciec był budowniczym, cieślą?

- Ja jestem sierotą.

- Matki też nie masz?

- Nikogo.

- Dawno umarli?

- Nie wiem.

- Jak to?

- Nie mam rodziców. Nigdy nie miałam. Nie pamiętam.

- Ale przecież musisz mieć jakąś rodzinę, jakieś wspomnienia.

- Nie.

- Co nie?

- Nie mam nikogo. Nie mam żadnych wspomnień z dzieciństwa. Nie wiem kto mnie wychowywał. Żyję tutaj. Nie wiem, jak długo. Chyba od zawsze. Ale czuję, jakbym nie była stąd. Jakbym była inna, niż cała reszta.

Mówiąc to, zmieniała się. Wciąż była taka delikatna, subtelna, zwiewna, ale dostrzegłem, że nie jest wcale taka młoda, jak myślałem. Nie była wcale dzieckiem, nie była dziewczyną. Była dojrzałą kobietą. Zapewne była młodsza ode mnie, ale nie więcej niż kilka lat.

- Zupełnie nic? – dopytywałem się, bo mnie zdjęła groza. – Przecież musi, musiał być ktoś... Coś...

- Nie.

- Dobrze. Zostawmy to. Nie chcesz, nie mów.

- Pan mi nie wierzy.

- Nie wiem w co ci mam wierzyć. Na pewno nie jesteś głupia...

- Och, tego nie wiem – przerwała mi – z całą pewnością nie jestem zbyt mądra – mówiąc to spojrzała na mnie jakoś tak skromnie i uwodzicielsko jednocześnie, rozluźniła się, z wdziękiem założyła nogę na nogę.

Miała klasę. I do tego ta jej twarz... Coś z nią było nie tak, coś nie dawało mi spokoju, tylko nie wiedziałem co...

- Nie kokietuj – uśmiechnąłem się do niej szczerze. – Ale czytać umiesz.

- Przecież pan wie.

- Mów do mnie po imieniu.

- Dobrze, Krzysztofie.

Znała skądś moje imię. Skąd? Co znowu? No tak, pewnie jej, karczmarz, albo inny wioskowy powiedział. Ale ten jej głos! Brzmiał znajomo. Bardzo znajomo! I to jak powiedziała:

„Dobrze, Krzysztofie”. Ta intonacja! Musiałem... Ona...

Zalewała mnie smoła, czarna, gęsta, cuchnąca. Była ze wszystkich stron. Nie mogłem się poruszyć. Nie mogłem oddychać. Byłem jak owad w bursztynie. Nie czułem bólu, tylko coś niewypowiedziane gorszego. Coś, na co nie ma określenia. I do tego strach, że ten stan się nie skończy, że będę tak trwał w nieskończoność, bez możliwości poruszenia się, bez możliwości zaczerpnięcia powietrza. Smoła to było złe określenie. Smoła to było coś. Coś materialnego. Namacalnego. Zdatnego do opisania. Coś... ludzkiego. A mnie dusiła nicość. Absolutne nic. Doskonała czerń. Próżnia. Która zalatywała spalenizną.

Nagle ta nicość rozdarła błyskawica. Potem jeszcze jedna. I nic wypełniło się czymś.

Siedziałem przy stole. Przede mną leżał otwarty elementarz. Dziewczyny nie było. Pod sufitem, na nici zwisał krzyżak i jakoś tak poruszał odnóżami, jakby chciał mnie pogłaskać po głowie. Rozległo się pukanie do drzwi. Krzyżak uśmiechnął się do mnie czule i pojechał w górę.

- Proszę – powiedziałem słabo.

Było mi wszystko jedno.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich dziewczyna.

- To ty...

- Tak. Wszystko w porządku?

- Musiałem się chyba gorzej poczuć. Przed chwilą. A może wczoraj...

- Chyba tak, nie wiem.

- Jak to?

- Nie pamiętam.

- To tak, jak ja. A pamiętasz...

- Pamiętam tylko „A”.

- No tak.

Gdyby nie ona ogarnęłaby mnie apatia. Ale była ona. Chciałem, żeby była, jak najdłużej.

- Siadaj, proszę – zwoleń jej miejsce przy stoliku. – Będziesz czytać?

- Chyba tak. Przecież po to tutaj jestem...

Otwarłem elementarz i podsunąłem jej. Wcale nie byłem zdziwiony, że zaczęła czytać sama.

Nie słuchałem jej, tylko patrzyłem na nią. I było mi dobrze.

Musiała być tak gdzieś w połowie elementarza, kiedy przerwała i popatrzyła na mnie.

- Czy myślisz, że oni tam są? – zapytała.

- Oni? Karczmarz? Helka?

- Nie. Oni. Tamci. Stamtąd – mówiąc to podniosła wzrok w stronę okna, w stronę nieba.

- Kosmici?

- Tak. Jacyś... Inni.

- Inni ludzie?

- Albo i nie. Po prostu... ktoś.

- Nie wiem. To nie ma żadnego znaczenia.

- Nie? Ale jeżeli oni są...

- Myślisz o kontakcie?

- Tak. To byłoby takie fascynujące.

- To jest niemożliwe. Nawet, jak jest ich tam całe mrowie, to i tak jesteśmy sami.

- Jak to? Myślisz, że okno kontaktu jest faktycznie takie wąskie, że spotkanie dwóch obcych cywilizacji graniczyłoby z cudem?

- Okno kontaktu? Skąd znasz to pojęcie?

- Nie wiem. Pewnie gdzieś wyczytałam...

- To jest dla mnie zbyt duża abstrakcja. Ja nie myślę o tym, co będzie, jak ludzie będą potrafili latać do gwiazd, albo i do innych galaktyk.

- Ale to jest takie fascynujące!

- Może i tak. Ale to jest poza mną. Bo to już nie będą ludzie. Jeszcze zanim opanujemy technikę umożliwiającą loty poza nasz układ planetarny, zaczniemy się zmieniać. Świadomie. Przynajmniej po części. Będziemy grzebać w genach, modyfikować się, będziemy sobie wszczepiać do mózgu mikrokomputery, będziemy się wspomagać farmakologicznie i chemicznie tak dalece, że nasze procesy umysłowe, nasza psychika, będą zupełnie inne niż teraz. To już jest na wyciągnięcie ręki, więc się stanie. I jak ten proces bioinżynierii pójdzie

odpowiednio daleko, a to nastąpi za sto, może za dwieście lat, a może wcześniej, jak człowiek rozplynie się w maszynie, jak będzie sztucznie programowany i hodowany, to to już nie będzie człowiek. To będzie inny organizm. Inaczej myślący. O zupełnie innych, większych od naszych możliwościach. Ani ty, ani ja, ani nikt nie jest sobie w stanie wyobrazić, czym się taka istota będzie kierowała, jak będzie rozumować, co będzie dla niej ważne, co ją będzie interesowało.

- Ale przecież oni mogą przylecieć tu, do nas.

- Ale po co?

- Po co?

- No przecież...

- Czekaj! Rozumiem. Uważasz, że oni nie będą zainteresowani takimi prymitywami.

- No właśnie. Przecież my mówimy o niebotycznych odległościach. Do najbliższej gwiazdy spoza naszego układu światło leci cztery lata. A gwiazdy, które mają układy planetarne, w dodatku układy obiecujące z naszego punktu widzenia, są o wiele dalej, może dziesiątki, może setki, a może nawet tysiące lat świetlnych od nas. Jak na razie nie udało się wykryć globów, które z całą pewnością umożliwiają powstanie życia, przynajmniej w naszym rozumieniu. Przez lata badań prowadzonych przez takie organizacje, jak SETI nie udało się wykryć żadnego śladu rozumnej działalności w kosmosie, a więc to jest tylko gdybanie. Najbliższa nas planeta, Kepler ileś tam, na której być może mogłoby rozwinąć się życie w jakiejś wyobrażalnej formie, która pasowałaby do możliwości naszej percepcji, znajduje się dwieście lat świetlnych od nas. Bliżej nie wykryliśmy nic, ale też przyznać trzeba, że przeszukaliśmy tylko niewielki fragment nieba. Dwieście lat w jedną stronę! A nawet przy jakimś zupełnie niewyobrażalnym wysiłku całej ludzkości, gdyby udało się zbudować statek kosmiczny zdolny odbyć taką podróż, to z jaką prędkością mógłby lecieć? I jak długo? Bo przecież trzeba by go było, przy założeniu, że się dysponuje odpowiednią jednostką napędową, najpierw do prędkości podświetlnych rozpędzić, a następnie wyhamować. Przyspieszenie nie mogłoby być zbyt duże, bo nikt nie wytrzyma długotrwałego przeciążenia. No więc taka podróż, tam i z powrotem ile musiałaby trwać realnie? Tysiąc lat? Dziesięć tysięcy? Czy człek tak rozpędzony nie doznawałby jakichś relatywistycznych sensacji? Jak miałby się przebić podróżujący z podświetlną prędkością statek przez kosmos, który wcale nie byłby już taki pusty, jak teraz, gdy nasze rakiety pełzną mozolnie przez przestwór naszego układu słonecznego? Bo przecież, przy takim wzroście prędkości, nagle w statek uderzyłby huragan cząsteczek, a wiele z nich, nie większych od ziarnka grochu, mogłoby zadać mordercze uderzenie. Jaki pancerz musiałby mieć taki statek, jakie osłony nieść, bądź

wystrzeliwać w kierunku lotu, jaki musiałby mieć system namierzania i jakie działa, by anihilować nadciągających falami kosmicznych morderców? W jakie pola siłowe musiałby być omotany? Jakby taka podróż miała wyglądać? Załóżmy, że opanowano technikę hibernacji, chociaż dzisiaj jest to zupełnie s-f i byłoby możliwe ożywienie trupa po kilkuset latach, to w jakim stanie po przebudzeniu ów trup by się znajdował? Jak długotrwałej i ciężkiej rehabilitacji by wymagał, by móc samodzielnie pełnić zadania badawcze na obcym globie. A jeżeli nie to, to pozostaje wielopokoleniowa podróż statkiem widmo, na którym, po wiekach, cholera wie, jacy mutanci, jaka nowa rasa, dotarłaby z powrotem na zupełnie inną już Ziemię. Którą zamieszkiwaliby już zupełnie inni ludzie, albo być może w ogóle by już ich nie było. Więc po co w ogóle tam lecieć? W dodatku bez gwarancji, że jest tam coś interesującego do oglądania. Podróże międzygwiazdne, z jakiejś realnej dzisiaj perspektywy, malują się jako zupełnie nonsens. Trzeba by opanować zupełnie inną fizykę i stworzyć na jej bazie zupełnie inną inżynierię, niż ta, którą my się posługujemy, żeby takie loty planować. A jak ktoś zna fizykę, która umożliwia wyzwolenie się z tych ograniczeń...

- Jak ktoś opanował fizykę sideralną...

- Fizykę sideralną?

- Tak, wiem, że nie ma takiego terminu naukowego, ale...

- Czytałaś Lema?

- Lema? Tak, chyba tak.

- On się tym tematem, to znaczy kontaktem, zajmował obsesyjnie. I zawsze mu wychodziło, że nic z tego kontaktu nie będzie. Że nawet jak do niego dojdzie, to i tak żadne porozumienie nie będzie możliwe, że każda taka próba zakończy się...

- Fiaskiem?

- Właśnie. Bo musielibyśmy spotkać takich jak my, tylko, że potrafiących zakrzywiać czasoprzestrzeń. No więc może i dobrze, że nic takiego nie nastąpiło i pewnie nie nastąpi.

- Ale dlaczego?

- Bo jeżeli obcy mają naszą mentalność, a boskie możliwości, to przerobiliby nas na kotlety mielone. Ale takie połączenie na szczęście w przyrodzie nie występuje. Jeżeli są tacy jak my teraz, to mają nasze możliwości. Więc ani my do nich, a oni do nas nie dolecą. A jak kosmos jest dla nich mały, to my im nie jesteśmy do niczego potrzebni. Mogą nas jedynie przez chwilę pobadać, ale pewnie i to nie byłoby dla nich interesujące.

I nagle pomyślałem, że może to wszystko to jednak brednie. Bo jeżeli ludzie zawsze wierzyli w jakichś bogów, i jeżeli byli dla tych bogów ważni... To albo... Nie było nigdy żadnych bogów! Nie było też i nie ma Boga Jedyne! Albo... Albo może i dla kosmitów jesteśmy

interesujący z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu. A może... Popatrzyłem na dziewczynę z lękiem. I z nadzieją. Bo może ona... Może właśnie ONA... była...

- Kim jesteś? – zapytałem drżącym głosem.

- Ja?

- Tak. Ty. Skąd? Po co? – już prawie krzyczałem. - Kim jesteś?!

- Ja? Ja jestem tu dla ciebie.

Ogarnęła mnie bezgraniczna rozpacz, choć powinienem poczuć radość. Chciałem być szczęśliwy. Tylko tego chciałem, ale nie potrafiłem. I zaszlochałem, kryjąc twarz w dłoniach. Przez palce i przez łyzy widziałem, że chce podejść, ale wtedy otworzyły się drzwi. Do środka wszedł karczmarz i policjant, wzięli ją pod ramiona i wyprowadzili. Chciałem rzucić się na nich, odebrać ją, błagać by została. Ale nie zrobiłem nic. Nie mogłem. Nie byłem zdolny nawet otrzeć łez ciekących po policzkach.

Dopiero po chwili udało mi się podnieść. Podeszedłem do ona, dłonie kurczowo zacisnąłem na kratkach i wyjrzałem na zewnątrz. Stała przed wejściem do karczmy i krzyczała coś do karczmarza, gwałtownie gestykulując. Ale karczmarz był nie wzruszony. Wyciągnął przed siebie ramię z zaciśniętą pięścią i wyprostował tylko jeden palec, mierząc koło jej ucha tym swoim władczym paluchem, porośniętym odrażającymi włoskami, w horyzont. Zdało mi się, że słyszę jego głos, pewny i spokojny.

- Teraz nic tu po tobie, kobieto. Daj nam pracować.

Dziewczyna posłusznie odwróciła się i ruszyła przed siebie.

Patrzyłem, jak odchodzi. A właściwie, jak płynie nad drogą, tak lekko, że nie uniosła się nawet drobinka kurzu. Moja Zjawiskowa Dziewczyna z peronu! Chciałem krzyżeć za nią i na nią, ale gardło zacisnęło mi się i zachrumkałem tylko, jak świnka. Obejrzała się parę razy, ale nie mogła mnie dojrzeć, skrytego za brudną szybą. Szła więc, oddalała się, odchodziła być może na zawsze. Stawała się coraz mniejsza, a z boków, z dołu i z góry wypełzła czern i powoli, niepostrzeżenie podkradała się do niej. W końcu pozostała tylko plama światła z nią w środku, ale po chwili i to znikło.

Ocknąłem się na krześle, w mojej celi. Nie było ani dziewczyny, ani karczmarza, ani Helki, ani nikogo. Byłem sam. Ściemniało się. Wszystko było jakieś nieostre, rozmyte i zdeformowane, jakby soczewki w moich oczach zmętniały i odkształciły się w denka od butelek. Kątem oka zauważyłem, że w maszynie tkwi wkręcony papier. Zamknąłem lewe

oko, a prawe ustawiłem tak, by czytać tekst po jednej literze – więcej na raz nie mogłem, bo przestrzeń była zdeformowana i tylko w samym środku pola widzenia obraz był wyraźny:

J e s t e m ż y w y m t r u p e m . Ż y j ę d z i ę
k i r u r k o m , k t ó r e w e t k n ę l i w e m n
i e l e k a r z e . D z i ę k i m a s z y n o m : s
z t u c z n y m p ł u c o m , n e r k o m , s e r c
u . N i e j e s t e m ś w i a d o m y s w e g o s t
a n u . N i e j e s t e m ś w i d o m y n i c z e g
o . N i c w i ę c e j n i e m o ż n a z r o b i ć . N a
d z i e j ą i k l u c z e m d o w s z y s t k i e g
o j e s t

Kiedy to napisałem? I po co? A może to nie ja? Może to oni? Może udreki, jakich od nich doznawałem, tortury jakie mi zadawali – nie wystarczały im? Może chcieli mnie wystraszyć?

Ale po co?

Z rogu dobiegł chichot. Nawet tam nie spojrziałem.

DUPA NIE TWARDZIEL

doleciało z rogu.

TCHÓRZ I GÓWNIARZ

nadciągnęło z wyraźnym niesmakiem.

ŻAŁOSNY ZOMBIAK.

Tego było za wiele. Doskoczyłem do kąta i złapałem piekielne dzieło demonicznego Bertolda, z jasnym i nieposkromionym zamiarem, by się go pozbyć raz na zawsze. Wziąłem zamach i cisnąłem książczynę przez okno. Nawet mi ręka nie zdążyła opaść, a Czubek nadleciał z niebytu i wyrznął mnie prosto w twarz. A padając na ziemię, rozwarł swe szatańskie wnętrze. Na czarnych kartach złote litery świeciły hipnotycznym blaskiem. Nie mogłem od nich oderwać oczu, tym bardziej, iż pod wpływem gniewu, albo od ciosu wzrok mi się wyostrzył i znowu widziałem normalnie.

Czyn ten, a konsekwencje jego były straszliwe, nie był ani aktem terroryzmu, ani aktem młodzieńczego buntu. Nie niósł w sobie żadnego przekazu, żadnej głębi, żadnego drugiego dna.

Był po prostu aktem bezmiernej głupoty i bezbrzeżnej nudy. Głupota wyrostków, którzy rozlali na drodze olej, wynikała z upadku świata, w którym żyli i nie mogła ich obciążać w takim samym stopniu, jak niszczycielska siła nie może obciążać huraganu. To, czego od nich wymagano, nie dawało im żadnych wskazówek, zresztą w rzeczy samej wymagano od nich niewiele, rzec by można, że nic. Nie wykształcono w nich nie tylko poczucia odpowiedzialności za cokolwiek, ale nawet elementarnej empatii. Wiedzieli, że auto, które wjedzie na płamę świeżego oleju, może wpaść w poślizg. Ba! Nie tylko to wiedzieli, ale na to liczyli. Bo chcieli zabawy, chcieli, żeby się coś działo. Chcieli się wyrwać ze wszechogarniającej nudy, bo mordowanie przy pomocy joysticka potworów biegających w monitorze już im nie wystarczało. Choć joystick miał boską moc! Ileż można?! No i zapragnęli czegoś więcej. Nie chcieli niczego złego. Chcieli hecy! I stała się heca, jako i sobie ją wymarzyli. Jeno nie przewidzieli, że heca, jaka się na ich oczach wydarzy, będzie większa, niż sobie zaplanowali, że spuchnie, że się rozrośnie, jak rak i że jak rak zdrową tkankę, tak ich heca zniszczy czyjeś życie. Bo nie przewidzieli, że odpowiednio szybko jadące auto nie tylko wpadnie w poślizg, ale będzie miało też wystarczającą energię kinetyczną, by wyłamać barierki bezpieczeństwa, by wyrznąć w drzewo i wpaść w lodowatą otchłań jesiennego stawu. Nie zdawali sobie sprawy, że uderzenie będzie tak silne, że większość narządów wewnętrznych kierowcy, który szczęśliwie podróżował sam, ulegnie destrukcji. Nie przewidzieli tego wszystkiego, bo nikt im nie dał daru przewidywania. Bo byli znudzonymi głupkami. Ale czy można ich za to winić?

Schylilem się, by podnieść książkę, by czytać dalej, by złapać, jak się to mówi, byka za rogi, bo znowu zdało mi się, że za chwilę wszystkiego się dowiem, ale Czubek zatrzasnął mi się przed samym nosem, rechocząc złośliwie. Złapałem go, usiłowałem otworzyć, ale bronił dostępu do swego wnętrza z determinacją gwałconej dziewicy, co to chce cnotę swą

zachować dla tego jednego, jedyne go i woli zginąć niż cnotę postradać. A jak w końcu się do wnętrza wdarłem, to nie było już we wnętrzu owym czarnych kart ze złotymi, fosforyzującymi czcionkami, nie było już nic, tylko puste, białe strony. I chyba biel tych stron, biel nieskazitelna, oślepiająca, jak dziewiczy śnieg na wysokości w dzień bezchmurny, spowodowała, że pomyślałem o czerni. Ale nie o jakiejś czerni dowolnej, ale o czerni zwisającej w szafie w moim pokoiku.

Księdza chciałem, księdza potrzebowałem, nie mogłem już bez księdza. Ani chwili! Po co mi był ksiądz? Do czego? Na co? W czym mi mógł ksiądz pomóc? Jakie mroki rozświetlić?!

Irracjonalna potrzeba obcowania z księdzem, jakiej doznawałem, była przemożna.

Wybiegłem w mrok, by szukać księdza, choć nie wiedziałem, co mam zrobić, jak już księdza spotkam. Bo chociaż pragnąłem księdza, jak niczego na świecie, to wcale nie uważałem, że spotkanie z księdzem, może coś w mojej sprawie zaradzić, że zmieni moją sytuację, że dzięki księdzu odkryję, co tu robię i jaki jest sens i cel mojej tu obecności. Opuściłem swój pokój niemal w panice, w przemożnej potrzebie. Taki byłem zaaferowany, że nawet nie wiedziałem, jak wypadłem z karczmy – normalnie, standardowo przez drzwi, czy może dałem susa przez okno, żeby się na karczmarza nie napatoczyć? Gnałem przed siebie nie myśląc, dokąd gnam. Na logikę powinienem był trafić do lasu. Albo na peron. Ewentualnie, niesiony pamięcią dni ostatnich – do kafejki, do dziadunia. Ale nie trafiłem w żadne z tych miejsc. Poruszając się rączym kłusem, powłócząc stopami ostatkiem sił, pędząc na złamanie karku, ledwo panując nad płaczącymi się nogami, biegnąc śmigle, niedościgle, na miękkich udach i jeszcze miększych łydkach – opuściłem wieś i pokonując kolejne wiorsty, mile i parseki mroku, który otaczał mnie niczym lepki kokon, dotarłem do wejścia, zimnego, zionącego niezdrową wilgocią, pleśnią, stęchlizną i zgnilizną, przerażającego, wiodącego w głąb jaskini, która odpychała, a jednocześnie wciągała obezwładniająco. Już nie chciałem księdza! Jedno, czego chciałem, to nie wchodzić do jaskini!! Ale musiałem do niej wejść! Nie był to mus wynikający z fascynacji, ciekawości, zaintrygowania. Nie! Musiałem wejść do jaskini, bo mnie ona przyciągała fizycznie! Niczym kosmiczna osobliwość, pożeraczka światów, złapała mnie i nie zamierzała puścić. Byłem bezradny... Któryż to już raz?

Zrobiłem pierwszy krok i znalazłem się w ciemności jeszcze większej, jeszcze bardziej obezwładniającej. Jenowidziłem w dali maleńką kropkę. Tak maleńką, jakby była zrobiona na czarnej otchłani żółtym cienkopisem. Szedłem po omacku, z wyciągniętymi przed siebie dla bezpieczeństwa dłońmi. Po czasie (t) kropka zmieniła się w główkę od zapalki, a po czasie (t') – w migotliwą łzę ognia. Gdybym znał czas (t) oraz (t'), a także chyżość z jaką się przemieszczałem we wnętrzu jaskini, mógłbym obliczyć, na jaką odległość od wejścia

przeszedłem. Ale nie znałem czasu (t), ani czasu (t'), a tym bardziej chyżości, która w dodatku mogła być zmienna. Zatem łatwiej byłoby zmierzyć odległość krokami. Byłoby łatwiej i mógłbym to zrobić. Tylko, że mnie pokonany dystans najzupełniej nie interesował. Złapałem za łuczycwo wetknięte w uchwyt w skale i zagłębiłem się jeszcze głębiej. A właściwie zostałem zagłębiony. Bo choć to ja przebierałem nogami, to jednak nie ja szedłem, chód mój nie był efektem mojej woli. To jaskinia wciągała mnie w głąb, wsysała do swego wnętrza.

Po kolejnych minutach, po następnych krokach dostrzegłem czarną sylwetę zanurzoną w czerni. Łuczycwo zaczęło parzyć mnie w palce, więc odrzuciłem je. Nie było mi zresztą już potrzebne, bo wokół czarnej sylwety jaśniało wiele pochodni.

Siedział w samym centrum komory tak wielkiej, że zdawała się być nieskończona.

- Przepraszam – bąknąłem wstrząśnięty bezmiarem pieczary, zmieszany jego majestatem. – Przepraszam najmocniej. Czy pan jest księdzem? Czy księdzem ojciec jest?

„Pan” wypowiedziałem ewidentnie z dużej litery, a „ojciec” to chyba nawet powiedziałem drukowanymi w całości.

- Byłem – zagrzmiał jego głos, wypełniając nieogarniony ogrom sali aż po najdalsze jej brzegi.

Chrząknąłem jeno, bo nie śmiałem się odezwać w sposób artykułowany, konkretny i zrozumiały. Zresztą co miałbym powiedzieć? O co miałbym zapytać? Miałbym że wyrazić troskę? Zdziwienie? Zainteresować się, czy zaniepokoić?

- Ale zwątpiłem – zagrzmiał ponownie.

Po tym jego wyznaniu zapadła krępująca cisza.

- Co widzisz, człowiecze, jak, dajmy na to, ptaszka widzisz? – zapytał.

- Znaczy się jakiego? – wolałem się upewnić, bo nie byłem w stu procentach przekonany o jakiego ptaszka mu chodzi.

- No zwykłego ptaszka, takiego małego, sympatycznego, dajmy na to wróbelka, gila, albo sójkę.

- To znaczy niby, że co mam widzieć, jak widzę ptaszka?

- Nie co masz widzieć, ale CO WIDZISZ!

- No... eee... tego... no ptaszka widzę. Jak widzę! Znaczy się sójkę czy tam wróbelka.

- Ale co czujesz? Co w tobie ptaszek budzi?

- Noooo... taką jakby radość. Jak sobie tak ćwierka. I czułość, że taki miłutki, sympatyczny, że tak sobie skacze i dziobie ziarenka. Miły jest ptaszek sercu memu – zapewniłem go żarliwie.

- A ja widzę ból, cierpienie, głód, strach, brud, smród, gnój... Rozumiesz – ryknął, aż podskoczyłem.

- Przyznam, że nie bardzo...

- Głupi człowiecze... Biologiczna purchase! Jak możesz zrozumieć, skoro sam jesteś jako i ten ptaszek, który umiera od urodzenia, który się w bólu rodzi, a i śmierć będzie miał bolesną. Całe jego życie to gnicie. Albo się boi, że go coś zeżre, albo czuje lęk, że jemu nie będzie dane czegoś zeżreć. Bo wszystko się nawzajem zżera. I śmierdzi! Czujesz ten smród, robaku?!

- Tutaj?

- Tutaj, tam. Co za różnica? Wszędzie! Wszystko śmierdzi, bo wszystko jest skażone śmiercią, a śmierć śmierdzi. Wszystko zajeżdża trupem. I gównem. Bo żywi od trupów różnią się tylko tym, że produkują gówno! Tony gówna! A trupy same są gównem. Zresztą żywi też... Teraz rozumiesz?- zapytał smutno, ale z nadzieją.

- Życie jest piękne – wystrzeliłem, choć samemu wydało mi się to tragicznie głupie.

- Życie to infekcja – powiedział całkiem spokojnie były ksiądz. – Ziemia jest obrośnięta pleśnią. Zgnilizną. Grzybami. Cała jest ubabrana produktami przemiany materii. Tylko materia nieożywiona jest piękna.

- Ale martwa.

- I co z tego? Zresztą, żeby być martwym najpierw trzeba żyć. Materia ożywiona jest tylko po to, by się zepsuć, zestarzeć, zmarszczyć i wykitować. Jest po to, by inna materia ożywiona ją wchłonęła i przetworzyła na nawóz. W bólu i rozpacz. We łzach. Skowycie. Drgawkach. Tylko Saturn ze swoimi pierścieniami jest piękny! Wieczny! I Jowisz, młodszy brat Słońca, który ze swoimi różnymi satelitami tworzy własny układ planetarny. Zresztą jakby mu dodać trochę masy zabłysnąłby jak gwiazda. I Mars ze swoimi czerwonymi pustyniami i niebotycznymi szczytami. I Wenus, prawdziwa bogini, spowita tajemniczym welonem. A Ziemia... Nieszczęśnica toczona przez pasożyty.

- Ale te martwe, skaliste globy...

- Jowisz i Saturn nie są skaliste, tylko gazowe, ignorancie!

- One same... Mogłoby ich nie być, jakby nie życie!

- A co niby ma ten weneryczny kozuch do tamtych bytów doskonałych?

- Przecież one nie widzą, nie czują...

- I co z tego?!

- Nie mogą się więc zachwycić same sobą. Są zimne. Obojętne! To życie na Ziemi, ten biologiczny gnój, ta pleśń nadaje sens ich istnieniu!

- Precz! – zaryczał dziko.

Oczy mu poczerwieniały, poczułem swąd siarki.

- Tego wszystkiego mogłoby nie być, gdyby nie wilk wyjący do Księżyca, który swym wyciem nadaje istnieniu Księżyca sens.

- Won, ludzki mikrobie! – zerwał się z tronu.

Dopiero teraz zobaczyłem, że ma rogi i ogon, że stuka raciczkami. Dym buchał mu z uszu.

Najwyraźniej wściekł się nie na żarty. Wziąłem nogi za pas i czmychnąłem na oślep, w mrok, byle dalej od niego, w nadziei, że prowadzony ręką opaczności trafię do zbawczego wyjścia.

Gonił mnie jego ryk.

Zobaczyłem blady blask świtu. Udało się. Wypadłem z jaskini i gnałem nie oglądając się sam nie wiem, jak długo, aż całkiem straciłem siły. Rzuciłem się w trawę mokrą od rosy i tarzałem się w niej jak pies. Byłem szczęśliwy! Ale szatan zasiał w mej duszy, jeżeli ją w ogóle jeszcze

miałem, jeżeli miałem ją kiedykolwiek, ziarno zwątpienia. Bo przecie miał rację! Po co były te wszelkie męki? Dlaczego wszystko zjadało się nawzajem i to dosłownie wszystko, bo

choroby też były przecie formą konsumpcji. Nie można było tego jakoś inaczej urządzić?! Nie mógł Bóg dobrotliwy inaczej stworzyć świata? Nie wzięło się cierpienie z niczego, tylko

było dziełem Stwórcy. A i zło pochodziło od niego, było częścią Najwyższego. Szatan był Jego ukochanym synem! Jakże można było uznawać wolną wolę, skoro Wszechmocny i

Wszechwiedzący i tak wiedział, kto podoła i dostąpi zbawienia, a kto zostanie wydany na pastwę mąk wiekuistych?!

Zrozumiałem, że jak dalej będę prowadził te rozważania, to zwariuję.

I zapadłem się w głąb.

Siedziałem na krześle, głowa zwisała mi w tył, jak nie przymierzając dziaduniowi, z kącików oczu spływały łzy. Poprawiłem się. Zabolało. Pomiędzy moimi szeroko rozstawionymi nogami leżał Czubek. A właściwie jego wytwór. No tak – czytałem. Musiała mnie lektura znużyć i chrapnąłem. Schyliłem się, by podnieść książkę, by czytać dalej, by złapać, jak się to mówi, byka za rogi, bo znowu zdało mi się, że za chwilę wszystkiego się dowiem, ale Czubek zatrzasnął mi się przed samym nosem, rechocząc złośliwie. Złapałem go, usiłowałem otworzyć, ale bronił dostępu do swego wnętrza z determinacją gwałconej dziewicy, co to chce cnotę swą zachować dla tego jednego, jedyne i woli zginąć niż cnotę postradać. A jak w końcu się do wnętrza wdarłem, to nie było już we wnętrzu owym czarnych kart ze złotymi,

fosforyzującymi czcionkami, nie było już nic, tylko puste, białe strony. I chyba biel tych stron, biel nieskazitelna, oślepiająca, jak dziewiczy śnieg na wysokości w dzień bezchmurny, spowodowała, że pomyślałem o czerni. Ale nie o jakiejś czerni dowolnej, ale o czerni zwisającej w szafie w moim pokoiku.

Wypadłem z pokoju, otwierając drzwi z taką furją, że niemal wyleciały z zawiasów i wyrznęły o ścianę – zapewne klamka wywaliła w ścianie dziurę, ale miałem to w nosie. Zbiegłem po schodach i wpadłem prosto do baru, mając za nic to, czy w barze toczy się jakieś życie i jak ono wygląda. Mógł sobie nawet karczmarz chędożyć Helkę na blacie bufetu, trzymając ją za bufet. Ale karczmarz siedział za barem, tak, że było widać tylko jego głowę z półprofilu i nie tylko nie wyczyniał obscenicznych wyczynów z Helką, ale czytał sobie najspokojniej w świecie gazetę, o co bym go nigdy nie posądził. Wstrząśnięty i zmieszany widokiem Karczmarza studiującego prasę, bardziej niż mógłbym być zmieszany i w ogóle nie wstrząśnięty widokiem karczmarza rozjeżdżającego Helkę, straciłem impet.

- O! Pan pisarz – ucieszył się Karczmarz na mój widok.

Zwinął gazetę, która okazała się jakimś starożytnym, rolowanym manuskryptem i wychylił się przyjaźnie ku mnie przez bar. Manuskrypt odłożył na ladę. Spojrzałem nań machinalnie, odruchowo, bo mnie w rzeczy samej ów manuskrypt w ogóle nie interesował. Ale jak już spojrzałem, to dojrzałem tytuł, wytłuszczony, typowo gazetowy tytuł.

A brzmiał on:

Utopiony w stawie.

A pod tytułem był podtytuł, bo niby co by mogło być.

A brzmiał on tak:

Czy kierowca przeżyje?!

Manuskrypt, który jeszcze przed chwilą, momentem, sekundą, był dla mnie niczym, najzupełniej mnie nie interesował, mogłoby go nie być – teraz stał się najważniejszy.

Chciałem złapać manuskrypt i czytać dalej. Musiałem czytać! Ale karczmarz był szybszy.

Chapnął go pierwszy, ruchem nieludzko błyskawicznym i ukrył pod ladą.

- Witam kuma – witając się, uśmiechał się do mnie nieszczercze. - Mam nadzieję, że się pan pisarz nie obrazi, że go kumem nazywam, ale żyjemy już trochę, praktycznie pod jednym dachem, razem. Jak się spało?

- Nie wiem. Chyba dobrze – wystękałem, opierając się ciężko o bar, bo się nagle poczułem, jakby mi się cała karczma, cała wieś, cały świat obsunęły na ramiona.

- Bo zdrowy sen to podstawa – rzekł Karczmarz, wymachując, dla podkreślenia wagi tych słów, palcem wskazującym. – Ale co też by mogło panu zdrowy sen zakłócać, co by mogło przeszkadzać w zdrowym wyspaniu się?
- Chciałem... - zająknąłem się, bo nagle straciłem pewność, czy faktycznie chcę wiedzieć i czy ta wiedza może mi być do czegośkolwiek przydatna.
- Tak?
- Chciałem spytać...
- No?
- Chciałem się dowiedzieć... Bo dotychczas...
- Co takiego?
- Bo... Bo... Bo nie spotkałem... A chyba powinienem...
- Tak?
- Może... Nie tyle powinienem, co... byłoby to prawdopodobne....
- No niechże pan wreszcie wykrztusi!
- Czy jest tu u was ksiądz? – wypaliłem wreszcie.
- Ksiądz?
- No tak. Ksiądz. Czy to takie dziwne?. W takiej... miejscowości powinien być chyba ksiądz. Zresztą widziałem wieżę kościoła.
- Więc o to chodzi? Wie pan, że jakoś bym na to sam nie wpadł, że pan będziesz księdza szukał. Że się pan będziesz o księdza pytał. Że będziesz pan księdza potrzebował.
- Ja nie potrzebuję – krzyknąłem gwałtownie. – Tylko chciałbym wiedzieć...
- No oczywiście. Tylko wiedzieć. Nie ma.
- Co? Jak to?
- Nie ma księdza. Już nie ma. Kiedyś – był. Ale teraz już nie ma.
- Acha...
- No. Po prostu nie ma. Jeszcze coś?
- Nie. Dziękuję.
- Nie ma za co. Żadna w tym moja zasługa.
- A...
- No? Czego jeszcze?
- A do tego... tam... manuskryptu, czy gazety, żeby ten artykuł... czy mógłby zajrzeć?
- Nie – zaryczał, aż mi grzywkę wydmuchnęło z czoła.

Nie śmiałem mu spojrzeć w twarz, bo byłem pewien, że mu ślepie zaświeciły na czerwono. Odwróciłem się od lady i niemrawo, skurczony, jakbym miał za chwilę dostać cios pod żebra, ruszyłem do wyjścia.

- I na przyszłość – zawołał za mną – dobra rada. Od przyjaciela. Nie bądź pan zbyt ciekawy! Resztką sił napałem na drzwi i wyszedłem w mrok, który nie był ani chłodny, ani ciepły, tylko nijaki. Wyszedłem w mrok bez właściwości.

Gdzieś, w dali, rozległo się wycie.

Może kiedyś bym się zląkł, wrócił do pokoju, przykrył brudną derką, przykryłbym się całą, razem z głową, podciągając kolana pod brodę i obejmując kolana rękami, albo wciskając zmrożone grozą ręce pomiędzy kolana, albo nawet spróbowałbym zrobić jedno i drugie na raz. Co pewnie nie obyłoby się bez przykrych konsekwencji. Ale teraz wycie było mi tak obojętne, jak pogrożki karczmarza. Coś mnie pchało do kościoła, choć wiedziałem, że nie czeka tam na mnie żaden ksiądz z duchową pociechą.

O dziwo do kościoła trafiłem bez żadnych problemów, od razu, za pierwszym podejściem, idąc wprost przed siebie, w kierunku, gdzie jak mi się zdawało, w dzień widziałem kościelną wieżę. Nie trwała ta droga z karczmy do kościoła nawet kwadransa. Kościół leżał na wzniesieniu. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Pewności mieć nie mogłem, bo była już zupełna noc, bez gwiazd, bez Księżyca, ale dałbym sobie rękę obciąć, że i bezchmurna. Dziwne to było, niepokojące, a nawet przerażające, ale byłem w takim stanie umysłu, czy ducha, czy czego tam, co na stan postrzegania rzeczywistości ma wpływ, że brak ciał niebieskich na nieboskłonie w noc bezchmurną w ogóle na mnie nie oddziaływał. Napałem na ciężkie, grube, rzeźbione, drewniane drzwi i znalazłem się we wnętrzu rozświetlonym blaskiem kilku świec. Owionął mnie charakterystyczny zapach, który jest nieodłącznym, kościelnym atrybutem. Przyklęknąłem na prawe kolano i przeżegnałem się. Był to raczej akt przyzwyczajenia, zadość uczynienie tradycji, niż wyraz mej religijności, z którą miałem problem. Zresztą z czym problemu nie miałem? Z niczym. Czyli miałem ze wszystkim. Całe moje życie, to był jeden, wielki, nierozwiązywalny problem. Widziałem kiedyś psa przywiązane do drzewa w ogrodzie, który kręcił się tak długo, aż linka, na której był uwiązany, skończyła się. I stał tak biedak przy drzewie, nawet się już położyć nie mógł, bo linka była zbyt krótka. Patrzył żałośnie, szczekał i wył i skomlał, aż mi się głupka zrobiło żal i go odkręciłem. Musiałem się z nim kręcić tak długo, aż się cała linka uwolniła, bo nie

wystarczyło, że mu pokazałem, jak się uwolnić. Jak już był odplątany, to się położył wygodnie, zadowolony. Ale po paru minutach mu się znudziło, zaczął biegać w kółko i po chwili znowu wisiał na linie okręconej wokół drzewa. Więc znowu go uwolniłem, a on znowu się zaplątał. Nie miałem nic do roboty, więc przesiedziałem z nim cały dzień, robiąc z nim cyklicznie rundy wokół drzewa. Następnego dnia przyszedłem pod drzewo z psem znowu i się sytuacja powtórzyła. Nie był w stanie się nauczyć, a takie to było proste. Dla niego był to jednak problem nierozwiązywalny. Po prostu nie widział tej prostej, przestrzennej zależności, między jego ruchem, linką i drzewem. A przecież jak na psa był to bardzo mądry pies. Siedział na komendę, warował, czekał, szczekał, prosił, dawał łapę, aportował. Potrafił nawet odróżnić piłkę tenisową od gumowej – jak mu się rzuciło obie, a kazało przynieść konkretną albo tenisową, albo gumową, to się nigdy nie pomylił. A jak się wokół drzewa zakręcił – nie potrafił się odkręcić. Już chyba wtedy czułem, że ma to jakiś związek ze mną, ale teraz miałem pewność – ze mną było dokładnie tak samo, jak z tym psem. Czułem, że jest coś nie tak, ale nie wiedziałem dlaczego. Rozwiązanie moich wszystkich problemów było pewnie banalnie proste. Ale żeby je dostrzec, musiałbym choć na chwilę być w takiej relacji do siebie samego, jak byłem do tego psa. A to nie było możliwe. Byłem więc skazany na szarpanie się na coraz krótszym postronku życiowych pułapek. Potrzebowałem przewodnika, który by co jakiś czas obszedł ze mną drzewo w drugą stronę.

Nikogo takiego nie było.

Ale przecież nie dusiłem się cały czas.

Bywały momenty, że odczuwałem jakby przyływ wolności.

Więc może i był.

Tylko nie potrafiłem go dostrzec nawet, jak mnie brał za obrożę.

Oprócz mnie nie było w kościele nikogo, poza jakąś kobietą, która siedziała w pierwszej ławce. Nie chciałem jej przeszkadzać i siadłem w ostatniej. Nie wiem, jak długo siedziałem i nie wiem po co. Bo przecież nie było w tym kościele księdza. A nawet, jakby był, to co? Siedziałem i wpatrywałem się w plecy kobiety. I z każdą upływającą chwilą plecy te stawały mi się coraz bardziej znajome. W końcu nabrałem pewności, że były to TE plecy, plecy jedyne, że mylić się nie mogę.

Wstałem i powoli podszedłem, najpierw do pleców, a potem je nieśmiało ominąłem i podszedłem z boku.

Wtedy kobieta obróciła do mnie głowę i uśmiechnęła się szeroko.

- Ciocia?! – zawołałem uradowany i zdziwiony, bo była to moja ciocia, najlepsza ze wszystkich ciocia ukochana, a nigdy bym się jej na tym zadupiu, w taką noc, bez gwiazd, bez Księżyca, ale i bez chmur, nie spodziewał.

- Witaj Krzysiu – powiedziała ciocia ciepło i rozwarła przede mną swe ramiona.

W które wpadłem z ufnością, przywierając do ciocinej piersi.

- Pamiętasz Krzysiu, jak miałeś ospę i cię nosiłam na rękach, żebyś nie płakał?

- Pamiętam ciociu.

- A jak chodziliśmy razem na lody do tej kawiarenki w parku?

- Pamiętam.

- A pamiętasz, jak...

- Tak ciociu. Wszystko pamiętam.

I znowu byłem mały. Świeciło słońce. Ciocia siedziała na kocu i z wiklinowego koszyka wyciągała chleb, i masło, i miód, i jabłka, i czekoladę, i czereśnie. A ja, bez koszuli, beztroski, ubrany tylko w krótkie spodenki na szelkach, w białe podkolanówki i sandałki, biegałem po łące pachnącej ziołami. Opodal płynął strumyk, niosący wodę czystą, chłodną. Na strumyku była niewielka tama i dzięki tej tamie tworzyło się rozlewisko, do którego można było w każdej chwili wskoczyć, jak robiło się zbyt gorąco. Nieco dalej, pod lipą, przy stoliku siedziała babcia, mama i dwie inne ciocie i grały w karty, może w remika, a może w kierki. Po ich lewej stronie, na trawie, siedział tata z wujem i grali w szachy, a po prawej – na bujanym fotelu, paląc fajkę, odpoczywał dziadek w mundurze. No i jeszcze Funia i Kefir, warcząc przy tym zabawnie, wyrywały sobie patyk.

- Ciociu?

- Tak, Krzysiu?

- Czy mogę tu zostać?

- Nie, Krzysiu. Kiedyś – tak. Ale jeszcze nie teraz.

I znowu obejmowałem jakieś ciało, ale to nie była moja ciocia. To, w co się wtulałem, to nie był ten biust znajomy, niosący błogie wspomnienie dzieciństwa, ale isticie gargantuiczne cyncory, które falowały, unosiły się i opadała, jak oceany stężałej galarety, napierały agresywne, zachłanne. Podniosłem wzrok i rozpoznałem twarz Helki, a wyraz tej twarzy był jednoznaczny. I zapadłem się w Helce, pogąrzyłem się w niej bez reszty i do końca.

Czy można było porównać Helkę do jakiegokolwiek innej kobiety? Nie, nie można było. Czy można było w ogóle Helkę do kogoś lub do czegoś porównać? Nie! Bo Helka była Niezrównana. A zatem, czy można było mieć z kimkolwiek lub z czymkolwiek taki seks, jak z Helką?

Po tysiãkroć – NIE!

Seks z Helkã to by³o coœ Niewyobrazalnego i coœ Niepojętego, coœ, co siê w pale nie mieœci³o!

Ale czy by³em szczêœliwy, po zawarciu z Helkã? Czy po z Helkã zespoleniu przepelnia³a - a choœby i tylko wype³nia³a – mnie radoœæ? Czy po tym, jak mnie Helka wziê³a, by³em spe³niony? Choœby i tylko erotycznie?

Nie, bo chocia¿, zanim realnie skosztowa³em Helki, moje marzenia nieraz kierowa³y siê w stronê Helkopodobnã, ale tylko w stronê, nie do Helki samej, bo jak ju¿ wyjawi³em, Helka by³a w swoim rodzaju jedyna, a tak¿e w stronê rozpasania na ksza³t rozpasania z Helkã, choœ przecie nie a¿ takiego, bo z Helkowym rozpasaniem nawet najœmielsze wyobrazenia, marzenia i fantazje najdziksze równaæ siê nie mog³y, to jednak, gdzieœ, w g³êbi swego umys³u, w najg³êbszej g³êbi siebie ca³ego, duchowego i fizycznego, czego innego pragnã³em, o coœ innego mi chodzi³o, najszczerczej i najmocniej po¿ada³em nie tego, co mi da³a Helka. Nie zwierzêcoœci chcia³em, ale uwznioœlenia.

I choœ Helka, dalibóg nie wiem czemu, jeszcze nieraz u¿ywa³a mnie, przyznajê, ¿e z rozkoszã, która by³a i moim udzia³em, to w³aœnie w jakiœ paradoksalny spos³b, od mojego pierwszego zespolenia z Helkã, przesta³em o Helce myœleæ, przesta³em o niej marzyæ, przesta³a mnie Helka fascynowaæ.

Ju¿ tylko Zjawiskowa Dziewczyna by³a wa¿na. Tylko ona siê liczy³a. Tylko na niã czeka³em.

Dziewczyna, idiotka dla tubylc³ów, dla mnie – Jedyna, Zjawiskowa, Wyœniona, Wymarzona, przychodzi³a do mnie na nauki codziennie.

Ona czyta³a, ja patrzy³em na niã.

I nic siê wiêcej miêdzy nami nie dzia³o.

I niczego wiêcej nie potrzebowã³em.

A potem ona koñczy³a czytaæ.

I k³adliœmy siê obok siebie.

I tak le¿eliœmy.

I tylko czasami krzy¿ak ³ypnã³ w naszã stronê jednym ze swoich oczu.

I tylko z rzadka dolecia³ jakiœ szept Czubka z kãta.

A¿ za którymœ razem zapyta³em, czy nie zabra³aby mnie do lasu.

- Pos³uchaj – zaczã³em, le¿ãc obok niej.

- Tak, Krzysztofie?

- Zabierz mnie do lasu.

- Myślałam, że już nigdy nie poprosisz.

I wstała. I ja wstałem. I wzięła mnie za rękę. I poszliśmy.

Miałem pewność, że z moją Zjawiskową Dziewczyną trafię do lasu tak niechybnie, jak trafiałem kiedyś, dawno, już nie pamiętałem nawet jak dawno, w swoim mieście, z domu na pocztę, czy do piekarni, czy do pracy, czy do pubu na piwo.

I tak się stało.

Nie wiem nawet, jak się w lesie znaleźliśmy, jak pokonaliśmy drogę, pola, jak opuściliśmy wieś.

Nie umiem tego opisać, bo nie szliśmy, nie lecieliśmy, ani mnie ona nie niosła, nie wiozła, ani ja jej.

A jednak stamtąd znaleźliśmy się tu.

Nie nagle, lecz stopniowo.

Łagodnie.

I zrobiliśmy ten ostatni krok.

I weszliśmy do lasu.

I znaleźliśmy się w lesie.

Oboje.

Ale we troje.

Bo las był z nami.

Szumiał.

I wszystko znikło nieodwołalnie i nieodwracalnie. I karczmarz, i policjant jękała, i listonosz w meloniku, i dziadunio, i kościół, i dziaduniowa trafika, i karczma, i krzyżak, i dzieło Bertolda Czubka, i mój pokoik, i szafa z zawartością. I nawet maszyna do pisania.

I pozostała tylko ona i las.

Ja.

Z nią.

W lesie.

Który szumiał nieustannie.

A wszystko inne znikło, bo już niczego nie potrzebowałem.

Była taka, by się nie wyróżniać, by wpasować się w otoczenie. To był odpowiednik zwierzęcej mimikry, która ma zapewnić przetrwanie. Udawała, by inni nie odkryli, że nie jest jak oni. Wiedziałem już, co jeszcze mi w niej nie pasowało do reszty, co mnie wytrącało z równowagi przez całe lata znajomości z nią. W lesie i jeszcze wcześniej, we wsi, a nawet jeszcze wcześniej, zanim się we wsi znalazłem, dawno, bardzo dawno temu, od pierwszego momentu, od pierwszego wejrzenia, od razu, jak ją poznałem. Jej twarz była inna, własna, niepodobna. Ona nie była klonem tamtych. Taka, jak ona, była tylko jedna w całym Kosmosie. To był pewnik. Nienaruszalny aksjomat.

Była moim przeznaczeniem.

Cały Wszechświat powstał tylko po to, by była.

Bym ją poznał. I był z nią.

Tak się stało.

I wszystko się zmieniło.

Moje życie,

moje życie z nią,

moje życie z nią w lesie

nie miało już takiego rytmu, jak moje życie tam, poza lasem, bez niej. Bo czas nie płynął. A właściwie płynął, ale bez konsekwencji. W lesie niby wszystko działo się tak samo, jak i poza nim, ale nie było tej cykliczności. Nie było dni, ani nocy. Czas stracił swoje znaczenie.

Mimo, że gdzieś, poza lasem, upływały godziny, dni, lata, wszystko się zmieniało, w rzece czasu jedne rzeczy przemijały, a na ich miejsce pojawiały się nowe, to tu, w lesie, wszystko było takie samo. Nie zmieniał się ani las, ani my w lesie. Nie musieliśmy jeść, ale mogliśmy, jak mieliśmy na jedzenie ochotę. Nie wiązało się to jednak z zaspokojeniem głodu, bo głodu nie czuliśmy. Jedzenie było wyłącznie zachcianką. W lesie był staw, w którym mogliśmy się kąpać do woli, bo woda była zawsze, jak kryształ i zawsze miała tę samą temperaturę.

Idealną. W stawie były dwie foki i delfin, przyjazne i zawsze skore do zabawy. Staw widziany z brzegu był niewielki, ale gdy się w nim zanurzaliśmy, stawał się jeziorem, a gdy nurkowaliśmy – zmieniał się w oceaniczną rafę, tętniącą życiem. Pod wodą mogliśmy zostawać dowolnie długo, sycąc się urodą natury, bo oddychanie, tak samo jak jedzenie, nie było koniecznością, lecz przyjemnością i zbytkiem.

W lesie wszystko było możliwe i wszystko mogło się zdarzyć.

Chodziliśmy po lesie, po mchach, jak perskie dywany, po szeleszczących liściach, w dowolnym kierunku, bo choć las był gęsty, był nieprzebytą puszcza, spletanym labiryntem dębów, buków, grabów, sosen, jodeł i świerków, gajem oliwnym, dzunglą tropikalną,

gąszczem niebotycznych sekwoi, zawsze ustępował nam, robił nam miejsce, ujawniał ścieżki, rozpościarał przed nami miękkie, rozgrzane słońcem kobierce. Czasami wzbijaliśmy się ponad las, ponad chmury, by podziwiać las z góry, by cieszyć się prędkością, swobodą, wolnością.

I kochaliśmy się.

A kiedy kochaliśmy się, las otaczał nas bezpiecznym namiotem.

Ale najczęściej leżeliśmy obok siebie i nie robiliśmy nic.

Och, jak błogo nic nie robiliśmy!

Czasami rozmawialiśmy. Ale były to dziwne rozmowy, bo nie posługiwaliśmy się w nich jakimkolwiek zrozumiałym, znanym językiem, nie używaliśmy w nich słów. Dźwięki, choć pojawiały się, nie były w tych rozmowach najważniejsze, bo większość naszych rozmów odbywała się bezdźwięcznie. A jednak rozumieliśmy się, choć niczego sobie nie opowiadaliśmy, nie wymienialiśmy się poglądami, nie dyskutowaliśmy.

Czasem dziewczyna czytała mi. Wtedy jej głos był jasny, wyraźny, zrozumiały, ale nie płynął z niej, z jej gardła, z jej ust, ale z zewnątrz, płynął skądś spoza lasu.

Także spoza lasu dobiegała do mnie muzyka. Znałem ją. Była to moja muzyka ulubiona, choć nie mogłem sobie przypomnieć, jaka to muzyka, przez kogo jest grana i na jakich instrumentach.

Nie wiem, jak długo trwało to nasze bycie w szumiącym lesie szczęśliwe, bycie niezmiennie.

Dni? Miesiące? Lata? Wieki całe?

Aż w końcu zaczęło się coś zmieniać, coś dziać, na początku niemal niezauważalnie, z czasem coraz intensywniej. Z kojącego szumu lasu zaczęły się wykluwać, wybijać zgoła nie leśne dźwięki, jakies stuki mechaniczne, dźwięki ssące, mlaszczące, piski i piknięcia elektroniczne, szurania i człapania. Kroki chodaków. Zaczęły wydobywać się też głosy, na początku niezrozumiałe, niewyraźne, bełkotliwe, niemalże od normalnego szumu lasu nieodróżnialne, z czasem coraz bardziej wyraźne, artykułowane. Zaczęły się przebijać pojedyncze głoski, potem coś na kształt pojedynczych słów. Nie odczuwałem już jedynie rajskich zapachów lasu: ziół, pomarańczy, włosów Zjawiskowej Dziewczyny, ale poczęły drażnić mnie zapachy, czy wręcz smrody, odory i fetory, o których całkiem zapomniałem. Las rozmywał się, deformował. Pojawiały się w nim dziury, plamy amorficzne, mroczki i błyski na zmianę, uderzenia światła wypalające oczy. Z czasem te dziury w lesie, te plamy, to światło biegnące skądś spoza lasu, często sztuczne, drażniące – to wszystko zaczynało dominować nad pięknem lasu. Potem z tego bezładu kleksów, świetlnej kakofonii, roztarć, rozdarć, kłębow niematerialnej waty, jęły wyłaniać się kształty fantomowe, kontury, zarysy

coraz bardziej konkretne, ale wciąż nienamagalne, jak duchy, jak zdjęcia potraktowane na chybił-trafił wszelkimi możliwymi efektami, jakby cały świat został poddany jakiejś przerażającej obróbce chemicznej, termicznej, jakby się stopił, rozpuścił i rozlał.

Las, w swej formie cudownej, las szumiący, bezpieczny, ciepły, przyjacielski, pojawiał się jeszcze, ale coraz rzadziej, coraz go było mniej.

Gdyby nie ona, pewnie zwariowałbym, albo umarł z przerażenia – takie to wszystko było odpychające. I dźwięki, i obrazy, i zapachy. I to co zaczynałem czuć dotykiem. Bo dotychczas czułem tylko miękkość runa leśnego, ciepło rozgrzanego piasku na plaży koło stawu, delikatny dotyk wody w stawie. Atłas skóry mojej dziewczyny, jedwab jej włosów, aksamit ust. A teraz odczuwałem także szorstkość, drażniącą chropowatość, jakieś ostrości kaleczące. Ból.

Swędzenie.

Od czasu, mej podróży pociągiem-widmem, od czasu peronu, na który wyskoczyłem, by biec za nią, przez cały czas mego pobytu we wsi, bo o cudownym czasie w lesie, z nią, nawet nie wspomnę, nie musiałem szukać kibla, krzaków, bo mnie ani razu ta brudna, wstydliva fizjologia nie wezwiała, nawet o niej nie pomyślałem - jakbym w ogóle nigdy nie miał takich potrzeb, nie było takiej konieczności.

A teraz nagle poczułem to. Wiedziałem, że się w związku z tym coś ze mną dzieje, ale nie wiedziałem jak, bo było to we mnie, ale jednocześnie poza mną.

Udawałem przed dziewczyną, że wszystko jest w porządku, że nic się złego nie dzieje, ale chyba i ona coś czuła, bo patrzyła na mnie jakoś inaczej, bo mnie inaczej dotykała. Bo był w tym bycie jej ze mną jakiś niepokój. Jakaś nadzieja była, ale i trwoga. Jakieś napięcie, skurcz nawet, a bywało, że i histeryczny paroksyzm.

Kiedy las znikał, ogarniał mnie strach. Myślałem wtedy tylko o lesie i o niej w lesie ze mną.

Jak myślałem o lesie wystarczająco długo i wystarczająco mocno, to las wracał.

Jednak wszystko, co działo się z lasem, a nie płynęło z niego, z jego natury, z jego dobrostanu, z jego spokoju, lecz z zewnątrz, nasilało się. Jakby z każdym upływającym dniem wnikał w las jakiś inny, groźny świat. Las słabł nieubłaganie, a tamten świat przerażający nabierał siły.

-...przełom... - usłyszałem kiedyś wyraźny głos spoza lasu.

Leżałem na trawie, na mchach i porostach, co były jak dywan, z dziewczyną. Trzymałem ją za rękę. Spojrzałem na nią, na profil jej delikatnej twarzy. Leżała obok mnie całkiem spokojnie. I tylko samotna łza spływała powoli, z kącika jej oka, po policzku, do ucha.

Odwrociłem od niej głowę i patrzyłem w niebieskie, jasne, bezchmurne niebo, prześwitujące przez liście.

- ...to... - doleciało z góry, z nieba, albo nawet nie z nieba, tylko z dali bezkresnej, z krańca Wszechświata, gdzieś spoza najstarszego, najodleglejszego kwazara.

- ...umiera...

- ...musi...

- ...to koniec...

I wtedy usłyszałem głos Zjawiskowej Dziewczyny! Usłyszałem wyraźnie. Spojrzałem na nią. Ona patrzyła na mnie. Nigdy jeszcze na mnie tak nie patrzyła. Tak intensywnie.

- To się nie może tak skończyć! – usłyszałem jej krzyk.

Patrzyłem na nią - jej usta nie poruszały się, a jej głos dobiegał gdzieś z zewnątrz, spoza lasu. Ale nie był tak odległy, jak te inne głosy. Był całkiem blisko. Dobiegał sponad wierzchołków drzew, z mglistej plamy, która zawisła na niebie wprost nad moją głową.

- Nie oszukujmy się... - rozpoznałem głos karczmarza.

- Musi być jakaś szansa – dobiegł do mnie szept dziewczyny, choć nie poruszyła wargami.

- Ty... - powiedziałem niewyraźnie.

Znowu się odezwała, ale teraz już normalnie, jej głos wydobył się z jej wnętrza, otwierała i zamykała usta, pracowały jej struny głosowe, czułem na twarzy jej oddech.

- Musisz się obudzić, Krzysztofie.

- Ale przecież ja...

Leżałem obok niej. Las szumiał. O wszystkim zapomniałem, nie wiedziałem nic. Pozostał tylko we mnie strach, że las, to jedyne miejsce, w którym mogłem żyć, ginie. I że jak zginie las, to i ja umrę, zniknę, przestanę istnieć. A więc nie będę już z nią!

Nie mogłem w nieskończoność ukrywać przed nią, że las znika, że jest go coraz mniej i że wraz z lasem ubywa i mnie.

- Las... - powiedziałem, obejmując ją.

- Wiem – odpowiedziała, tuląc się.

- Las umiera...

- Wiem.

- A z lasem i ja...

Wyswobodziła się z mych objęć i patrzyła na mnie z góry.

- Bo to ty wymyśliłeś las – powiedziała. – Wyśniłeś go. Stworzyłeś.
- Ja?
- Tak.
- Żartujesz sobie ze mnie...
- Nie.
- Więc... Ja mogę stwarzać? Jak Bóg?
- Nie głuptasie. Tu go stworzyłeś – mówiąc to, popukała mnie palcem w czoło.
- Wymyśliłem ten las?
- Tak.
- Ale przecież...
- Musi być realny, fizyczny, bo go czujesz? Bo leżysz w nim ze mną na trawie?
- No.
- Nie. To tylko ty.
- Wymyśliłem go więc? To tylko miraż? Ułuda?
- Tak.
- Zmyśliłem las...

Właściwie było mi to obojętne. Nawet mnie to nie zaskoczyło. Chyba wiedziałem o tym od początku. Ale nagle zląkłem się, bo może i ona nie była prawdziwa! A wtedy już nic by mi nie pozostało...

- A ty? – zapytałem ze smutkiem.
 - Ja?
 - Ciebie też zmyśliłem? Też cię nie ma naprawdę, tak jak i lasu?
 - Och nie, Krzysztofie, ja jestem. Jestem tu.
 - Prawdziwa?
 - Najprawdziwsza.
 - I moja?
 - Twoja, Krzysztofie.
 - To dobrze, że chociaż ty – wyszeptalem. – To bardzo dobrze.
- Jej twarz, tak wyraźna, zaczęła się rozmazywać, znikać, zlewać z tłem.
- Reszta się nie liczy – uśmiechnąłem się do znikającej dziewczyny.
 - Krzysztofie – krzyknęła, jej głos oddalał się.
- Znikał też las.
- Umiera... - usłyszałem głos karczmarza.
 - Nic więcęj nie możemy zrobić – byłem pewien, że to powiedział dziadunio.

- Krzysztofie – krzyczała, potrząsając mną. – Krzyśku!

Zachichotałem, bo wcześniej nigdy tak do mnie nie mówiła. Tylko Krzysztofie i Krzysztofie.

- Co z tobą?!

- Nic, kochanie. Tylko taki jestem śpiący.

- Obudź się! Nie zostawiaj mnie!

- Taki jestem zmęczony... Odpocznę i znowu pójdziemy lasem. Razem. Ty i ja, kochanie.

Nie było już lasu. A z niej została tylko niewyraźna, blada, pozbawiona szczegółów i kolorów, plama.

- Krzysiu! Proszę - zostań ze mną...

Wtedy zrozumiałem, że jak teraz zasnę, to już jej więcej nie zobaczę. A przecież chciałem ją jeszcze zobaczyć. Bardzo. Nigdy, niczego tak nie chciałem. Chciałem ją widzieć zawsze.

Chciałem z nią być. Chciałem żeby była ze mną.

I jej twarz przestała być plamą. Z każdą chwilą stawała się coraz wyraźniejsza. Rozejrzałem się wokół. Leżałem na łóżku, w białym pokoju. Obok mnie jakaś aparatura migotała lampkami, coś pikało miarowo, nade mną, na ramie łóżku, wisiała kroplówka, z której miarowo sączyła się jakaś ciecz i spływała niemrawo w dół. Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem.

- Proszę nic nie mówić. Jest pan zaintubowany.

Głos, który to powiedział był znajomy. Spojrzałem w stronę, z której dobiegał i zobaczyłem karczmarza w białym kitlu. Na szyi dyndał mu się stetoskop.

- Krzysiu, jesteś?

Teraz zobaczyłem ją wyraźnie. Chciałem powiedzieć, że wróciłem i już się nigdzie nie wybieram, że zostanę z nią na zawsze, ale tylko zachrumkałem przez maskę.

- Och, Krzysztofie! Nie rób tego więcej!

Znowu mówiła do mnie, jak trzeba, jak byłem przyzwyczajony. Pochylała się nade mną i ze łzami w oczach starała się uśmiechnąć, ale usta jej drżały i wyglądała... tak pięknie. Moja Zjawiskowa Dziewczyna. Wyciągnąłem rękę, by pogłaskać ją po policzku.

Ta ręka...

Zacisnąłem dłoń w pięść, poruszałem palcami...

Ta ręka...

Słuchała mnie, ale...

NIE BYŁA MOJA!

KONIEC